

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok III • Nr 4 (11)

2017

J. Andrzejczak
A. Bańkowska
Baśka eR.
Z. Beszczyńska
K. Beśka
J. Binkowski
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
R. Brooke
A. Chąciński
W. Chmielewski
E. Chotomska
W. Chotomska
D. Cirlić-Straszyńska
M. Dąbrowski
F. Debluë
L. Dimkowska
C. Dobies
A. Dutka-Mańkowska
J. Głowacki
S. Grochowiak
J. Jagiełło
A. Janowska-
-Gużkowska
A. Janowski
E. Kasjanowicz
A.T. Kijowski
ks. J.A. Kobierski
R. Lasota
A. Lizakowski
G. Łatuszyński

A. Majka
J. Marciniak
Z. Masternak
P.Ł. Mazowiecki
Z. Mikołajko
J. Moskwa
P. Müldner-
-Nieckowski
A. Nasitowska
G. Niedzielska
M. Niedźwiedzka
J.A. Opasek
W. Oramus
J. Pankiewicz
A. Patey-
-Grabowska
M.J. Piasecka
J.K. Piasecki
M.K. Piekarska
A. Pieńkowski
K. Rodowska
K.S. Schreyer
A. Seeger
J. Seipp
J. Sendlak
M. Słapik
W. Stasiak
K. Suchcicka-
-Zielińska
K. Sutarski
A. Szymańska

J. Śleszyński
K. Świegocki
J.F. Tappy
W. Tkaczyk
J. Trzeźniewski-
-Kwiecień
G. Walczak
N. Wilczyńska
P. Wojciechowski
M. Wójcik
Z. Zbikowski
G. Zdraveski



Ludmiła Marjańska



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok III Nr 4 (11) 2017

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

(*poezja, dramat*)

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Grzegorz Łatuszyński (*esej, krytyka*)

Maciej Parowski (*proza, esej*)

Małgorzata Strękowska-Zaremba (*proza*)

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Korekta Małgorzata Strękowska-Zaremba

Skład Piotr Müldner-Nieckowski

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Jedenaste słowo na dzień dobry. 3

Zarząd Oddziału Warszawskiego SPP . . 4

Wojciech Chmielewski

Leszno Grochowiaka. 5

Stanisław Grochowiak

Introdukcja. 7

Ewa Chotomska

Odpoczywaj na chmurce. 8

List Prezydenta RP 11

Anna Nasiłowska

Słowo na pogrzebie Wandy

Chotomskiej. 12

Małgorzata Karolina Piekarska

Słowo o Wandzie Chotomskiej. 13

Gabriela Niedzielska

Słowo o Wandzie Chotomskiej. 15

Anna Nasiłowska

Wspomnienie Janusza Głowackiego. . 17

Janusz Głowacki (1938-2017) 18

Jarosław Trzeźniewski-Kwiecień

O Katarzynie Suchcickiej-Zielińskiej. . 20

Adriana Szymańska

Pożegnanie Katarzyny Suchcickiej. . . 25

Katarzyna Suchcicka

Wiersze: Oprócz tego, W Sztokholmie, Neutralny kraj, Wystarczy człowiek, Życie bogate jest, Ta sama perspektywa, Czułość. 26

I Konkurs literacki

im. T. Konwickiego 30

Małgorzata Karolina Piekarska

Do Laureatów Konkursu. 31

Piotr Łukasz Mazowiecki

Pan życia i śmierci. 32

Natalia Wilczyńska

Co miała do powiedzenia Nadzieja. . 34

Marzena Wójcik

Schizein. 37

Weronika Tkaczyk

Każdy ma marzenia. 40

Weronika Stasiak

Spokojny sen. 43

Piotr Müldner-Nieckowski	
Warszawska Szkoła Pisania SPP ...	47
NOWI CZŁONKOWIE OW SPP	
Magdalena Niedźwiedzka	
Jestem nieżyłciowa	52
Maria Jolanta Piasecka	
Ukrywam się i chodzę wspak	53
Jerzy Seipp	
1800 znaków w autocytatach	54
Jacek Moskwa	
Jubileusz 30-lecia twórczości	
Małgorzaty Karoliny Piekarskiej.	55
„Vocatio” Zbigniewa Zbikowskiego	
w Piwnicy pod Baranami	56
DLA DZIECI – MŁODZIEŻY	
Zofia Beszczyńska	
Lupus	57
Zofia Beszczyńska	
Wiersze o zwierzętach.	62
Joanna Jagiełło	
Zielone martensy	64
Rafał Lasota	
Obraz, Wiersz, Skąd się bierze miód ..	71
ESEJ	
Kazimierz Świągocki	
Gnothi seauton	73
FELIETON	
Piotr Wojciechowski	
Wójt z Szaflar i harmonista	81
Piotr Wojciechowski	
Archibald Joseph Cronin i cnoty	
obywatelskie	88
Rafał Lasota	
„Lokomotywa” ciągle stoi	
na stacji	91
KRYTYKA	
Michał Dąbrowski	
Zbigniew Mikołajko – „Gorzkie	
żale”	95
Cezary Dobies	
Istnienia równoległe.	
O rzeźbie Artura Majki.	96
ks. Janusz Adam Kobierski	
15 lat kwartalnika „Migotania” ...	100

Grzegorz Łatuszyński	
Rumunia krajem rodzinnym –	
Serbia ojczyzną	102
Zbigniew Masternak	
O dramatach Antoniego	
Pieńkowskiego	107
Zbigniew Masternak	
Pieńkowski Satyryczny	109
Mirosław Słapik	
O myszce która zamieszkała w rękawicze,	
czyli Spowiedź w fotoplastikonie	
Krzysztofa Beśki	111

PIOSENKA

Piotr Müldner-Nieckowski	
Schody do piekła, droga do nieba ..	114

POEZJA

Janusz Andrzejczak	
Z Wilna i Lwowa, Hutnikiewicz ...	116
Baśka eR.	
List do pozostałych	120
Jerzy Binkowski	
...a SŁOWO ciałem się stało...	
Bukiet poświęcony	121
Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Chłopcy walą w jajo, Wywóz,	
Oczyszczalnia	123
Anita Janowska-Gużkowska	
Wierszyki pisane dla Jurka	125
Andrzej Tadeusz Kijowski	
Chorał dla TV Trwam.	131
Eugeniusz Kasjanowicz	
Moje miejsce	134
Adam Lizakowski	
Ojcu, Krótka historia Kalifornii ..	137
Jerzy Marciniak	
Mrok	141
Piotr Müldner-Nieckowski	
Podobał mi się dlatego	143
Alicja Patey-Grabowska	
Jest taki blask, Julia	144
Krystyna Rodowska	
Sobie na urodziny, Zarządzenie,	
Porządki, Wyczyn	145

cd. na ostatniej stronie

Jedenaste słowo na dzień dobry

Oddajemy w ręce czytelników jedenasty numer „Podglądu”, który jest pierwszym z tak rozbudowanym działem „Z życia OW SPP”. Ale cóż... działo się w naszym oddziale ostatnio dość dużo. Odeszli Wanda Chotomska, Katarzyna Suchcicka i Janusz Głowacki, a w ich miejsce przyszli nowi – Magdalena Niedźwiedzka, Maria Jolanta Piasecka i Jerzy Seipp. Dlatego jednych żegnamy, a inni się przedstawiają. Przy czym każdy z nich robi to w swój oryginalny sposób.

Na dodatek po raz pierwszy ogłosiliśmy też konkurs literacki, a nagrodzone prace zamieszczamy w naszym piśmie. Mamy nadzieję, że to konkurs nie ostatni, a jego patron Tadeusz Konwicki patrzy na nas z niebieskiego oddziału i duma, o czym ta dzisiejsza młodzież pisze.

Jakby tego było mało, ja miałam jubileusz, natomiast koledzy Wojciech Chmielewski i Andrzej Chąciński odwiedzili rodzinne miasto Stanisława Grochowiaka, Stajnia Literacka została nominowana do nagrody i... w ten sposób tekstów w dziale „Z życia OW SPP” w naszym „Podglądzie” zrobiło się sporo.

Poza tym jak zwykle literatura dla dorosłych i dla dzieci, jak zwykle proza, tłumaczenia, poezja, dramat, a tym razem nawet... fragmenty scenariusza filmowego. To ostatni numer robiony przez ustępujący zarząd Oddziału. Uważam, że nowy zarząd będzie pracował nad pismem ze zdwojoną siłą.

Małgorzata Karolina Piekarska

Redakcja „Podglądu” dziękuje Panu Zdzisławowi Skorupce z Siedlec za wpłatę 200 zł na rzecz naszego kwartalnika.

Dnia 18 listopada 2017 roku wybrano

Zarząd Oddziału Warszawskiego SPP

na kadencję w latach 2017-2020

Małgorzata Karolina Piekarska – prezes

Piotr Müldner-Nieckowski – wiceprezes

Katarzyna Boruń-Jagodzińska – sekretarz

Małgorzata Strękowska-Zaremba – skarbnik

Członkowie

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki, Michał Dąbrowski,

Jacek Durski, Manula Kalicka, Gabriela Kurylewicz,

Zbigniew Zbikowski

Sąd koleżeński

Grzegorz Walczak – przewodniczący

Jolanta Cywińska, Zbigniew Taranienko – członkowie

Wiesława Oramus – zastępca członka sądu

Komisja rewizyjna

Jan Strękowski – przewodniczący

Danuta Cirlic-Straszyńska, Jan Krzysztof Piasecki – członkowie

Adam Kulik – zastępca członka komisji



Od lewej siedzą Katarzyna Boruń-Jagodzińska, Małgorzata Karolina Piekarska, Piotr Müldner-Nieckowski. Od lewej stoją: Krzysztof Beśka, Jacek Durski, Zbigniew Zbikowski, Michał Dąbrowski, Krzysztof Bielecki, Gabriela Kurylewicz, Manula Kalicka, Małgorzata Strękowska-Zaremba

Wojciech Chmielewski

Leszno Grochowiaka

Festiwal *Miasto Grochowiaka* w rodzinnym grodzie poety Lesznie jest organizowany już po raz kolejny. W tym roku 24 września w Galerii Lochy mieszczącej się w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbył się panel dyskusyjny „Menuet z poetą”, z udziałem członków Oddziału Warszawskiego SPP Andrzeja Chącińskiego i Wojciecha Chmielewskiego. Szczególnie znaczący był udział prozaika Andrzeja Chącińskiego, współzałożyciela „Współczesności”, której redaktorem naczelnym został Stanisław Grochowiak, i którego zaproszony autor, pełniący ówczesnie obowiązki sekretarza redakcji, bardzo dobrze znał. W dyskusji prowadzonej przez Wojciecha Otto Chąciński przyznał, że współpraca z Grochowiakiem w redakcji układała się bardzo dobrze, poeta z początku chętnie przystał na pisanie felietonów (bo przecież nie da się „robić piśma” publikacjami samych wierszy i opowiadań), a potem jako redaktor naczelny dał się poznać jako wnikliwy krytyk, serdeczny człowiek i dobry kolega. Mówiono też o fenomenie pokolenia „Współczesności”, pierwszej grupy literackiej po wojnie, która sprzeciwiła się socrealizmowi i którą współtworzył Grochowiak.

Wspomniano poetów Romana Śliwonika i Edwarda



Od lewej: Wojciech Chmielewski i Andrzej Chąciński przy pomniku Stanisława Grochowiaka w Lesznie, fot. *Piękna nieznajoma z Leszna*



Biurowisko Stanisława Grochowiaka w izbie pamięci w Bibliotece Miejskiej w Lesznie, fot. *Wojciech Chmielewski*

Stachurę, prozaików Jerzego Krzysztonia, Janusza Krasińskiego, Bogdana Wojdowskiego, Leszka Płażewskiego czy Marka Nowakowskiego.

Z kolei profesor Piotr Łuszczykiewicz z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, autor monografii poświęconej Stanisławowi Grochowiakowi *Księżę erotyku. O poezji miłosnej Stanisława Grochowiaka*, zwrócił uwagę na aktualność poezji Grochowiaka, która jest czytana, dys-



Od prawej Stanisław Grochowiak (1934-1976) i Leszek Płażewski (1936-2011), prozaik, członek Oddziału Warszawskiego SPP

kutowana i stanowi o niezwykłości polskiej poezji tworzonej w czasach tak siermiężnych jak Polska Ludowa lat 50., 60. i 70. Podkreślił traumę wojny i powojennej nędzy, obecną w tonie poezji autora *Menuetu z pogrzebaczem*.

Wzruszającym momentem panelu było odczytanie przez Andrzeja Chącińskiego kilku ulubionych wierszy Stanisława Grochowiaka z tomiku, który poeta własnoręcznie mu zadedykował.

Po dyskusji zaproszeni goście mieli okazję odwiedzenia izby pamięci w bibliotece, urządzonej na wzór pokoju Stanisława Grochowiaka. Uwagę przyciągają zwłaszcza świetne zdjęcia dokumentujące życie literackie tamtych czasów. W bibliotece zostawiliśmy pamiątkowe wpisy oraz własne książki.

Wojciech Chmielewski

Stanisław Grochowiak

Introdukcja

Nie cały minę Choć zostanie owo
Kochanie ziemi w bajorku i w oście
I przeświadczenie że śledź bywa w poście
Zarówno piękny jak pod jesień owoc

Bo kochać umiem kobietę i z rana
Gdy leży cicha z odklejoną rzęsą
A jak jest moja to jest całowana
W puder i w słońce W zachwyt i w mięso

Tak mnie ugadzam bo nie tylko z niebem
Ale z odbiciem nieba w całej nafcie
A teraz weźcie teraz wy potrafcie
Tyle zachwyty połączyć z pogrzebem

Słabi powiedzą tyle że to smutno
Mężni że słabych zatrzymuję w drodze
A ja zbierałem tylko te owoce
Co – że są krwawe – zbiera się przez płótno

Pożegnanie Wandy Chotomskiej (26.10.1929 – 2.08.2017)

Ewa Chotomska

Odpoczywaj na chmurce

No cóż, przegraliśmy.

Mówię przegraliśmy, bo przez pięć i pół roku walczyliśmy z tą niehumanitarną chorobą. Walczyła najbliższa rodzina, garstka przyjaciół, znajomych, lekarze, pielęgniarki.

Kiedy mama usłyszała diagnozę, powiedziała: Dlaczego ja?...

Nigdy więcej z nikim z rodziny nie poruszała tego tematu, ale z największą starannością stosowała się do wszelkich zaleceń lekarzy. Nie zważając na ból, starała się żyć jak co dzień. Zrezygnowała jedynie z męczących licznych wyjazdów do bibliotek, szkół, przedszkoli.

Po raz ostatni w 2012 roku wybrała się do Torunia, aby odebrać piękny tytuł Mistrza Mowy Polskiej. W tym samym roku z rąk prezydenta Bronisława Komorowskiego przyjęła Krzyż Komandorski. Potem jeszcze raz odwiedziła pałac prezydencki jako nominowana do nagrody za twórczość dla dzieci, a w 2015 roku osobiście pojawiła się na premierze Panny Kresczki wystawionej na deskach Teatru Lalka.

Więcej się nie pokazywała, ale na wszystkie zaproszenia odpowiadała pięknie napisanymi listami, często nagrywanymi przez nas kamerą.

Chyba jeszcze do lutego przynosił mi jej do domu mnóstwo książek, w których swą drobną zmęczoną ręką najpiękniej jak umiała wpisywała rymowane dedykacje czytelnikom małym, ale też dorosłym w wydanej rok temu książce o niej. Nierzadko zdarzały się też wpisy do książek dla jeszcze nienarodzonych dzieci, ba nawet nieplanowanym wnukom swoich czytelników.

Oj, dużo tego było. Bo dużo napisała. Pisała wszędzie, w domu, w windzie, na wyjazdach, bo przecież pomysły wpadają twórcom w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Całe życie poświęciła dzieciom, chociaż i dla dorosłych potrafiła pisać piosenki, limeryki.

Chyba znali i kochali ją wszyscy. Prezydenci kilku miast – Słupska, Zgierza, Dzierżoniowa przyznali jej piękny tytuł honorowego obywatela

miasta. Jej zasługi uznawały władze Poznania, a trzydzieści sześć placówek kulturalno-oświatowych (szkoły, przedszkola, ogniska wychowawcze, biblioteki) nosi jej imię.

Muszę się przyznać, że my najbliżsi nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy ze wszystkich jej zasług. Dla nas była mamą, babcią, prababcią, teściową, dla innych gwiazdą, która swoją twórczością rozświećlała ich życie. Zapraszała do krainy poezji, fantazji.

Przez wiele lat radziła sobie ze wszystkim sama, jeżdżąc po kraju, Europie. Odwiedzała polskie dzieci za granicą w Australii, USA, Meksyku (tam to już ze mną). Czytając, skacząc, rapując rozdawała radość.

Sama miała bardzo radosne dzieciństwo. Często wspominała swoją babcię Franciszkę. Babcię, która uczyła ją poznawać świat, opowiadając bajki, odgrywając teatrzyki, czytając książki. Kiedy już sama zaczęła pisać, przelewała tę radość w utwory kierowane dla najwierniejszych, najbardziej szczerych, nieznających nienawiści czytelników – dla dzieci. Szkoda, że dzieci, wyrastając, tak często się zmieniają.

Z jej inicjatywy, dzięki pomysłowi chorego dziecka, powstał najpiękniejszy medal, jaki dorośli mogą otrzymać – Order Uśmiechu. Kiedy sama go otrzymała, mówiła, że nie jest kawalerem tego odznaczenia jak to jest ustalone, tylko damą, bo jakże kobieta może być kawalerem...

Myślę, że mama miała pełne ciekawych przygód szczęśliwe życie. Cieszyła się z każdego nowego wydania książek, a było ich blisko dwieście pięćdziesiąt, z nagród zdobywanych w licznych literackich konkursach. Była przecież także scenarzystką spektakli teatralnych, filmów animowanych, audycji radiowych, autorką piosenek śpiewanych najliczniej przez Gawędę, poznańskie Łejery, ale też i moje Fasolki.

Chyba jednak najbardziej rozsławiła ją telewizyjna dobranocka z Jackiem i Agatką, ukazująca się na antenie TVP przez jedenaście lat.

W wolnych chwilach wyjeżdżała na wakacje, zwiedzając wraz ze swym mężem artystą malarzem wszystkie największe zabytki i galerie sztuki



Wanda Chotomska
Fot. Sławek, Wikipedia

w całej Europy, oglądając na żywo, to co знаła jedynie ze zdjęć w albumach. Fantastycznie się na tym знаła. Doskonale pamiętała, co w którym muzeum się znajduje.

Uwielbiała słoneczne wakacje. Chyba najbardziej te spędzane u zwykłych rybaków na Thassos. Może te klimaty przypominały jej czasy młodości i wypraw z namiotem i kajakiem po naszej pięknej Polsce.

Po śmierci męża zapraszała na już bardziej luksusowe wakacje ze słońcem mnie, moją córkę i wnuczkę. Odpoczywając, ładowała baterie do dalszej pracy. Do ostatniej niemalże chwili czytała książki, prasę, tylko telewizji nie chciała oglądać. No i pisała. Pisała, pisała, pisała...

Zostawiła kilka przygotowanych do druku pozycji, wiele pięknych lirycznych, dowcipnych wierszy.

Myślę, że swoją pracą nie tylko dorównała naszym największym twórcom dla dzieci, ale biorąc pod uwagę liczbę publikacji i bogaty wachlarz innych gatunków twórczości, chyba ich przerosła.

Dziękuję Ci, Mamo, w imieniu nas wszystkich, że Cię mamy, bo będziemy Cię mieć zawsze – my rodzina, przyjaciele, znajomi i wszyscy inni – twoi najwierniejsi czytelnicy.

Odpoczywaj spokojnie na chmurce obok pana Andersena!

Ewa Chotomska

List Prezydenta RP do uczestników uroczystości pogrzebowych śp. Wandy Chotomskiej

Szanowni Państwo!

Z żalem przyjąłem wiadomość o śmierci Wandy Chotomskiej. Odeszła wybitna poetka i prozaiczka, autorka scenariuszy i programów, które utwory od blisko 70 lat podobają się najwybredniejszym czytelnikom, jakimi są dzieci. Ze smutkiem żegnamy dzisiaj pisarkę, która niezmiennie sprawiała, że na buziach najmłodszych gościł uśmiech.

Na książkach Wandy Chotomskiej wychowało się już kilka pokoleń Polaków. Czytane przez rodziców lub dziadków w niezliczonych polskich domach wprowadzają dzieci w zaczarowany świat literatury. I właśnie dzięki tym dobrym początkom przygoda z nią, dla wielu z nich, trwa przez całe życie. Wanda Chotomska uczyła tych młodych ludzi tego, co w sztuce słowa najważniejsze: piękna, bogactwa i prostoty mowy ojczystej. Uczyla także takiego sposobu opowiadania, który fascynuje, wciąga i czyni książkę przedmiotem magicznym, mającym moc przenoszenia czytelnika w niedostępne inaczej światy. Za to wszystko jesteśmy Jej głęboko wdzięczni. Będziemy zawsze pamiętać o Autorce i będziemy powracać do Jej książek, tak by towarzyszyły one kolejnym generacjom młodych czytelników.

Bliskim i przyjaciółom Zmarłej
składałam wyrazy głębokiego współczucia.

*Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzej Duda*

Źródło: prezydent.pl

Słowo Anny Nasiłowskiej prezes SPP na pogrzebie Wandy Chotomskiej

Wanda Chotomska, którą dziś żegnamy, całe swoje życie twórcze zajmowała się sprawą absolutnie podstawową. Poezją dla dzieci. Poezją, która może wyzwolić i pobudzić w młodym czytelniku fantazję i twórczą siłę. Odwoływała się do spontanicznej chęci zabawy, wrażliwości na słowo i poczucia humoru. Pisała dla takich czytelników, którzy często nie zwracają uwagi, kto jest autorem tekstu. Bo są na to za mali. A jednak o Wandzie Chotomskiej można powiedzieć jak o Mickiewiczu: My z niej wszyscy. Tylko nie wszyscy o tym wiemy.

Kontynuowała wspaniałą tradycję traktowania dziecka jako partnera. Więcej, ona widziała w dziecku potencjalnego artystę. I to artystę awangardowego. To wielka myśl demokratyczna o wychowaniu przez sztukę.

Była jedną z osób, które zakładały Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. W latach 90. działała bardzo aktywnie. Pamiętam ją z tego okresu. Imponująca, elegancka, niezależna, energiczna i silna. Indywidualistka oddana sprawom społecznym. Pamiętam też naszą salę w Domu Literatury w Warszawie, która dzięki Niej wypełniała się dziećmi. I choć u nas zwykle bywa poważnie – w takich razach słychać było śmiech i odgłosy zabawy.

Droga Wando, dziękujemy. Taki przywilej pisarzy, że ich twórczość, a więc najlepsza część ich samych, pozostaje z nami.

Anna Nasiłowska, Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich



Przemawia prezes SPP Anna Nasiłowska

Słowo Małgorzaty Karoliny Piekarskiej prezes OW SPP o Wandzie Chotomskiej

Padło tu już wiele ważnych słów o Wandzie Chotomskiej. Państwo pozwolą, że dołożę jeszcze słowo od siebie. W końcu piastuję to samo stanowisko, które Wanda Chotomska piastowała pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Jest takie powiedzenie, że dzieciństwo kończy się nie wtedy, gdy stajemy się dorośli, ale wtedy, gdy umierają nasi rodzice. Ja myślę, że dla miłośników literatury ono trwa dłużej, zaś kończy się wraz ze śmiercią autorów, na których twórczości się wychowywali. Większość z nas wychowywała się na twórczości Wandy Chotomskiej. Dlatego dziś wraz z Wandą Chotomską to nasze dzieciństwo powoli odchodzi w przeszłość. Pozostaje jednak ta jej niezwykła spuścizna, w której są nie tylko „Jacek i Agatka”, ale też „Dzieci pana Astronoma”, „Koziółki pana zegarmistrza”, „Tere-fere”, „Panna Kreseczka” i mogłabym tak wymieniać bez końca, bo Wanda Chotomska to ponad dwieście książek. Będziemy do nich wracać.

Ale Wanda Chotomska to nie tylko pisarka, lecz także niezwykle życzliwa koleżanka. Pamiętam takie spotkanie kilkanaście lat temu, kiedy przyjęto mnie do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Postanowiłam poznać koleżanki i kolegów i przyszłam na opłatek. Twarz Wandy Chotomskiej była jedyną mi znajomą, bo tak to jest, że pisarzy znamy z ich twórczości, nie z tego, jak wyglądają. Wandę Chotomską znałam, bo jestem też dziennikarką. Byłam bardzo stremowana, ale podeszłam do niej, przypomniałam się i powiedziałam: „Poza panią nikogo tu nie znam”. Chwyliła mnie za rękę i zaczęła przedstawiać koleżankom, z którymi rozmawiała. Bo była niezwykle życzliwym człowiekiem, nie zadzierała nosa, nie dzieliła na bardziej i mniej zasłużonych, choć sama miała chyba wszystkie odznaczenia i nagrody, a jej nazwisko znało każde polskie dziecko.

Zawsze mogliśmy liczyć na jej wsparcie. Choć ostatnie lata chorowała, zawsze, ilekroć poprosiliśmy o coś, spełniała nasze prośby. I tak na przykład kilka razy pożyczła swoje pamiątki na naszą Noc Muzeów w Domu Literatury.

W stowarzyszeniu Wanda Chotomska przez lata organizowała specjalne lekcje dla dzieci. Zachował się ślad tego w postaci prze zabawnych listów. Nadawcą pierwszego z nich jest Muzeum Kolejnictwa, które zwraca się

z prośbą o zwrot czapki kolejarza, lizaka i chorągiewki. Nadawcą drugiego ówczesna prezes Ludmiła Marjańska, która tłumaczy, że czapka, lizak i chorągiewka mają się dobrze, bo używa ich Wanda Chotomska podczas zajęć z dziećmi, na których opowiada im o kolei.

Wanda Chotomska, zawsze elegancka i piękna, była takim barwnym ptakiem pośród nas.

Spytał mnie dziś kolega, czemu na jej pogrzeb nie przyszedłem ubrana na czarno. Ale jak mogłem ubrać się na czarno na pogrzeb kogoś, kogo piosenkę nuciłam jako dziecko, a której słowa brzmiały:

*Czarne przegrywa,
kolor wygrywa,
w kolory grajmy dziś.
W jabłka z jabłonek,
w skrzydła biedronek,
w każdy zielony liść.*

Wierzę, że tam, gdzie jest teraz, Wanda widzi najpiękniejsze kolory.

Małgorzata Karolina Piekarska



Uroczystości pogrzebowe Wandy Chotomskiej
Kościół pokamedulski Bł. E. Detkensa na warszawskich Bielanach

Słowo Gabrieli Niedzielskiej właścicielki Agencji Autorskiej „Autograf”

o Wandzie Chotomskiej

Droży Państwo,

Dnia 2 sierpnia zmarła Wanda Chotomska. Gdy o godz. 16.15 podałam tę wiadomość do mediów, nie mogłam uwierzyć, w jakim tempie była rozpowszechniana. W ciągu czterech pierwszych godzin przeczytało ją ponad dwadzieścia tysięcy osób. Rozdzwoniły się agencyjne telefony i dzwoniły do późnej nocy. Odezwali się ludzie z różnych stron Polski: Bolesławca, Długołęki, Oleśnicy, Krakowa. I wielu innych. Dzwonili z niewiarą, ale i sprzeciwem, że to niemożliwe. To nie jest możliwe!

Wando! Tam gdzie byłaś, zostawiałaś za sobą rzesze sympatyków. Twoje spotkania autorskie były wyjątkowe. Bez względu na pogodę, na trudy podróży wyruszałaś w niedzielny wieczór, by w piątkową noc powrócić do domu. Gdybyśmy dodali poszczególne odcinki podróży, zobaczylibyśmy, że wielokrotnie okrążyłaś ziemię. Tygodniami, miesiącami, latami. Pociągami z przesiadką, autobusami, samochodami.

Dorośli i dzieci przybywali tłumnie. Bardzo dorośli przychodzili, by podziękować i powiedzieć, czym były Twoje wiersze czy dobranocka Jacek i Agatka w ich dzieciństwie. Wspominali, dziś dorośli, ale znów jak dzieci, że w dzień emisji Jacka i Agatki z wdzięczności i radości całowali telewizor. Malcy zaś podsuwali książki, by po raz trzeci uzyskać Twój autograf. Pierwszy wpis z końcówki lat 50. dla babci, później dla mamy, a teraz dla nich. Odwiedzałaś dzieci w miastach, miasteczkach i najdalszych polskich wsiach, ale także w obu Amerykach i w Australii. Wspomnień i anegdot są setki, cóż, tylko one nam już pozostaną.

Zawsze pogodna, piękna, bez śladów zmęczenia, zasiadałaś po trudnym spotkaniu, by setce dzieciaków wpisywać w książkach rymowane dedykacje.

Ja, Wando, dziękuję za wsparcie, przyjaźń i niezachwianą wiarę we mnie. Za wielogodzinne rozmowy, Twoje wspomnienia, refleksje i dyskusje, które odbywałyśmy po wspólnie przeczytanych książkach. Ważne stały się dla mnie Twoje życiowe priorytety, walka o godność, kulturę

języka polskiego, zachwyt nad zapomnianymi polskimi słowami. Na zawsze zapamiętam sklep bławatny w Opatowie.

Ceniłam Twój perfekcjonizm, kobiecość i siłę w trudnych chwilach – taką będę Cię pamiętać i naśladować.

Pozwolą Państwo, że przypomnę życzenia, które Wanda Chotomska złożyła czytelnikom na rok 2013.

Niech pozostaną z nami:

szczęśliwych godzin na zegarze,
spełnienia niespełnionych marzeń,
bliskości ludzi sercu bliskim,
miłości tak potrzebnej wszystkim.

Dziękuję, Wando. Wszyscy dziękujemy.

Gabriela Niedzielska
Agencja Autorska „Autograf”

Anna Nasiłowska

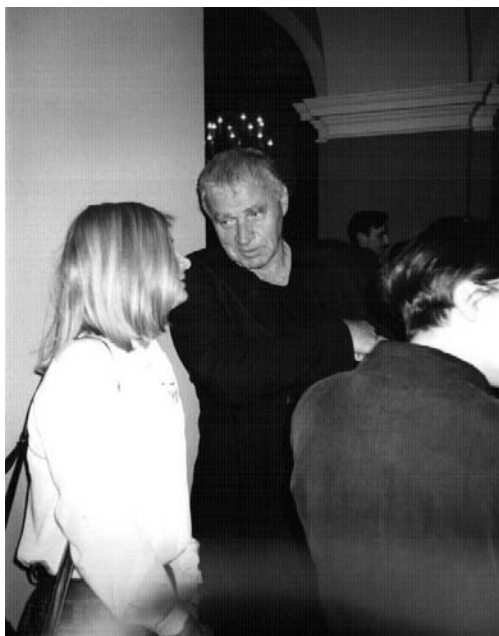
Wspomnienie Janusza Głowackiego

Janusz Głowacki był jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci warszawskiego środowiska literackiego. Poruszał się wzdłuż kręgosłupa literackiej stolicy, który tworzą Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat i ulica Wiejska – nie dlatego, że Sejm, ale dlatego że tam mieści się kawiarnia wydawnictwa Czytelnik.

Wyjechał w stanie wojennym, wracał powoli, z wahnięciami, wciąż stawiając sobie pytania, czy Warszawa?, a może jednak Nowy Jork? Wreszcie zwyciężyła Warszawa, gdzie znał wszystkie kąty, rozpoznawalne miejsca, ludzi i style zachowań. Niekiedy pojawiał się w Domu Literatury; jeśli nie występował na scenie, z własnego wyboru zawsze zajmował miejsce w kącie sali, skąd obserwować mógł całość sytuacji.

Był melancholijny i dowcipny, a jego twórczość – śmieszna i zarazem głęboko tragiczna. Zwykle rozmawialiśmy o literaturze, nie o polityce. Nikt nie dał mi tyle poczucia siły, co Janusz Głowacki – pewnie dlatego, że z jego zadaniem najbardziej się liczyłam. Zawsze jednak były jakieś pilne sprawy, zajęcia, scenariusze, książki do napisania, wszystkie moje spotkania i rozmowy z Januszem kończyły się obietnicą: niedługo... i obowiązkowym: God bless You, Ania! Poza tą jedyną sytuacją, nie był religijny.

Trudno było uświadomić sobie w sierpniu, pośrodku wakacji, że Janusza nie ma.



Anna Nasiłowska i Janusz Głowacki

Przyśnił mi się jeszcze, mówił, że to był głupi pomysł z tą śmiercią, po prostu beznadziejny, ciarki go przechodzą na myśl, ile problemów narobił Olenie. I że wraca.

– Jak to wracasz?

– Normalnie!

Ale to był jeden z tych zwodniczych snów, bo normalnie się nie da.

Anna Nasiłowska, Prezes ZG SPP

Janusz Głowacki (1938-2017)

Był najpierw prozaikiem, felietonistą i scenarzystą filmowym. Między innymi współtworzył scenariusz filmu *Rejs* (reż. M. Piwowski), według jego opowiadania Andrzej Wajda nakręcił film *Polowanie na muchy*. W debiutanckim tomie opowiadań *Wirówka nonsensu* (1968) przedstawiał w ironiczny sposób postacie z warszawskiego półświatka.

Dramat *Kopciuch* opiera się na motywie „teatr w teatrze” – tu dodać do tego trzeba jeszcze, że na scenę wkracza ekipa filmowa, która ma zamiar utrwalić, jak dziewczyny z poprawczaka przedstawiają bajkę o Kopciuszku. Ekipa ma własne wyobrażenia, temat wydaje się ważny społecznie i najlepiej by było, gdyby film wygrał jakiś festiwal międzynarodowy. Tymczasem dziewczyny demonstrują własne zdanie, a kierownictwo ośrodka usiłuje spacyfikować rodzący się anarchiczny ruch.

W grudniu 1981 roku dramat *Kopciuch* był wystawiany w Londynie, Janusz Głowacki znalazł się więc na premierze. W Polsce wprowadzono właśnie stan wojenny, zdecydował się więc na pozostanie na Zachodzie. Przez lata 80. mieszkał w Nowym Jorku, obecnie – częściowo w Nowym Jorku, ale przeważnie w Warszawie.

W Nowym Jorku powstały kolejne utwory, które mają dwie wersje językowe: polską i amerykańską. *Polowanie na karaluchy* przedstawia parę Polaków w Nowym Jorku, ona to aktorka, przed wyjazdem grała szekspirowskie role, ale po angielsku – ma komiczny polski akcent. On był dramaturgiem, cierpi, że go nie wystawiają, ale niczego nie napisał. Oboje dręczą bezsennością. Gdy pojawia się szansa – nie dostrzegają jej, zajęci własnymi obsesjami i kłótniami. Bohaterowie *Emigrantów* Mrożka byli „chorzy na Polskę”, bohaterowie *Polowania na karaluchy* ulegli mitowi amerykańskiemu, wydaje się im, że sukces jest możliwy.

Motyw wyobcowania i wykluczenia społecznego pojawia się w *Antygonie w Nowym Jorku* (1992). W nowojorskim parku, opanowanym przez bezdomnych, Portorykanka chciałaby pochować ukochanego, który być może nawet nie był jej mężczyzną. Inni bezdomni emigranci – Polak i Rosjanin ostro rywalizują, a komentatorem akcji jest policjant, który reprezentuje punkt widzenia władzy. To zewnętrzne spojrzenie bardzo się różni od wewnętrznych norm środowiska bezdomnych. Dramat *Czwarta siostra* (1999) to postmodernistyczna wariacja na temat snu o karierze i wyrwaniu się ze Wschodniej Europy. Twórczość Głowackiego nawiązuje do klasyki dramatu światowego (*Czwarta siostra* do *Trzech sióstr* Czechowa), to zapewnia jej czytelność na różnych scenach światowych.

W prozie Głowackiego bohaterem staje się język, najczęściej manierystyczny, świadomie doprowadzony do groteski. W utworze *Coraz trudnej kochać* pojawiają się rzekome listy miłosne, znalezione na śmietniku. Powołanie się na znaleziony autentyk jest starym chwytem literackim, ale sytuacje społeczne i język – typowy dla PRL. Listy miłosne do prowincjonalnej bibliotekarki pisze tu z zawodu ślusarz, który dzięki przynależności do partii zrobił karierę, ale nie uzupełnił edukacji. Namiętny romans pozamałżeński wyrażony jest w groteskowej polszczyźnie. Obszerne opowiadanie Głowackiego *Moc truchleje* (1982, poza cenzurą) wprowadza jako medium językowe robotnika ze stoczni. To człowiek prymitywny, donosiciel, używający komicznego języka, ale komizmowi towarzyszy głęboki tragizm tej postaci. W opowiadaniach Głowackiego pojawia się gorzka, Gogolowska świadomość: „Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie”. Opowiadania są tyleż śmieszne, co straszne, pokazują one, jakim obszarem życia zawładnął wykreowany na bohatera prymityw, który nie żywi już żadnych kompleksów. Jest niedouczony, ale to go nie martwi, może się tym nawet szczycić; jest pewny siebie, gdyż mechanizmy awansu w PRL były nastawione na promowanie ludzi nowych, „bez obciążeń klasowych”.

Także po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych w 1981 roku odnalazł Głowacki tego typu bohaterów, mówiących dziwnie, rozdartych między megalomanią a kompleksami niższej wartości. W powieści *Ostatni cieć* narratorem jest niewykwalifikowany robotnik z Polski, a zetknięcie kategorii, którymi on ujmuje świat, z amerykańskim mitem sukcesu i osiągalnego bogactwa, daje efekt groteskowej mieszaniny nieprzystawalnych elementów. Rozumowanie bohatera, choć dalekie od klasycznej logiki, czasem bywa skuteczne.

AN

Jarosław Trzeźniewski-Kwiecień

O Katarzynie Suchcickiej-Zielińskiej

Bardzo trudno pisać mi o Kasi. Jej *śmierć w sierpniu 2017 roku* jest dla mnie prawdziwym wstrząsem. Podobnie jak przed 30 laty śmierć Anny Kamińskiej-Śpiewakowej. Kasia Suchcicka-Zielińska i Anna Kamińska-Śpiewakowa były dla mnie bardzo ważnymi Osobami.

Kasię poznałem wiosną 1987 roku w redakcji Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Byłem bardzo speszony, bo w wieżowcu przy Al. Stanów Zjednoczonych urzędował za biurkiem Jerzy Koperski, sprawiający wtedy wrażenie nieprzystępnego, a Kasia była objawieniem.

Niezwykle piękna, empatyczna i szalenie inteligentna. To ona przełamała pierwsze lody. Przyniosłem wówczas w maszynopisie projekt tomiku poetyckiego pod pretensjonalnym tytułem: *Choroba obecności*, (zmieniłem potem za sugestią Kasi na *Podróż do słuchu*), napomknąłem, że ów projekt był recenzowany przez Iwonę Smolkę w „Czytelniku” (pozytywnie), że na druk mam czekać pięć lat, pochwaliłem się debiutem w styczniowej „Literaturze” w 1986 roku i tak się zaczęło... Kasia od razu zainteresowała się moim pisaniem. Z wypiekami na twarzy czytałem jej debiutancki tomik *Niepowstrzymana mięśniami szybuję*, czując że mam do czynienia z poezją na miarę nowej Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej! Zmysłowe, pełne erotyzmu i dynamizmu wiersze Kasi zachwyciły. Kasia była laureatką konkursu „Pokolenie które wstępuje”, po pierwszej wizycie w redakcji zostałem obdarowany kilkunastoma tomikami (Bronisława Maja, Grzegorza Musiała, Marka Kołodziejskiego i wielu innych). Zaczęliśmy pisać listy, szybko zaprzyjaźniliśmy się. Zaprosiłem Kasię wraz z jej mężem Maćkiem do Mławy. Byli u mnie kilka dni, towarzyszył nam mój przyjaciel Marek Żebrowski. Wspólne spaceru, a zwłaszcza wyprawa nad jezioro na Krajewie zainspirowała nas i deklamowaliśmy wówczas *W malinowym chruśniaku* Leśmiana. Napisałem kilka wierszy. Będąc w Mławie, Kasia wspominała, że niedaleko, pod Ostrołęką, leżą Suchcice rodowe gniazdo Suchcickich. Jej tata był znanym warszawskim lekarzem patomorfologiem. Ze spotkania w Mławie mam serię zdjęć, które niedawno odkryłem, grzebiąc w domowym archiwum. Jedno z nich publikuję.

Potem były spotkania w Warszawie w kawalerce Kasi na Żoliborzu, poznałem Jej rodziców, siostrę i szwagra Juliana Pikiela. Widywaliśmy się bardzo często, Kasia redagowała mój tomik (miał się ukazać w połowie



Katarzyna Suchcicka-Zielińska

1990 roku), wybrała nawet wiersze sygnałne do „Integracji”. Nadszedł rok 1988, ja zdecydowałem się zmienić pracę (pracowałem w Archiwum m.st. Warszawy Oddział w Mławie) i zdawać na aplikację notarialną w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie. Z racji aplikacji w Warszawie byłem co tydzień, widywaliśmy się z Kasią, na bieżąco komentowaliśmy zmiany polityczne. W 1989 roku nasze kontakty się nieco rozluźniły, żyliśmy wtedy zmianami w Polsce, ja przeżywałem śmierć mojej babci, ciężką chorobę mamy i śmierć dziadków Tomaszewskich, tomik przestał być priorytetem, Kasia zdecydowała się wziąć urlop w wydawnictwie i wyjechała na rok do USA, chciała też podreperować finanse i kupić większe mieszkanie.

W Ameryce nie zapomniała o poezji, wygrała bardzo prestiżowy Narodowy Konkurs Poetycki USA organizowany przez New Hampshire Poetry Society. Po powrocie nawiązaliśmy ponownie kontakt, ale już w innej rzeczywistości. MAW przestało istnieć, nie miałem nawet ostatniego numeru „Integracji” z moimi wierszami (o fakcie publikacji dowiedziałem się po 10 latach z sieci i potem – od Kasi), debiutancki tomik się nie ukazał

(i chwała Bogu, bo wstydziłbym się dzisiaj, część wierszy najzwyczajniej bym usunął jako nienadające się do publikacji). Kasia mówiła mi wtedy, że wyjeżdżając była przekonana, iż zdoła zarobić na większe mieszkanie, niestety wartość dolara spadła, złoty wywindował w górę i jej marzenie prysło jak bańka mydlana. Z Kasią widywaliśmy się rzadko, coraz rzadziej, była bardzo zapracowana, (ja też) pytała często, czy w końcu złożyłem do innego wydawnictwa swoje wiersze, machałem ręką i mówiłem: a дай спокój! Są ważniejsze sprawy.

Od 1990 roku zajęła się dziennikarstwem telewizyjnym, w latach 1990-1994 należała do zespołu redakcyjnego magazynu kulturalnego *Pegaz*. Przez cztery lata (1994-1999) zrealizowała ponad 40 autorskich programów studyjnych z serii *Skąd ta wrażliwość?* dla Programu I Telewizji Polskiej. Skarżyła mi się, że program był emitowany bardzo późno (po 22:00, a czasem po 23:00!) i nie docierał do wielu widzów. A program prowadziła niesamowicie, taktownie, z wielką empatią i kulturą – zawsze znakomicie przygotowana, doskonale wiedziała, co się dzieje w literaturze, filmie i sztuce.

Po zdjęciu programu z wizji, Kasia wyjechała na pięć lat do Szwecji, gdzie pisała dla tamtejszej prasy, a także współpracowała z Instytutem Polskim w Sztokholmie. W tym czasie kontakt się urwał, dopiero w 2006 roku po śmierci mojej mamy Kasia się odezwała, zaczęliśmy pisać maile, wymieniliśmy numery telefonów, w trakcie jednego ze spotkań podarowałem jej mój spóźniony debiutancki tomik: *W stronę Beethovena* (1998), który zaistniał właściwie dzięki naleganiom księdza Jana Twardowskiego, od Kasi dostałem Jej tomik z 2004 roku (wydany przez Nowy Świat w Warszawie): *Dzikie kryształ*, przypomniałem jej, że posiadam też bardzo śmiałą poetycko: *Niebieską pończochę* (wydaną w 1993 roku przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie), ale nie mam w swojej bibliotece dwóch jej szwedzkich książek poetyckich. Ucieszyła się, że *Niebieską pończochę* nazwałem „śmiałą”, i powiedziała, że nikt jej tak nie określił. Przyznała, że te dwie książki poetyckie wydała w Szwecji (w małym nakładzie) i ubolewała, że nakład wyczerpany, bo sama ma tylko po jednym autorskim egzemplarzu.

Zaprosiła mnie na promocję swojego ostatniego tomiku poetyckiego: *Haust powietrza* (2009) wydanego przez Wydawnictwo Łosiograf. Wydawca specjalnie przesłał mi egzemplarz książki. Pięknie wydana, bardzo dobrze przyjęta przez krytykę. Kasia cieszyła się, że książka była rozchwytywana. Wydała w sumie siedem książek poetyckich, z czego tylko

cztery zaistniały w literackim obiegu. Przypuszczam, że któreś z wydawnictw pokusi się o wydanie wierszy zebranych Katarzyny Suchcickiej. Jej poetycki dorobek na to zasługuje. Pisała w większości krótkie, skondensowane wiersze, *szukała człowieka w człowieku* – jak to określiła Małgorzata Packalen w posłowie do *Dzikich kryształów*.

Szukam

*Szukam człowieka
w człowieku
A on się chowa
w twarzy
za imieniem*

Jeszcze parę razy wymienialiśmy maile, spotkaliśmy się na spacerze w Łazienkach. Miałem być na promocji ostatniej książki Kasi – cykl wywiadów z Wojtkiem Malajkatem, niestety nie dotarłem z powodu silnego przeziębienia. Wiosną tego roku odnalazłem zdjęcia z pobytu Kasi w Mławie, zeskanowałem część i zamierzałem Jej wysłać mailem. Nie zdążyłem, nie wiedziałem, że ciężko chorowała, wiedziałem, że miała kłopoty z sercem, taka krucha, piękna i delikatna. Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało 5 sierpnia 2017 roku.

Napisała kilkanaście wierszy, które dopiero teraz nabierają wymiaru eschatologicznego, dwa z nich prezentuję:

Zaczepiona

*Boże dbaj o mnie
tam gdzie mnie nie ma*

*Sprowadzaj na mnie
myśli ludzi życzliwe
niewinne*

*Bez ich miłości
nie całkiem jestem
substancjalna*

Prośba o piękne zakończenie

*nie umrzyjcie przede mną
drodzy przyjaciele
bo z Wami
po kawałku siebie
będę chowała*

*A chciałabym godnie
pięknie cała póki czas*

Ta prośba Katarzyny Suchcickiej-Zielińskiej przypomina mi też fragment wiersza Anny Kamieńskiej:

*Umrę cała ale z jednego słowa po mnie
wyrośnie drzewo ciszy*

*I ponad zgiełkiem świata
wysunie zdziwioną gałąź*

(Drugie szczęście Hioba, 1974)

Kasiu! Dziękuję Ci za wszystko – za poezję, za to że Byłaś. Jesteś.

Jarosław Trześniewski-Kwiecień

Adriana Szymańska

Pożegnanie Katarzyny Suchcickiej

Katarzyna Suchcicka odeszła od nas 5 sierpnia 2017 roku w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. O wiele za wcześnie. Była osobą kochającą życie i świat, błyskotliwą, radosną, pełną pogody ducha i światła optymizmu, piękną i czarującą niekłamany wdziękiem. Jej zainteresowania i talenty artystyczne spełniały się w kilku dziedzinach sztuki: była krytykiem literackim i teatralnym, eseistką, dziennikarką telewizyjną, miłośniczką muzyki, a przede wszystkim oryginalną, intrygującą poetką. Jej wiersze, wydane w kilku zbiorach, od debiutu w roku 1986 – *Niepowstrzymana mięśniami szybuję*, wyrażały przede wszystkim jej pasję poznawczą, pragnienie wolności i coraz to nowych wyzwań, ukochanie życia i świata. Miała potrzebę przenikania tajemnicy bytu w jego najprzeróżniejszych przejawach. Kolejne zbiory wierszy – *Niebieska pończocha*, *Dzikie kryształy*, *Haust powietrza*, a także wybór poezji w przekładzie na język szwedzki, dokumentują jej dążenie do samopoznania, pełnego określenia siebie wobec rzeczywistości, w której żyła. Zawsze była sobą, nie stosowała gier egzystencjalnych, nie zakładała masek. Im głębsza stawała się jej świadomość siebie, tym wyraźniej deklarowała własne prawo do intymności, do osobności, ale też coraz silniej zdawała się podlegać zależności od świata i uczestniczyć zarówno w szczęściu jak i współcierpieniu z nim. „Czas spokój, czas ból” mówiła, podkreślając podstawowy paradoks ludzkiego losu: istnienie na przemian w uskrzydlającej radości i w nieuniknionym bólu. Dojrzała osobowość poetki nie broniła się przed ujawnieniem całej prawdy egzystencji. A jej energia, entuzjazm, jej wiara w ocalającą moc sztuki pozwalała jej mówić: „Świat jest mój” i traktować życie jak bezcenny dar, by chronić je przed degradacją. Poprzez rozmaite formy wyrazu artystycznego – od epigramatycznych sentencji po opowieści z nutką liryzmu albo sarkazmu przekazywała nam swoją intelektualno-emocjonalną wizję istnienia.

Była wspaniałą koleżanką, współpracując z nami w SPP i ZAiKS-ie. Pozostanie w naszych wspomnieniach taka właśnie: twórcza, promienna, życzliwa, gotowa zawsze do pomocy każdemu, kto znalazł się w kręgu jej serdecznej uwagi. Żegnamy Cię, Kasiu, nie bez żalu, ale też z przekonaniem, że Twoja obecność wśród nas nie była daremna.

Katarzyna Suchcicka

Wiersze z przygotowywanego do druku wyboru wierszy
Ja kobieta poeta Murzynka Żydówka

Oprócz tego

Tego momentu nic nie wyróżniało
zwykła kawiarnia
najzwyklejsze bułki
może sałatka
dużo orientalnych przypraw.
Za słupem z luster
toaleta bez kluczy
ludzie przy stolikach
muzyka.

Na zewnątrz
sztokholmska ulica
pełno spacerowiczów
zimowe lekkie słońce.
Baretki z Europy flag
międko z wiatrem płyną
między szczytami budynków.

Tego momentu nic nie wyróżniało
na ulicy Królowej
jemy kanapki
mamy czas.
Południe sobota
ciepło i gwarnie
jest nasza gazeta.

Tego momentu nic nie wyróżniało
oprócz tego
że czułam się szczęśliwa.

W Sztokholmie

Co sprawiło że między nami
lej wąwóz
szczelina
którą niepostrzeżenie
staramy się
zasypać
i udawać że jej nie ma?

To że jedna jest Żydówką
a druga nie
wie czy jest
chcę żeby
przestało mieć znaczenie.
Nie było niewygodne
Nie zagrażało
wejściem
na teren
nieznany
gdzie niebezpiecznie.

Odkąd do którego punktu
uśmiechu słowa
zdałam ci się obca?

Ja
kobieta poeta
Murzynka Żydówka.

Neutralny kraj

Podczas tych wszystkich
wojen
podjazdów
ambicji
ten ptaszek
a raczej jego
prapra

prpr
frfr
frufu
dziadek
sobie podśpiewywał
spokojnie na Östermalmie
nie zważając na ludzkie gdzieś niedole
stalinizm na Wschodzie
i rok 39 na Południu.

Mądrze, mój ptaszku,
i podle
niestety.

Wystarczy człowiek

Ty nie pytaj
skąd pochodzę
bo nie dasz rady mnie zamknąć
w kartotekach
wśród lepszych
czy gorszych
ogrodzeń

Życie bogate jest

Wcale nie jestem taka
jak myślę
Nie tak lekko i zwinnie
idę przez ten świat
Nie taka sprytna
jak myślę

Ale
szczęśliwsza niż myślę

I uczę się mozolnie

w drugiej połowie życia
co jest
a co myślę

Ta sama perspektywa

Ty młoda
codziennie tracisz
młodości kropelkę

Ty stara
co dzień zyskujesz
starości
suchy listek

Czułość

Zgłaszam muzykę
wysyłam sygnał
do drugiego pokoju

Jak się czuję
i co lubię

W dźwiękach
jest Roxette
Krystaliczna
bliska choć daleka
Komfortowa
gdzie chowa ten żar
Taka ładna wesoła melodia
o końcu miłości

Zaniepokojony stajesz w progu

Katarzyna Suchcicka

I Konkurs literacki im. Tadeusza Konwickiego

W dniu 26 września w ramach Festiwalu Nauki w Domu Literatury odbyło się uroczyste wręczenie nagród w konkursie literackim im. Tadeusza Kownickiego.

Nagrody otrzymali:

I miejsce: **Piotr Łukasz Mazowiecki** „Pan życia i śmierci”, uczeń VIII Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława IV w Warszawie;

II miejsce: **Natalia Wilczyńska** „Co do powiedzenia miała Nadzieja”, uczennica VIII Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława IV w Warszawie;

III miejsce: **Marzena Wójcik** „Schizein”, uczennica Publicznego Liceum Ogólnokształcącego Nr II z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Marii Konopnickiej w Opolu.

Wyróżnienia:

Weronika Tkaczyk „Każdy ma marzenia”, uczennica VIII Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława IV w Warszawie;

Weronika Stasiak „Spokojny sen”, uczennica VII Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Częstochowie.

Oceniało jury w składzie (alfabetycznie):

Joanna Jagiełło

Małgorzata Karolina Piekarska

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Andrzej Zimniak

Ponieważ Prezes OW SPP była nieobecna w czasie wręczenia nagród, jej list skierowany do uczestników przeczytał wiceprezes Piotr Müldner-Nieckowski, który wraz z Katarzyną Boruń-Jagodzińską pełnił honory domu.

MSZ

Do laureatów Konkursu im. Tadeusza Konwickiego

Drodzy Laureaci, drodzy przyszli (mam nadzieję) Koleżanki i Koledzy,

Na początku bardzo przepraszam za swoją nieobecność, ale obowiązki wezwały mnie na drugi koniec Polski. Nie zmienia to faktu, że chcę powiedzieć Wam wszystkim, że ogromną przyjemność sprawiło mi czytanie Waszych utworów.

Sama też zaczynałam pisać w bardzo młodym wieku, bo jako kilkulatka, ale ślad mojego pisania to dopiero czasy liceum. To wtedy powstało m.in. opowiadanie, które pozwoliło mi dostać się na warsztaty literackie do Staromiejskiego Domu Kultury, które otworzyły mi drogę do debiutu. Ale nie tylko dlatego uważam, że okres nauki w liceum to najważniejszy moment w życiu każdego pisarza. To wtedy odkrywamy, jaka literatura dla dorosłych przechodzi do historii. Zastanawiamy się, dlaczego tak się dzieje. Analizujemy, o czym pisali autorzy lektur i... czasem w kontrze do nich, a czasem w roli epigonów zaczynamy pisać. Towarzyszą nam wtedy różne myśli, ale też i jedno ważne uczucie, które ja nazywam porządkowaniem świata wokół siebie i wewnątrz siebie.

Podobno każdy w życiu napisał choć jeden wiersz, ale nie każdy zostaje poetą. Z prozaikami sprawa ma się jeszcze gorzej, bo proza wymaga więcej pracy i siedzenia, więc... niewielu z tych, którzy napisali jeden utwór prozatorski, zostaje w dorosłym życiu pisarzami.

Bez względu na to, jak stanie się w Waszym przypadku, czy jednak konkurs im. Tadeusza Konwickiego pozostanie tylko jednorazową przygodą prozatorską, chcę Wam powiedzieć, że warto pisać. Tylko napisane słowa przeczytane po czasie są świadectwem tego, co ich autorowi grało w duszy. Co czuł, gdy je pisał i o czym myślał. A przecież to myśli i uczucia są w życiu najbardziej ulotne. Cieszę się, że mogłam Was poznać. A tym, którzy widzą siebie w roli ludzi pióra, życzę wytrwałości i... zdrowia. Pamiętajcie! Tu pozwolę sobie na kolokwializm, ale i użycie wyrazu, który sama stworzyłam, by określić swoją profesję. Pisarstwo to najbardziej „duposiadczy” zawód świata. Niestety nie da się pisać pływając, biegając, a nawet spacerując. Trzeba wytrwale siedzieć. I pisać, pisać, pisać. Piszcie, jeśli tylko czujecie, że to pozwoli Wam uzyskać spełnienie.

Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes OW SPP

Piotr Łukasz Mazowiecki

Pan życia i śmierci

– Doktorze! Na bloku potrzebują chirurga. Awaria sprzętu – głos pielęgniarki oddziałowej wyrwał mnie z sennej zadumy nad kubkiem kawy.

Niechętnie wstałem z wygodnego fotela w moim gabinecie i poszedłem na blok. Nasz szpital należy do najnowocześniejszych w kraju. Maszyny w ogóle rzadko odmawiają posłuszeństwa, ale mimo wszystko cały czas zdarzają się takie incydenty. To był standardowy przypadek – wystarczyło wpisać dwie linijki kodu do komputera i operacja mogła trwać dalej. Kolejne życie uratowane. I pełen wdzięczności uśmiech prowadzącego operację pielęgniarza, którego dostrzegłem za komputerem w kącie zaciemnionej sali operacyjnej.

Za godzinę miałem zaplanowany kolejny zabieg. Szczerze mówiąc, z nostalgią wspominam ten moment, kiedy pięć lat temu wprowadzono stymulatory procesów myślowych – małe urządzenia, które wszczepia się do mózgu pacjenta. Stanowiły wielkie osiągnięcie, ponieważ są antidotum na wszystko. Mogą zapobiec śmierci, wyleczyć chorobę, na bieżąco przeprowadzić diagnostykę. To za ich pośrednictwem komputery mogą wykonywać operacje bez ingerencji ludzi. Wystarczy je tylko odpowiednio zaprogramować przed wszczęciem, by mogły przejąć kontrolę nad umysłem człowieka. To jest właśnie rola chirurga i takie było moje zadanie na następną godzinę.

Wszedłem do laboratorium – sterylnego pomieszczenia ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Niebieskie światło lamp tworzyło nieprzyjemną atmosferę. Usiadłem przed komputerem z kartą w ręku. Całe życie spisane w rzędach pozornie nic nieznaczących liter i cyfr. To wszystko miałem dokładnie przepisać do systemu. Tożsamość: imię, nazwisko, miejsce zamieszkania... Rodzina: kogo kocha, kogo nienawidzi... Zainteresowania: lubi łowić ryby, literaturę faktu... Starałem się maksymalnie skupić na pisaniu i nie dopuścić do głowy żadnych innych myśli. Wiedziałem, czym to grozi. Mimo przeszło czterech lat stażu nie zdołałem się na nie uodpornić. Ale przyszły i tym razem...

Czy to etyczne? Zatrudniony w szpitalu etyk twierdzi, że tak. Za każdym razem staram się dokładnie przepisać wszystkie informacje. Czy to jednak wystarczy? A uczucia, emocje, najmilsze wspomnienia? W programie nie ma takich rubryk. Nic więcej nie mogę zrobić. Może mimowolnie coś

pominę, przekręcę? Wtedy część tożsamości przepada bezpowrotnie... Pisałem dalej: gra w golfa, w roku dwa tysiące dwudziestym siódmym zdobył mistrzostwo... Moja walka wewnętrzna trwała jednak dalej, a podświadomość nie chciała się poddać. Przecież ja uśmiercam tego człowieka. I to pod pretekstem ratowania życia. Z trójwymiarowej rzeźby tworzę zaledwie jej dwuwymiarowe zdjęcie. Ten człowiek nigdy już nie będzie taki sam. Będzie tylko wyblakłą kopią swojego poprzednika w tym samym ciele.

Gdybym tylko chciał, mógłbym tak zaprogramować stymulator, żeby ten człowiek popełnił samobójstwo. Lub tak, żeby kochał kogoś do zgonną miłością. Mógłbym także zmienić go w mordercę albo psychicznie chorego człowieka. Ale zawsze pamiętałem o zaufaniu i odpowiedzialności. Zawsze chciałem pamiętać. To trzymało mnie w tym zawodzie od tego „przełomowego momentu”, jak to określił jeden z moich przełożonych, kiedy zacząłem się tym zajmować samodzielnie.

Wyczerpany wyłączyłem komputer i zapakowałem gotowy stymulator do koperty. Zostałem sam w przejmującej ciszy laboratorium, oświetlony przesywającym niebieskim światłem. Nakleiłem kartkę z numerem i wysłałem przesyłką wewnętrzną na blok. Chirurdzy już nie prowadzą operacji, robią to maszyny. Ja zrobiłem to, co było w mojej mocy. Tak jak zawsze, tak i wtedy miałem mieszane uczucia. Z jednej strony – uratowałem kolejnego człowieka. Gdyby nie stymulator, zapewne pacjent wkrótce by umarł, a przynajmniej stracił świadomość do końca życia. Ale mimo to miałem wrażenie, że w tym miejscu człowiek, decydując o życiu lub śmierci, wchodzi w kompetencje natury, narusza fundamentalne prawo, które na zawsze powinno pozostać nienaruszone. W takim nastroju wróciłem do swojego gabinetu. Wszystko wydawało się pozbawione życia, nawet rośliny na parapiecie. Za oknem padało, a szare światło dzienne ledwo przełamywało półmrok panujący w pokoju. Zrobiłem sobie kolejną kawę i usiadłem pogrążony w niepokojących myślach.

Godzinę później na monitorze komputera pojawiła się informacja: „Operacja się udała. Pacjent żyje. Stan stabilny. Wkrótce odzyska przytomność”. Ten człowiek dostał nowe życie. Dosłownie i w przenośni. Uratowałem kolejne istnienie ludzkie, mogłem spokojnie wrócić do domu. Ale nie będę ukrywał, że czułem się trochę jak zakładnik technologii, jakbym sam był ubezwłasnowolniony. Czy dwadzieścia lat temu, gdy wybierałem studia medyczne, chciałem, aby właśnie tak wyglądało moje życie?

Natalia Wilczyńska

Co miała do powiedzenia Nadzieja

Doprawdy, gdyby ktoś powiedział mi dwadzieścia lat temu, że ja, szanowana fizyczka jądrowa, spróbuję sama wspiąć się na Mount Everest, zapewne wyśmiałabym go i nazwała kłamcą. Życie pisze jednak dziwne scenariusze. Bardziej niezwykle, niż mogłabym kiedykolwiek przypuszczać. Moje sny i marzenia bladły w porównaniu z tym, co zgotował mi los.

Liczyłam, że uda mi się przejść ten kawałek, nim nastąpi załamanie pogody. Jakże się myliłam. Uderzenie nastąpiło nagle. Nie byłam na nie gotowa. Wszystko działało się tak szybko. Nie zdążyłam nawet odetchnąć, gdy nastąpiło następne. I kolejne. Najgorsze jednak miało dopiero nadejść. Widziałam to. I zbładłam jak płótno. Mój sprzęt się zaciął. Próbowалаm go pośpiesznie naprawić. Naprędce jednak nie dałam rady. Nie byłam zbyt wysoko. Drżącą ręką sięgnęłam po nóż. Serce waliło mi jak młot. Przecięłam linę.

Biel. Tylko ona była wokół mnie. Śnieg wdzierał się do ust, do nosa i do oczu. Był wszędzie. Pogoda pogarszała się bardzo szybko. Nie miałam zbyt wiele czasu. Musiałam zawrócić albo znaleźć schronienie. Spróbowałam się poruszyć. Syknęłam z bólu. Chyba mocno uderzyłam się w głowę. Dopiero po chwili zdałam sobie z czegoś sprawę. Nie czułam lewej nogi. W tej sytuacji brak bólu to zły znak. Ignorując wszystko, rzuciłam się, by ją zbadać. Dobra wiadomość: miałam ją. Zła: złamana w kilku miejscach. Dotarła wtedy do mnie brutalna prawda. Burza śnieżna była coraz bliżej. Nie dam rady się gdziekolwiek schronić. Nie zdążę. Nie, nie, nie! To nie tak miało się skończyć! Nie tak!

– Słyszałam, że gdy się umiera, to wszystkie wspomnienia przelatują ci przed oczyma – nie wiem, czy pomyślałam o tym, czy może powiedziałam to na głos. Nie obchodziło mnie to wtedy.

– Tak. Nazywamy to życiem – powiedział łagodny głos, mój odwieczny towarzysz. – Nie dasz rady wstać, prawda? Nie, nie próbuj nawet! – powstrzymał mnie, gdy spostrzegł, że poruszyłam się gwałtowniej.

– To koniec? – szepnęłam z niedowierzaniem. – Całe życie... to ma się tak skończyć? – z trudem powstrzymywałam łzy cisnące mi się do oczu. Ból nie pozwalał mi się zbyt skupić.

– To jeszcze nie koniec. Dopiero początek. Czy radio działa? – przyjaciel spytał zaniepokojony. Radio. Sięgnęłam do plecaka sprawdzić, czy się nie uszkodziło. Zamknęłam oczy. Ból da się pokonać.

– Gdybyś zdołała nadać sygnał, może pomoc z obozu zdążyłaby nadejść.

– A co, jeśli by nie zdążyła? – spytałam łamiącym się głosem. Próbowalam spojrzeć swojemu towarzyszowi w oczy, ale śnieg zmusił mnie, bym opuściła wzrok. Kłui całą moją skórę, mimo że większość była starannie osłonięta.

– Trzeba być dobrej myśli – nie widziałam go zbyt wyraźnie. Denerwowało mnie to. Świadczyło to albo o tym, że śnieg pada coraz gęściej, albo że uderzyłam się bardzo mocno w głowę. Obie opcje były równie prawdopodobne. Obie równie mi się nie podobały.

Radio nie działało. Musiało się zepsuć, gdy upadłam. Czułam pustkę w głowie. Łzy zaczęły gęsto płynąć po moich policzkach i na nich zamarzały. Miałam wrażenie, że mróz zaczyna mi doskwierać o wiele bardziej dotkliwie.

– Pomoc znikąd nie nadejdzie – rzuciłam w przestrzeń. Miałam wrażenie, że te słowa wwiercają mi się w umysł. – Nie ma nadziei.

– Jest zawsze. Dla każdego. Trzeba tylko umieć ją dostrzec. Nawet podczas najzimniejszej nocy. Naprawisz radio – przyjaciel dodał pewnym głosem. Pokładał we mnie bardzo duże rezerwy zaufania i dobrej wiary. O wiele większe niż ja kiedykolwiek posiadałam.

– Nadzieja? – prychnęłam. – Ty mi mówisz o nadziei? Spójrz na mnie i na to, gdzie zaszłam. Determinacja i ambicja sprawiły, że jestem sobą. Nadzieja matką głupich i szaleńców – rzuciłam i jakby na potwierdzenie swoich słów, zachichotałam nerwowo.

– Widzę przed sobą nie wariatkę, lecz osobę, która toczy sama ze sobą walkę o swoją duszę.

– Czy przed śmiercią muszę wysłuchiwać banalnych słów? Nie, dziękuję. Wolalabym gorącą czekoladę w swojej samotni.

– Niczego nie żałujesz? – mój towarzysz podjął dyskusję, nie zwracając uwagi na moje wcześniejsze słowa. Słuchał tylko tego, co chciał. – Nie jesteś tu sama. Jestem tutaj.

– Żałować? Jestem dumna. I zawsze sama – dodałam po chwili. O wiele ciszej niż resztę, ale mimo wszystko zrozumiał. – Sama, nieważne ilu ludzi znajduje się w pobliżu. Sama za życia, sama w śmierci. W najtrudniejszych dla mnie chwilach, nie było nawet słowa pocieszenia. Czemu zawsze odpowiedzią na me błagania była cisza?

– Mimo wszystko, to cię ukształtowało. Może lepiej, że tak się stało? Cierpienie uszlachetnia.

– Nie wiesz, czym jest cierpienie! – wysyczałam. – Nie dowiesz się, póki nie zaczniesz patrzeć na swoje odbicie w lustrze ze łzami spływającymi

z twarzy i dopóty nie zaczniesz błagać sam siebie o wytrzymanie kolejnego dnia. Czy jedno słowo pociechy to tak wiele?

– Przegrywasz bitwę – zauważył. – Może twoje „tylko jedno słowo” padło, ale byłaś zbyt zajęta użalaniem się nad sobą, by je usłyszeć? Boisz się, że pewnego dnia ludzie zobaczą cię taką, jaką ty widzisz siebie na co dzień. Lękasz się tego. I przez to świadomie odpychasz innych. Nienawidzisz być sama, ale celowo unikasz ludzi.

– Częstki rozumiem – mruknęłam. – Nie jestem wystarczająco dobra, to chciałeś usłyszeć? Zawsze druga, zawsze pogardzana! Chore dziecko, tak? Kto chciałby zajmować się chorym dzieckiem? Dla własnego rodzica byłam nikim! Nieważne co robiłam, zawsze za mało. Wszystko co osiągnęłam? Zazdrość. Wszystkie moje osiągnięcia, aż do pełnoletności? Zazdrość o sukcesy innych i o uwagę, jaką im poświęcano. Tylko tyle i aż tyle.

– Wciąż żyjesz. Fascynujące. Tyle lat i jeszcze się nie poddałaś? Zdumiewające!

– Sama nadałam sens swojemu życiu. Tyle prawdy o mnie w takiej chwili. Zabawne. Wszechświat ma jednak poczucie humoru. Ostatnie słowa? Krzyk błagający o pomoc innego człowieka.

– Nie lubię tego stwierdzenia. Krzyk o pomoc. Tak jakby ta osoba nic już nie mogła zrobić. Była bezbronna. Tymczasem, gdy patrzę na ciebie, widzę przeciwieństwo bezradności. Mogłaś skończyć to już dawno. Przejęłaś kontrolę nad swoim życiem. Depresja i wszystkie wydarzenia znęcały się nad tobą tak długo, aż przestałaś widzieć w tym coś złego. Nie widzisz w sobie dobra ani nadziei. Mimo to, walczyłaś! I zdawałaś się krzyczeć: „Hej! Życie jest trudne! Próbuję przeżyć, podaj mi rękę, ja tutaj nie umrę!”. Bezradność? Bez nadziei i nie polegając na niczym walczyłaś o siebie, wygrywałaś. Czym różni się obecna sytuacja?

– Prawdziwe potwory nigdy nie chowały się pod łóżkiem. Zawsze kryły się w mojej głowie – podniosłam powoli wzrok i spróbowałam spojrzeć na swojego towarzysza. – Weszłam tu sama.

– Zaiste – głos potwierdził.

– Jesteś potworem – wyszczałam.

– Nie przeczę.

– Stracić nadzieję, gdy nie ma się już nic więcej. Niewiele istnieje rzeczy równie okrutnych.

– A zatem postaraj się mnie nie stracić. Jak zakończy się twoja historia? – szepnęła Nadzieja.

Pytanie odbiło się echem w mojej głowie. Wiedziałam, jak chcę to zakończyć. Zaczęłam się czołgać. Mimo bólu, nie przerywałam. Nie mogłam, nie chciałam, nie umiałam. To nie tak miało się skończyć. Głos milczał. Tak naprawdę, nigdy nie istniał. Halucynacja znikła. Jeśli się pośpieszę, zdołam doczołgać się do najbliższego schronienia. Naprawię tam radio, wyślę sygnał ratunkowy. Wywalczę swoje własne, szczęśliwe zakończenie.

Natalia Wilczyńska

II nagroda

Marzena Wójcik

Schizein

słysząc tu ciche wycie widzę wyraźnie odbite w oknie sylwetki postaci nie potrafię przekręcić głowy w ich stronę jestem w końcu unieruchomiona skandują mi nad głową rodzinne rozmowy i nie chcę o tym wszystkim słyszeć waszych surowych jak mięso uwag o zazdrości nie mam nic w spadku zabazgrałam ten testament poświadczony notarialnie nic nic nic z tego nie wyjdzie moi mili i nagle spod białej pościeli i jasnozielonych ścian oświetlanych jarzeniówkami trafiam w ciche ciche miejsce i znowu jej wycie a przecież ona została już w szpitalu

tutaj jest mój dom pokój mieszkanie nie pamiętam jego numeru ale widzę ogon kota

zdechł nie rozumiem nie karmiłam go karma gdzie jest miska pachnie słodko i rój owadów wychodzi mu z pyszczka nie chcę na to patrzeć syk kot narzeczonego ale gdzie on jest z tym kotem się wybrał cesał go codziennie a dzisiaj jest środa w drobnych koronkowych firankach wyraźnie jest napisane i promienie

jestem w salonie no dobrze dziury w ścianach patrzę na dłonie są blade i posiniaczone na nadgarstkach mam ciemne blizny po własnych zębach nic dziwnego łamałam sobie też palce by nie drapać twarzy gdy znowu go zobaczę on mi coś zrobił?

nie pamiętam zdechły kot za oknem zmierzcha kroki armii czerwonej z pieśnią i maszerują raz raz raz

raz raz raz raz dłoń w górę dobosze energicznie ruszają rękoma tańczą wokół ogniska i tam wrzucam to

truchło zostawia mi obrzydliwy posmak na ustach ale muszę go ucałować po raz ostatni mój narzeczony kot

wznosi się okrzyk wyrwam sobie włosy jasne jak świt i krztuszę się krwią znowu o zachodzie słońca muszę odejść ja nie rozumiem niech spojrzą na mnie

żrenica wschodzi nad horyzontem czarna i iglica wbija się w chmury ale to można połamać to miasto igieł tuż pod splotem słonecznym przecież maszerują przyjdą i mnie zgwałcą jak moją babkę na oczach jej ojca w szalona zimę musieli uciekać podziemnym tunelem i nic z tego nie wyszło podpalili żywcem wszystkich podpalili zostawili by wrzeszczeli nadal ich słyszę dalej była biała kapliczka to przy niej mieli wyjść ale ostatnia ręka nie sięgała już do klapy w suficie bozia tak chciała by przeszli i dalej na zachód

la la la la laj laj laj

zwawe kroki zmęczonych kolumn wołałam być tą po drugiej stronie pozwólcie mi mordować i nosić nienawiść w warkoczu zaplecione perły od gauleitera chciał być elegancki i schlebiać mi bym mówiła o nim wyłącznie ładnie przy kolacji z papą choć wtedy nie żyłam ale ostrzelali mi kamienicę i dalej bombardowali nie nie przecież ja nie pamiętam tego ani moja matka

pamiętniki anatolii bazgrane pochyłym faszystowskim pismem ona także się bała miała czternaście lat? nieważne zabiła człowieka i milczała na żydów ale ja gdzie więc jestem ja mam ciało z kości słoniowej i tłoczone usta z marmuru włosy rossettiego dziewcząt bez tych ciemnych przepastnych oczu malowałabym siebie świętą na szubienicy ze związanymi rękoma powieki opuszczone skierowany wzrok na własne stopy nad lewą kostką jest ślad po ugryzieniu węża całowany zmywa grzechy i nad głową maluje mi jasną aureolę słońca blask kiedy powstał na drewnianych belkach z widocznymi drzazgami stoję się w końcu bożkiem bo rażą ich i giną od choroby popromiennej skóra im się topi i wydziela smrodliwy odór to poniżające być człowiekiem depcę ich głowy i

puste mieszkanie zwłoki kota są chyba jeszcze świeże czuję żadnego zapachu dotykam nosa ale tylko krwawa miazga kto mi to zrobił pewnie on on on zawsze czułam że w końcu mnie skatuje tymi śniadymi dłońmi zostały mi paranoje mojej babki ciągniętej za włosy i nogi kwiląc jak zarzynane ciele choć może się jej podobało mnie przy tym już nie było

mogłam zapytać sufit z pajęczynami ile tu leżę skoro gramofon gra i maszerują w łapciach i biedzie i ja

ja te wspomnienia nie są moje ile razy mi powtarzałeś że jestem chora ale to nie tak to jakby mi się kroki pomyliły nikt przecież za to dziecka nie gani uczy się i ja także ja też przecież chodzić

mogę całe życie nie potrafiąc mogę nawet biegać krzywo potykać się i nie patrz tak na mnie nie zasłużyłam na to zabierz tego kocura on mnie podrapał i liże po uchu nie krzycz idę na balkon masz ogień daj

wolę ołówki mam chyba manię temperuję układam osiemdziesiąty trzeci w równym rzędku nie są tej samej długości i uderzam głową o ziemię i chyba to wtedy zламаłam sobie nos kot liże nogę ja też liżę nogę

jakoś głupio zostałam nazwana jak piesek zamknięte w szafie szczenię co?

sufit z pajęczynami pokrytymi kurzem widzę przecież wyraźnie więc leżę na podłodze najpewniej bo twardo i kręgi mnie bolą kak ljublu ja was kak bojus ja was powiew powietrza okno jest jednak otwarte i pachnie spalinami dźwiękami tramwajów piskiem mew człowiek w kapeluszu wychodzi z taksówki i idzie samotną ulicą jest czwarta nad ranem któregoś czerwca niebo powoli traci barwę i znowu będą patrzeć wołam mężczyznę może to mój narzeczony ale on się nie ogląda a jednak nie wołałam to ojciec o wyżłobionych dolinach spadam w miokloniach z czerwonej pustyni białe gałązki się łamią ale nie umieram jak się nie budzę dolina się zamyka ten wawóz i czarne wygłodniałe psy mają piękne piękne

szczęki które canis lupus familiaris okładany kijem druga śmierć psa prostytuował się

każe mi zamknąć pysk to moja rodzina znowu stoją nade mną w tej białej sali ale ja jeszcze nie oszalałam wyrrywam się ale to tylko jakieś igły drzewa szumią za ścianą bo znowu nie wzięłam leków ile razy będziesz mi to wypominał tracę siebie i kim ja jestem z nimi bez nich z martwym kotem w łóżysku nie to mięso i pragnienia więc patrzę w to lustro ale oni tylko chcą to skończyć ja też w rytmie marszowym

i pamiętam co pisałam ołówkami potrafię cytować bez przestanków muszę nożyk naostrzyć

szarpiąc ucinął jej włosy siekając powietrze tuż przy skórze głowy białe kudły chwycił w pozieleniałe łapska i jak otawę rzucał pod nogi za siebie łeb ogolony uniesiono jej pysk do góry by wśród mgły poświeciły brudne ślepia obdziera ze skóry zwierzęcą czaszkę skrobie skrobie w ręce trzyma

bezwładniejący materiał a tu tępym ostrzem zgrzyt w stronę oczu pisk wyję
skomłę uspij mnie

znajoma twarz znudzona nie patrzy na mnie spięte włosy z siwymi pa-
smami ja panią znam i owszem odpowiada pani jest pielęgniarzką milczy

Marzena Wójcik

III nagroda

Weronika Tkaczyk

Każdy ma marzenia

Każdy ma marzenia, które pragnie spełnić. Pragnie, aby stały się rze-
czywistością. Mogą one dotyczyć najróżniejszych kwestii, gdyż my sami
bardzo różnimy się od siebie. Niestety, wielu z nas poddaje się już na starcie.
Uważa, że to czego chcemy, jest zbyt daleko. Jest nieosiągalne. Robimy sobie
wymówki, że za późno zaczęliśmy, że konkurencja jest zbyt duża. Jednak
jeśli poświęcimy się czemuś całkowicie, nic nie jest niemożliwe. Gdyby nie
było to prawdą i postanowiłabym zrezygnować z dążenia do swego celu,
moje życie wyglądało by zupełnie inaczej.

Wdech i wydech. Do moich uszu dochodzi głos prowadzącego:

– Dziesiątą uczestniczką XXXV Międzynarodowego Konkursu Skrzyp-
cowego imienia Henryka Wieniawskiego jest Weronika Tkaczyk.

Wchodzę na scenę i oślepiam mnie światła. Czuję, że wszystkie oczy
zwrócone są na mnie. Czuję zapach lakierowanej podłogi. Słyszę jak
widownia zamiera w oczekiwaniu. Zamykam oczy. Czuję, że żyję. Podnoszę
smyczek do góry i zaczynam grać. Pierwszy utwór to *Miniature viennese
march* napisany przez Fritza Kreislera. Zalewa mnie fala wspomnień.

– Proszę pani ja naprawdę chcę dostać ten utwór! – desperacja w moim
głosie była aż nazbyt wyraźnie słyszalna. Miałam wtedy dwanaście lat.
Przemawiała przeze mnie ambicja. Moja największa rywalka i jednocześnie
najlepsza przyjaciółka dostała ten utwór na egzamin i chciałam zmierzyć
się z nią na równych warunkach. Zawsze stałam w jej cieniu. Niezależnie
od tego, jak mocno bym się nie starała, nigdy nie byłam w stanie jej do-
równać. Ona była niezwykła. Ja przy niej – przeciętna. Nauczycielka

wykreowała ją na gwiazdę. Ja musiałam radzić sobie sama. Jednocześnie, mimo zazdrości, nie potrafiłam życzyć jej źle i naprawdę miałyśmy ze sobą wspianą relację.

Dostałam ten utwór. Ćwiczyłam do upadłego. Jednak to i tak było mniej czasu, niż poświęciła mu ona. Wreszcie nadszedł czas egzaminu na koniec piątej klasy i pora konfrontacji. Trzeba było pozbyć się złudzeń. Weszła na scenę i zagrała. Nigdy nie słyszałam nic lepszego w jej wykonaniu. Jej technika była o niebo lepsza od mojej, nie było co do tego wątpliwości. Wszystko we mnie zamarło. Miałam grać po niej. Weszłam na scenę, nastroiłam instrument. Zaczęłam powoli i niepewnie. Pianissimo. Piano. Przeszłam w forte. Czułam się już lepiej. Poddałam się muzyce. Zamknęłam oczy. niespodziewanie poczułam, że okulary zsuwają mi się z twarzy. Moja pewność siebie i skupienie drastycznie spadły. Do moich uszu dobiegły szepty z widowni. Spojrzałam na nią. Ona też patrzyła prosto na mnie pokazując kciuki do góry. W jej oczach widziałam niemą prośbę, abym skończyła. W pewnym momencie ku mojemu przerażeniu okulary spadły. Wszystko się rozmazało. Jednak nie mogłam się zatrzymać. Nie chciałam. Znów zamknęłam oczy. Miałam świadomość, że nie było to moje najlepsze wykonanie, ale chociaż dokończę utwór, o który tak walczyłam. Skończyłam. Schyliłam się po okulary. Zesłam ze sceny. Emocje opadły. niespodziewanie zdałam sobie sprawę, że cały czas na twarzy miałam uśmiech. Mimo tego wszystkiego, ja naprawdę świetnie się bawiłam. Usiadłam obok niej i uścisnęłyśmy sobie ręce. Wtedy uświadomiłam sobie, dlaczego jest ode mnie lepsza. Jej dłonie były o wiele bardziej spracowane od moich. Po prostu więcej ćwiczy. Tu nie chodzi o to, czy ma się talent lub czyjeś ręce są duże, a palce długie. Chinki, Japonki i Koreanki są przecież jednymi z najlepszych skrzypaczek. Ona najzwyczajniej w świecie jest temu najbardziej oddana.

Po zakończeniu egzaminu i ogłoszeniu ocen podszedł do mnie jeden z członków komisji.

– Po tobie przynajmniej widać, że kochasz to robić – powiedział i poklepał mnie po ramieniu. – Technikę da się wypracować. Z sercem do muzyki i wrażliwością trzeba się urodzić.

Te słowa przez wiele lat pomagały mi wytrwać w dążeniu do realizacji swojego marzenia, którym było zostanie profesjonalną skrzypaczką. Do egzaminu na drugi stopień szkoły muzycznej podchodziłam trzy razy. Było to dla mnie bardzo ciężkie psychicznie. Szczególnie, że oficjalnie nigdy nie zostałam przyjęta. Uczyłam się prywatnie, głównie sama w domu.

Teraz z moich skrzypiec wydobywają się te same dźwięki, co na egzaminie, który grała dwunastoletnia ja. Te same, ale jednak inne. Są bardziej wyraziste, pełniejsze, prawdziwsze, czystsze. Od tego czasu dorosłam. To, co kiedyś wydawało mi się trudnymi fragmentami, gram teraz od ręki. Zaczęłam też nosić soczewki kontaktowe, tak na wszelki wypadek. Jednak jest rzecz, która od tego czasu się nie zmieniła. Dalej czuję tę samą radość, stojąc na scenie. Mogę wyrazić siebie. Nie czuję ograniczeń. Wyładowuję się. To szybki utwór. Potrzebna jest tu precyzja. Smyczek lata. Dźwięki wypełniają przestrzeń. Pora na repetycję. Jak ja uwielbiam te adrenalinę. Łamię ostatni akord. Utwór się kończy.

Pora na kolejny – *Legendę* Henryka Wieniawskiego. Młody skrzypek podczas tournée w 1859 został zaproszony na londyńskie salony. Poznał tam Isabelę Hampton. Była to obustronna miłość od pierwszego wejrzenia. Jednak rodzice wybranki kategorycznie zabraniali i sprzeciwiali się temu związkowi. Henryk zamknął się w swoim wynajętym pokoju i nie wychodził przez trzy dni. Właśnie wtedy stworzył to piękne liryczne dzieło. Jest ono obdarzone silnym ładunkiem emocji. Czuć w nim tęsknotę, ból i miłość. Wysłał on bilety na swój następny występ rodzinie Hamptonów. Ojciec Isabeli tak mocno się wzruszył, że wyraził zgodę na ich ślub. Para pobrała się rok później.

Teraz to ja stoję na scenie. Słyszę, jak fortepian zaczyna grać. Zawsze uwielbiałam tę historię, pomimo faktu, że nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Delikatne, niskie dźwięki przepełnione melancholią rozlegają się po sali koncertowej. Nie słysząc nic innego.

Uwielbiam opowiadać historie, zarówno muzyką jak i piórem, wywoływać w ludziach emocje. Wzruszać ich. Rozbawiać. Szokować. Zadziwiać. Dlaczego? Powodem jest to, że nie chcę być zapomniana.

Weronika Tkaczyk

Wyróżnienie

Weronika Stasiak

Spokojny sen

Dobra. Dam sobie radę. Zawsze ogarnia mnie ta sama trema. Będzie dobrze. Musi być. Gdyby człowiek sobie tego nie powtarzał codziennie, toby się załamał. Ludzie, poddając się zbyt szybko, skreślają swoje marzenia. A czym jest człowiek bez marzeń? Dobra, koniec tych rozważań. Zachciało mi się filozofować w takim momencie. Jednak nie myślę, żeby studia w takim kierunku były błędem. Człowiek zaczyna wtedy inaczej postrzegać świat.

Ale teraz – wyciszam się. Czuję wewnętrzny, kojący spokój. Stawiam jeden, drugi krok i jestem na scenie. Panuje ogromny hałas, ale ja go nie słyszę. Biorę gitarę i po chwili w moich uszach rozplywa się muzyka niczym wodosпад karmelu opadający w ramiona jeszcze ciepłego mleka. Harmonia i melodyjność. Wszystkie instrumenty, perkusja, bas i gitara współgrają ze sobą, uzupełniając się bezsprzecznie. Nagle wszystko powoli cichnie i słyszę śpiew ptaka. Zdaje się, że to kos. Niespiesznie otwieram oczy, chcąc by ten sen trwał dłużej. Niestety nie mam takiej sposobności.

Wstaję powoli z zimnego kartonu leżącego na ziemi. Otrzeputuję się z suchych liści. Noce są coraz chłodniejsze. Następnym razem nie mogę dopuścić, by zajęto wszystkie miejsca w noclegowni. Czasami zastanawiam się, czy jest jakaś określona wartość każdego człowieka. Czy życie wszystkich jest tyle samo warte? Jeżeli tak, to dlaczego roszczeniowa matka wyklóca się o szybszą wizytę u lekarza dla swojego „tylko” przeziębionego dziecka, kiedy pewien sześciolatek, z Etiopii, który jest śmiertelnie chory, nigdy nie widział służby zdrowia na oczy? Zastanawiam się nad tym, idąc na przystanek. Muszę bardzo uważać, żeby mnie znowu nie złapali na tym, że nie mam biletu. W ręce trzymam futerał od gitary, a w nim moją jedyną własność. Ludzie patrzą na mnie ze współczuciem, czasami z obrzydzeniem. Nie przejmuję się jednak tym, co o mnie myślą. Za Chiny Ludowe nie chciałabym żyć tak jak oni. Są uwięzieni przez własne życie, związani łańcuchem pracy, obowiązków i wyrzeczeń. Ale spokojnie. Im się to podobą. Rutyna jest dla nich wskazana, bo inaczej nie potrafią żyć. Czekałam na przystanek na autobus. Obserwuję ludzi, którzy mnie otaczają. Widzę trzy osoby.

Nastolatek ma słuchawki na uszach. Zamiast posłuchać otaczających go odgłosów, popatrzeć na ludzi i spróbować docenić to, co się wokół niego

dzieje, jak piękny potrafi być świat, jak piękne potrafią drzewa, kwiaty i śpiew ptaków, on zamyka się na wszystko i patrzy tylko pustym wzrokiem na dąb, stojący po jego prawej stronie, na stokrotkę, która pod nim rośnie i na kosa, który siedzi na jednej z gałęzi i cudownym śpiewem oznajmia światu, że bardzo jest szczęśliwy. Cóż mogę poradzić? Patrzę na kolejną osobę.

Wysoka kobieta o łagodnych rysach twarzy. Nie wygląda na taką, która jeździłaby na co dzień autobusami. Może jej się auto zepsuło? Jest ubrana w szarą garsonkę, a w ręce trzyma teczkę. Wygląda na kogoś, kto pracuje w jakiejś korporacji przy biurku, a obok niej znajdują się setki takich biurek i setki takich jak ona. Korporacja. To słowo kojarzy mi się z Koreą Północną – wszyscy tak samo wyglądają, wszyscy tak samo się zachowują, nietolerowane są żadne odmienności. Wciąż patrzę na tę kobietę. Teraz rozmawia przez telefon. Jest bardzo zestresowana. Tłumaczy się chyba swojemu szefowi, dlaczego się spóźnia do pracy. Wstaje z ławeczki na przystanku, patrzy co chwilę na zegarek i zaczyna chodzić w kółko, rozpoczynając istny koncert tików nerwowych. Patrzę na nią ze współczuciem. Cóż mogę poradzić? Trzecia osoba wydają mi się najciekawsza.

Staruszka siedzi na ławeczce. Obok niej na chodniku leżą siatki z zakupami. Ma nieodgadniony wyraz twarzy. Delikatnie się uśmiecha, a jej oczy wydają się być rozmarzone. Nie tracę czasu i zagajam.

– Przepraszam, czy jechał już autobus numer pięćdziesiąt trzy?

– Nie, jeszcze nie jechał, córciu. Siedzę już tutaj od jakiegoś czasu i nie widziałam żeby jechał – odpowiedziała staruszka uprzejmie.

– Tak już właśnie jest z tymi autobusami. Kierowcy czasami nie biorą pod uwagę tego, że ktoś przez spóźnienie może zostać wyrzucony z pracy. – Spoglądałam w tym momencie ze współczuciem na wysoką kobietę z korporacji. Ona nagle na te słowa przestaje chodzić w kółko i w jej oczach dostrzegam łzy. Bez słowa podaję jej stare chusteczki, które trzymam w kieszeni od naprawde dłuższego czasu.

– Dziękuję – odpowiada. – Obawiam się, że to, co pani powiedziała, niestety może być prawdą. Pracuję tam już od jakiegoś czasu i wiem, że mój szef nie toleruje spóźnień – kolejne łzy spłynęły jej po policzku.

– Spokojnie – mówię. – Wnioskuje, że taka sytuacja zdarzyła się pani po raz pierwszy, a wygląda pani na osobę, która sumiennie spełnia swoje obowiązki i na pewno szef weźmie to pod uwagę. No już, nie trzeba płakać. Będzie dobrze, gdyby człowiek nie powtarzał sobie tego codziennie, to by się załamał. To okropne, jak ta praca potrafi zniszczyć człowieka od środka.

– Ooo, to mój autobus! – prawie krzyknęła i zerwała się z miejsca. – Dziękuję i do widzenia.

Rzeczywiście, patrzę jak jej autobus wyłania się zza zakrętu i gdy tylko drzwi się otwierają, ona wskazuje do niego i odjeżdża do swojego nudnego życia.

Jest mi jej autentycznie szkoda, ale cóż ja mogę poradzić? Chłopak siedzący koło mnie bez zainteresowania przyglądał się tej sytuacji i teraz tylko skomentował to słowem „histeryczka”. Patrzę na niego szokowana, ale nic nie mówię. Myśl, że on kiedyś też tak będzie żył, każe mi ugryźć się w język. Niedługo przyjeżdża jego autobus i wsiada do niego, aby wieść to nudne życie. Teraz na przystanku zostałam tylko ja i staruszka. Jestem bardzo ciekawa jej osoby i bez ogródek zaczynam rozmowę.

– Wie pani, czasami się zastanawiam. Człowiek jest tak zapracowany i zaślepiiony wszystkim, że nie zauważa, że droga do szczęścia jest czasami o wiele łatwiejsza, niż mu się wydaje.

– Ooo tak, ale człowiek czasami musi podejmować trudne decyzje, które uniemożliwiają mu wybór drogi. Czasami ją widzi, ale nie może nią pójść – odpowiada starsza pani z delikatnym, przekornym uśmiechem. O taką odpowiedź właśnie mi chodziło. Starsi ludzie potrafią ze mną dyskutować właśnie w takich okolicznościach i sprawia mi to niesamowitą przyjemność, bo za każdym razem uczę się czegoś nowego. Oni przeżyli już swoje i znają się trochę lepiej na życiu niż ja, mimo że ja też niemało przeżyłam.

– Podoba mi się pani punkt widzenia – odpowiadam.

– Na przykład ta biedna zapracowana kobieta. Ona zdaje sobie sprawę z tego, że byłaby szczęśliwsza, gdyby rzuciła tę pracę, ale jest zmuszona do niej. Pewnie ma dom, jakiś kredyt do spłacenia, dzieci, nie może sobie pozwolić na taki błąd. Bardzo miło się z panią gawędzi, ale już w oddali widzę mój autobus.

– W takim razie do widzenia i miłego dnia – odpowiadam trochę zawiedziona, że nie mogę jeszcze podyskutować z tą kobietą.

– Dziękuję bardzo i nawzajem – mówi z uśmiechem. – Może jeszcze kiedyś dokończymy tę rozmowę – bierze swoje siatki z zakupami i wchodzi do autobusu.

Każdy wsiadł do innego autobusu, bo każdy ma inny cel w życiu. A czekam na mój już wystarczająco długo. Na przystanku zostają tylko ja i moja gitara. Miło czasem z kimś tak porozmawiać. Jestem na ogół samotnikiem, więc przyjemnie jest do kogoś się odezwać. Ale w końcu widzę mój cel w życiu. Jedzie na sześciu kółkach, jest nieduży i czerwony. Wsiadam do niego.

Siadam. Jest dość tłoczno. Wszyscy się gdzieś spieszą. Patrzę przez okno. Ciemne chmury nadciągają nad miasto. Widzę błysk, a potem huk. Burza. Znowu błysk. Migawka, na którą lepiej nie patrzeć. Zaczyna delikatnie padać. Zawsze miałam wrażenie, że to łyż Kogoś, kto ubolewa nad tym, co ze światem zrobił człowiek. Człowiek, którego codzienne zmagania, ból, problemy, stres można by porównać do codziennej erupcji wulkanu. Ponad siedem miliardów wybuchów codziennie...

Przelotny deszcz ustępuje. Zza ciężkich, burzowych chmur wychodzi niepewnie słońce. Wsiadam z autobusu i kieruję się na plac. Kolejny dzień pracy, ale każdy różniący się od siebie. Znajduję sobie dogodny miejsce, gdzie przechodzi najwięcej ludzi. Wyciągam z futerału lekko wilgotny karton, kładę go na ziemi, wydaję moją jedyną własność, siadam i... czekam.

Dobra. Dam sobie radę. Zawsze ogarnia mnie ta sama treść. Będzie dobrze. Musi być. Gdyby człowiek sobie tego nie powtarzał codziennie, toby się załamał.

Zaczynam niepewnie stroić gitarę, a gdy jest już gotowa, jeszcze raz spoglądam na ludzi. Są zamyśleni, we własnym świecie. Niektóre spojrzenia są puste, niektóre nieszczęśliwe, niektóre wydają się nawet radosne, pewnie spowodowane jakąś ulotną chwilą. Już o tym nie myślę. Skupiam się na moim zadaniu. Na sprawieniu, aby posłuchali muzyki i doznali ukojenia, aby zapomnieli przez chwilę o problemach, aby był to balsam dla ich duszy.

Po chwili z mojej gitary wydobywają się słodkie dźwięki. Zapominam o Bożym świecie. Słyszę czasami monety wrzucane do futerału i wtedy spoglądam na tego człowieka i widzę w jego oczach autentyczną radość i wdzięczność. Jest to największa nagroda i zapłata. Wiedza, że chociaż przez chwilę ten człowiek poczuł się lepiej i na jego twarzy zagościł uśmiech, pozwalają mi spokojnie żyć oraz spać i nieważne, czy śpię na wilgotnym kartonie, czy na łóżku w noclegowni.

Ten sen jest spokojny.

Weronika Stasiak

Wyróżnienie



Kwiecień 2016. Prezentacja dorobku Stajni Literackiej z Warszawskiej Szkoły Pisania OW SPP. W imieniu uczestników Małgorzata Karolina Piekarska i Piotr Müldner-Nieckowski witają przybyłych do Domu Literatury licznych gości: *Będzie poważnie i wesoło, poetycko i prozaicznie...*

Warszawska Szkoła Pisania OW SPP

Stajnia Literacka

(opis skrócony)

Informacja ogólna

Program Warszawskiej Szkoły Pisania został opracowany w styczniu 2012 r. przez Piotra Müldnera-Nieckowskiego, który od tamtego czasu ją prowadzi z istotnym wspomaganie prezesa Oddziału Warszawskiego (OW) Jacka Moskwy, jego następczyni prezes OW Małgorzaty Karoliny Piekarskiej oraz pozostałych członków Zarządu OW SPP. Nazwę Szkoły wymyśliła Małgorzata Strękowska-Zaremba.

Grupa uczestników ma zmienny skład, ale sposoby działania są stałe, to znaczy zawsze nastawione na maksymalny efekt praktyczno-artystyczny



Stajnia w czasie pracy. Poza kadrem jest jeszcze dwadzieścia sześć osób...

połączony z wydobywaniem walorów osobowości twórczej. W grudniu 2013 na wniosek członków, grupę zaczęto nazywać „Stajnia Literacka”.

Na spotkaniach bywają eksperci – koledzy pisarze z OW SPP, a także specjaliści z zewnątrz, na przykład literaturoznawcy, dziennikarze, aktorzy czy reżyserzy filmowi. Niektórzy dają wykład teoretyczny, inni opowiadają o swoich doświadczeniach pisarskich i interpretatorskich albo biorą udział w rozmowach warsztatowych.

Przynależność do Stajni Literackiej jest dowolna, nie wiąże się też z żadnymi zobowiązaniami ani opłatami. Nie jest wymagane spełnienie żadnych warunków prócz ustnego oświadczenia, że uczestnik pisze teksty artystyczne albo zamierza uczyć się pisania takich utworów.

W zajęciach Stajni Literackiej regularnie bierze udział minimum 25 osób. Spotkania odbywają się co miesiąc (z wyjątkiem wakacji) w Domu Literatury w Warszawie, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89.

Cele

Do zadań WSP należą:

- propagowanie kultury literackiej, historii literatury i wiedzy o literaturze współczesnej oraz szerzenie wiedzy o języku polskim i jego stosowaniu w literaturze pięknej i publicystyce,
- wspomaganie początkujących autorów w ich próbach literackich przez analizowanie przedstawianych utworów i dyskusję nad nimi,

- wyławianie talentów literackich i pomoc w ich rozwoju, w tym w rozwiązywaniu problemów technicznych z pisaniem i publikowaniem, funkcjonowaniem w życiu kulturalnym i w zawodzie literata,
- wspomaganie w doskonaleniu pisanych przez członków Stajni utworów na poziomie zaawansowanym,
- prowadzenie wykładów z zakresu wiedzy literackiej, zwłaszcza technik warsztatowych, tajników języka pisarzy, genologii, konstrukcji utworów literackich, wpływania na odbiorcę literatury, wykorzystywania własnych predyspozycji literackich w twórczości, a także rozwiązywania problemów z zakresu prawa autorskiego,
- nauka wygłaszania i prezentowania utworów własnych i cudzych,
- nauka oceny literackiego utworu artystycznego,
- nauka przekonywania i dyskusji z uwzględnieniem rozpoznawania chwytów erystyki, manipulacji językowej i fałszu informacyjnego,
- nauka samooceny artystycznej,
- nauka samooceny w zakresie rzemiosła literackiego.

Metody dydaktyczne

Zajęcia są prowadzone z uwzględnieniem indywidualnych zainteresowań i predyspozycji uczestników. Każda osoba jest traktowana jako odrębna postać godna uwagi i wsparcia. Prowadzący stara się unikać ocen eufemistycznych i niepełnych, mówi wprost. W wypadku stwierdzenia czyichś możliwych do naprawienia braków w wykształceniu, wiedzy czy umiejętnościach wskazuje, o które trudności chodzi i jak można sobie z nimi poradzić. Na zajęciach panuje atmosfera życzliwości, współpracy, zaufania i zarazem dążenia do prawdy, która z założenia jest przedstawiana jako cel wszelkiej działalności artystycznej. Dzięki temu uczestnicy nawiązują trwałe, bliskie kontakty oparte na przyjaźni i wzajemnym zrozumieniu, a jednocześnie stają się zdolni do krytyki i samokrytyki, do dyskusji i rozpraw, i umieją skutecznie przedstawiać swoją twórczość.

Dominujące schematy spotkań warsztatowych

A. FORUM OGÓLNE:

- a) wykład prowadzącego, ew. zaproszonego eksperta,
- b) wygłaszanie utworów przez obecnych uczestników,
- c) dyskusja uczestników po każdym wygłoszeniu,

- d) po każdym wygłoszeniu opinia i porada prowadzącego,
- e) wnioski i podsumowanie.

B. FORUM ZADANIOWE:

- a) wykład na temat zadania; opis, wskazówki, zalecenia,
- b) seminarium / ćwiczenie – wykonywanie zadania,
- c) prezentowanie wykonanych zadań,
- d) dyskusja uczestników,
- e) wnioski i podsumowanie.

Historia

WSP SPP istnieje od kwietnia 2012 r. Wkrótce potem została jej przyznana kwartalna dotacja Biura Kultury m.st. Warszawy. Dotację spożytkowano do końca roku 2012 na:

- przeprowadzenie spotkań warsztatowych i wykładowych uczestników WSP SPP z pisarzami, krytykami, profesorami literatury i językoznawstwa, reżyserami filmowymi i teatralnymi oraz aktorami specjalizującymi się w prezentowaniu poezji i prozy,
- założenie strony internetowej poświęconej WSP SPP i jej Stajni Literackiej,
- wydanie w styczniu 2013 antologii prac literackich uczestników pt. *Coraz lepiej*.

Od stycznia 2013 jako instytucja non-profit WSP SPP opiera się wyłącznie na pracy społecznej członków SPP i dobrej woli zapraszanych gości.

Szkoła działa bez żadnej pomocy finansowej. Zapraszanie wykładowców i ekspertów jest z tego powodu bardzo utrudnione, kłopotliwe. WSP SPP może liczyć jedynie na bezinteresowną życzliwość potencjalnych wykładowców i ekspertów.

Od kwietnia 2012 r. do grudnia 2017 r. odbyły się 64 spotkania warsztatowe i autorskie (prezentujące twórczość członków Stajni Literackiej).

Do 2017 r. w WSP zarejestrowało się ponad 300 osób, ale jest wiele takich (np. zawodowych dziennikarzy i członków innych organizacji kulturalnych), które pojawiają się sporadycznie bez zapisywania się. Stajnia Literacka obecnie liczy łącznie 128 członków, wielu jest jej uczestnikami od początku istnienia.

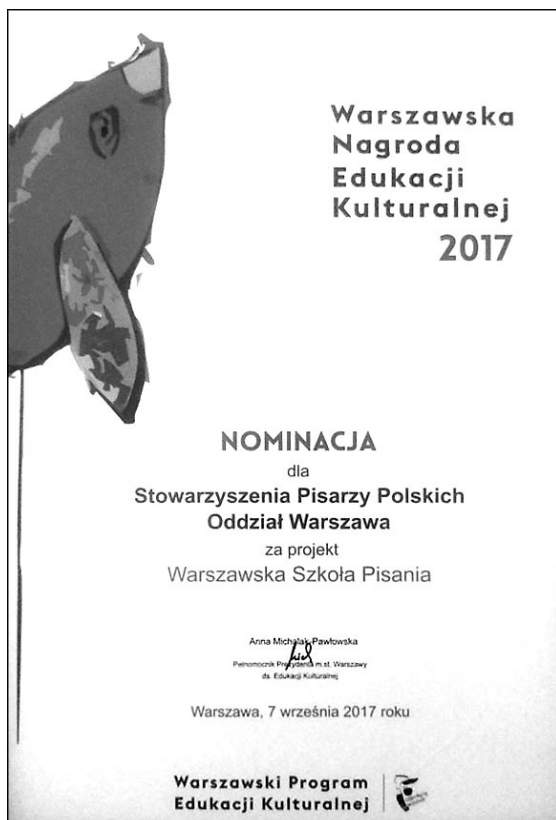
W roku 2016 dzięki aktywności społecznej SPP oraz dobrowolnym jednorazowym składkom uczestników (przeznaczonym na papier i druk)

wydano drugą antologię WSP SPP pt. *Co jest pisane* i odbyła się niezwykle udana prezentacja wydrukowanych utworów, która przyciągnęła dużą widownię.

Wśród członków Stajni przeważają osoby zainteresowane pisaniem poezji (75%), małych form prozatorskich (10%), większych form (1%). Są to ludzie młodzi (do 30 rż., ok. 20%), w wieku średnim (do 50 rż., 30%), a także starsi, przeważnie emeryci (50%). Dotychczas 11 członków Stajni (w tym 3 emerytów) zostało przyjętych do SPP, ponieważ ich talent i dorobek uznała Komisja Kwalifikacyjna SPP.

W 2017 r. Warszawska Szkoła Pisania OW SPP została nominowana do Warszawskiej Nagrody Edukacji Kulturalnej.

Piotr Müldner-Nieckowski



Magdalena Niedźwiedzka

Jestem nieżyciowa

Każde lato spędzałam nad jeziorem w domu babci. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień jest widok ogromnej księgi z dramatami Szekspira. Musiała na mnie robić wrażenie, bo jeszcze w szkole podstawowej wystawiłam dla domowników „Romea i Julię”. Pamiętam, że kolorowymi kredami własnoręcznie namalowałam dekoracje. Maluję do dziś, choć teraz są to już obrazy olejne. Cieszy mnie, że pierwszą moją książką, którą opublikowano, była „Królewska heretyczka” i że znalazło się w niej miejsce dla Szekspira, czy raczej jego cienia. Portret Elżbiety wita gości w moim domu.

John Ruskin powiedział kiedyś, że największą rzeczą, jaką może uczynić człowiek na tym świecie, jest dostrzec coś i w prosty sposób opowiedzieć o tym, co zobaczył. Myślę, że te słowa najlepiej wyrażają to, co robię jako pisarka. We wszystkim szukam prostoty, prostoty wyrazu i prostoty uczuć. Człowiek jest istotą na tyle złożoną charakterologicznie, że nie trzeba go przedstawiać bardziej skomplikowanym niż jest. Nie piszę o okrucieństwach świata w sposób bezpośredni, tylko na przykładzie ludzi, z którymi czytelnik nie do końca się utożsamia, bo albo są to głowy koronowane, albo ktoś, kto osiągnął w jakiejś dziedzinie światowy sukces. Ów dystans daje możliwość obiektywnej analizy kondycji ludzkiej, i dopiero jej pogłębienie doprowadza do konkluzji, że to również książka o nas, czytelnikach. Naturalnie, jestem świadoma, że wielu czytelników nigdy nie osiągnie poziomu lektury pogłębionej, ale to już kwestia odrębna.

Niestety, jestem nieżyciowa i niespecjalnie chcę się z tego leczyć. Żyję pisanem, wypełnia ono moje myśli i serce. Podejrzewam więc, co w zasadzie graniczy z pewnością, że jestem osobą trudną w obsłudze, na szczęście dosyć bezkolizyjną w codziennych kontaktach ze światem. Lubię sztukę, która prezentuje powszechnie znane przedmioty w całkiem nowym kontekście, podobnie czynię z bohaterami moich książek – poznaję ich, wnikliwie studiując fakty historyczne, po czym na etapie beletryzacji ich dziejów, stawiam ich jakby w nowym kontekście.

Maria Jolanta Piasecka

Ukrywam się i chodzę wspak

Byłabym jak filozof, który całe życie myślał i zabrakło mu życia, żeby żyć, gdyby nie Krystyna Rodowska, która skłaniała mnie do wydawania książek (nie wszystkich!) i namówiła, by wstąpić do SPP.

Mój opór przed „ujawnianiem się” spowodował zapewne ascendent w znaku Raka, zwierzęcia ukrywającego się i chodzącego wspak... Ale może też zamiłowaniem do powściągliwości. Znaleźć jedno adekwatne zdanie? Czy to nie za dużo? Może jedno słowo? Ten minimalizm przywiódł mnie do aktualnie uprawianej, ascetycznej formy haiku.

Istnienie poezji dostrzegłam przed maturą, po lekturze wiersza Leśmiana, autora, który wciąż jest dla mnie bardzo ważny. Obok Rilkego. Nieco inny szczyt – to Matsuo Basho, mistrz haiku. Porzucił służbę dworską dla literatury. Ja porzuciłam dla niej Politechnikę Szczecińską.

W trakcie owego porzucania napisałam pierwsze opowiadanie i wysłałam je na konkurs, zdobywając II nagrodę. Zanim to nastąpiło, kolejne wersje tekstu były darte na strzępy przez Jerzego Pachlowskiego, szczecińskiego pisarza marynisty, mojego pierwszego nauczyciela prozy.

Na studiach polonistycznych pisałam z kolei wiersze (do szuflady), mając za wzór Tymoteusza Karpowicza i Stanisława Barańczaka. Do prozy wróciłam zmotywowana przez Edwarda Balcerzana, który jako promotor, dostrzegł „coś” w mojej pracy magisterskiej i zachęcił do pisania doktoratu. Jego temat – symbolika snu – był owocem seminariów mitograficznych z profesorem Stefanem Sawickim na KUL-u.

Pasję naukową stale łączyłam z fascynacją kulturami i mitologią Północy i Wschodu. Być może dlatego inspiruje mnie do pisania to, co bywa rzadkim objawieniem: ujrzeć świat w kropelce wody, niebios w małym kwiatku z lasu – jak to ujął William Blake.

Jerzy Seipp

1800 znaków w autocytatach

– Niektórzy budzą się z uczuciem, że wszystko, co nas otacza, pełne jest tajemnic. Ja cieszę się, że świat dostępny jest tak prosty jak przyjemność dotknięcia kobiety leżącej obok.

– Mój bohater ma odwagę stanąć przed lustrem i powiedzieć na głos: „jestem popieprzony jak paczka gwoździ, coś trzeba z tym zrobić”. Dla większości społeczeństwa jest to zupełnie niewykonalne. Sprzedawcy tego świata uczą nas przecież, że problemy emocjonalne załatwia się powtarzaniem afirmacji: jestem taka piękna, jestem taki mądry, a Bóg zrobi za mnie to, czego mi się nie chce. Potem trzeba już tylko kupić w aptece najnowsze prochy, a w internecie poradnik „Jak zostać milionerem, nie wychodząc z domu”.

– Muszę rozliczyć swoje cierpienie spowodowane dwoma tysiącami lat wychowywania nas przez Biblię, pokolenie za pokoleniem. Według Pisma Świętego na żądanie Boga: „zarznij dla mnie swojego ukochanego syna” pobożny ojciec odpowiada: „a ileż to roboty!” i łapie za nóż. I dopiero ten sam Bóg musi go powstrzymać, śmiejąc się: „ja tylko żartowałem”. Urodziłem się w katolickim kraju, w katolickiej rodzinie i jako dziecko przyjąłem ten tekst z dobrodziejstwem inwentarza. Lecz kiedy sam zostałem ojcem, przetarłem oczy, rozejrzałem się wokół siebie i ze zdumieniem zacząłem pytać, czy tylko ja widzę, że coś tu, kurwa, jest nie w porządku?

– Tak, jestem kosmitą, a także lesbijką, czarnuchem, agentem i zdrajcą. Wszystkie narodowe pyskówki sprawiają, że czuję się stary i chory, bo wiem, że moja umiejętność wypicia litra bez zakąszania, co zawsze było jednoznacznym dowodem na bycie Polakiem i katolikiem, dzisiaj już nie wystarczy. Dzisiaj musiałbym potem komuś nieposiadającemu tej umiejętności przypierdolić, a na to się zwyczajnie nie zgadzam. Bycie kosmitą pozwala mi na dystans do swojej, jakże krótkiej, obecności na Ziemi i do rodaków – pobratymców – braci – krajan – ziomków.

– Tak niewielką liczbę procesów zachodzących w mózgu kontrolujemy, że ze strachu wymyśliłiśmy Boga, a dla chociaż odrobiny radości w tym niezrozumiałym bałaganie – sztukę. I właśnie wyłapywanie tej radości w relacjach: literatura – sen z kobietą – rozum – muzyka – Bóg – miłość dziecka – performance – życie – to moja wielka namiętność.

JUBILEUSZ 30-lecia twórczości

Małgorzaty Karoliny Piekarskiej

Jacek Moskwa
Wiceprezes Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Warszawa, 2017.10.15

W.P. Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Szanowna Pani Prezes,
Droga Małgosiu,

zaplanowany od dawna wyjazd do Rzymu na konferencję w dziesięciolecie śmierci Luciany Frassati-Gawrońskiej, której biografii jestem współautorem, nie pozwala mi uczestniczyć w Twoim Jubileuszu. Zresztą wiadomość, że zamierzasz obchodzić trzydziestolecie pracy twórczej był dla mnie niespodzianką i prawdziwym szokiem. Jak wszystkim wiadomo, masz nie więcej, niż 32 lata. Debiutowałaś więc zapewne już w żłobku.

Laudacja Iwony Smolki zwalnia mnie z obowiązku wypowiedziania się o Twoich książkach, które cenię wysoko, podobnie jak Twą pracę dziennikarską. Kilka jednak słów w sprawach organizacyjnych. Decyzja o zgłoszeniu Twojej kandydatury na fotel prezesa Oddziału Warszawskiego SPP należała do najlepszych, jakie w życiu podjąłem. W krótkim czasie potrafiłaś dokonać rzeczy, o których ja i poprzedni prezesi mogliśmy tylko bezpłodnie marzyć. Z pomocą innych osób w Zarządzie uruchomiłaś pismo literackie z prawdziwego zdarzenia; za cenę odejścia kilku obraźliwych ruszyłaś sprawę ściągania składek członkowskich; uruchomiłaś pomoc prawną dla pisarzy oszukiwanych nagminnie przez wydawców; organizując wiele ciekawych imprez, tchnęłaś nowe życie w szacowne mury Domu Literatury. Przede wszystkim jednak odbudowałaś więzi członków środowiska Oddziału Warszawskiego z osobą Prezesa i pomiędzy sobą. Wierzę, że jest to początek odnowy całego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Gorąco życzę Ci dalszych sukcesów we własnej twórczości i pracy dla dobra Stowarzyszenia, a w życiu osobistym wiele miłości.

Najserdeczniej
Jacek Moskwa

Vocatio
Zbigniewa Zbikowskiego
w Piwnicy pod Baranami

Paweł Pierzchała, kompozytor związany z krakowską Piwnicą pod Baranami, napisał muzykę do wiersza *Vocatio* Zbigniewa Zbikowskiego, wydrukowanego w numerze 3 „Podglądu” z 2015 r. Premierowe wykonanie utworu odbyło się 9 września 2017 r. podczas dorocznego *Koncertu dla Piotra S.* w krakowskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego, inaugurującego nowy sezon Piwnicy, już 62. *Vocatio* zaśpiewała z powodzeniem jedna z gwiazd tego zespołu, Ewa Wnukowa.



Ewa Wnukowa. Piwnica pod Baranami.
Fot. M. Leżańska

Zofia Beszczyńska

Lupus

– Dochodzi piąta, a my w lesie! – narzekała mama, ocierając czoło wierzchem dłoni. Na czole i nosie zostawały jej smugi mąki.

Nie były w lesie, lecz w kuchni. Na dworze było już ciemno, prawie jak w lesie. Tylko że tam ciemność jest zielona, a tu, za oknem, granatowa. Nawet śnieg wygląda bardziej na granatowy niż biały.

Tata (który obiecał przynieść choinkę) wciąż nie mógł wyjść z pracy: właśnie zadzwonił, żeby na niego poczekać, jeszcze trochę. Zabawki i lampki leżały przygotowane na stoliku w dużym pokoju, a Nata z mamą ugotowały już zupełną grzybową i czerwony barszcz z jaśkiem (fasolą, nie poduszką), kapustę z grochem i kluski z makiem, kompot śliwkowy i kisiel żurawinowy, a teraz mama wsuwała do pieca swoje najwspanialsze na świecie ciasto z bakaliami, czyli keks.

Spojrzała na zegar, westchnęła i wytarła ręce w wilgotną ścierkę.

– Skończyłaś sałatkę? – spytała.

Dziewczynka szybko kiwnęła głową.

– Nie musisz dodawać więcej majonezu, i tak będzie smaczna. Czy coś się stało?

Nata przełknęła ślinę.

– Matylida zniknęła – odpowiedziała ponuro.

Matylida była jej ukochaną lalką, właściwie jedyną, jaką lubiła. A właściwie jedyną w ogóle. Spała z nią i jadła, prawie kąpały się razem. Wieczorami, w łóżku, Matylida opowiadała Nacie bajki, a rano łaskotała, żeby ją obudzić.

– Jak to: zniknęła? – zdziwiła się mama. – Zapodziała się? A może gdzieś wpadła? Szukałaś za tapczanem, w pościeli?

– Szukałam. Wszędzie. Poszła sobie, i tyle. Nawet słowa mi nie zostawiła. – Nata pociągnęła nosem. Jeszcze chwila, a się rozpłaczę.

– Wiesz co? To może jej poszukasz. Od rana byliśmy zajęte, pewnie się znudziła i rzeczywiście dokądś poszła. Jest w ogródku może? Lepi tam bałwana albo co... – dodała, ale tak zamyślona, że chyba sama nie słyszała, co mówi.

Nata kiwnęła głową. W sumie mama miała rację. Nie ma co tak stać i przeżywać.

Wyrównała wierzch sałatki łyżką i ułożyła na nim kilka migdałów w kształcie gwiazdy. Potem oblażała palce i łyżkę, umyła ręce i obciągnęła rękawy bluzy.

– Ale tylko do ogródka – przypomniała mama. – Wypatruj pierwszej gwiazdki.

Do pierwszej gwiazdki jeszcze daleko, przynajmniej do powrotu taty. Ale co tam.

Na dworze było mniej granatowo, niż wydawało się to z mieszkania. Prawie we wszystkich oknach wokół płonęły światła, w wielu jarzyły się choinki. Ubrane drzewka świeciły też w kilku ogródkach. A w ogródku Naty nie było nawet bałwana. Tylko ślady małych stóp prowadzące na zewnątrz.

Do lasu.

Nata popatrzyła w górę i zobaczyła ogromny księżyc, lecz ani jednej gwiazdy.

Popatrzyła w dół: ślady wciąż były na śniegu. Dokąd mogła pójść?

Tak bez słowa.

Muszę to sprawdzić. Na pewno nie odeszła daleko. – Nata spojrzała w okno kuchni, ale nie zobaczyła tam mamy. Górna lampa była zgaszona, paliło się tylko światło pod okapem kuchenki. Spojrzała w stronę lasu. Był ciemny i nieprzenikniony jak ściana, ale w głębi migotały iskierki, płomyki, ognie.

Furtka stała uchylona. Ślady prowadziły do lasu.

Po coś tam poszła, czegoś szukała. Trudno: skoro ona się nie bała, ja też nie będę. Tym bardziej że dzisiaj jest bardzo specjalny dzień, a niedługo przyjdzie jeszcze specjalniejszy wieczór.

Mocno objęła się ramionami i ruszyła przed siebie. Furtka za jej plecami stuknęła ostrzegawczo.

Co tam.

Pod nogami dziewczynki przemykały cienie: zwierząt? owadów? innych stworzeń? Małych, czasem pokraccznych, ale... żeby tylko nie zdepptały śladów Matyldy! Nagle zobaczyła przed sobą sosnową gałąź, za nią drugą, trzecią... Leżały rozrzucone bezładnie, jakby zgubiło je uciekające drzewo. No nie, co ja wymyślam, drzewa nie biegają przecież – skarciła się w myślach. – Pozbieram trochę, zrobię zimowy bukiet.

Ślady Matyldy ciągle błyszczały w śniegu.

I podobnie błyszczało powietrze w lesie.

Nata rozejrzała się. Wszędzie widziała małeńkie choinki obsypane migoczącym pyłem i uwijające się wokół nich jeszcze mniejsze postacie. Jedne wyglądały na zwierzęta, inne na ptaki albo owady, a jeszcze inne... Jedne miały skrzydła i różki, inne futerka i ogony, a jeszcze inne... – Potrząsnęła głową.

Którś ze stworzeń podniosło łapkę, inne zamachało warkoczem, kolejne parsknęło głośnym śmiechem.

– Cześć! – zawołała Nata. – Jak się macie?

Wzleciały w powietrze jak chmura motyli.

W tej samej chwili dziewczynka zobaczyła kolejną choinkę, dużo większą i bardziej błyszczącą. Lśniące wstążki wirowały wzdłuż jej osi jak żywe stworzenia, między nimi świeciły gwiazdy. Prawdziwe czy śniegowe? Drzewko stało u podnóża wielkiej zasy, dokładnie tam gdzie urywały się ślady Matyldy.

Nata przystanąła. Zupełnie nie wiedziała, co robić. Zebrane gałęzie zaczynały jej ciążyć, ale nie mogła położyć ich znów na śniegu: dosyć się tam wyleżały. Zdjęła szalik – był dużo szerszy, niż myślała – i delikatnie umieściła je wewnątrz.

W głębi zasy coś drgnęło, część jej boku wklęsa się i zapadła; dziewczynka odskoczyła w ostatniej chwili. Otwór rósł z każdą chwilą, w końcu wyrzał z niego czarnobrazowy pyszczek. Psa? Szczeniaka! Skąd tu nagle... Nie, to nie pies, ale szczeniak, tak. Mały wilk!

Nacie zabrakło tchu w piersiach. Cofnęła się o krok. Szczelina rozszerzyła się jeszcze bardziej, teraz wyglądały z niej łapy i nastroszone futro. Dziewczynka stanęła jak wryta. Odwróciła oczy... i znów zobaczyła ślady drobnych stóp. Prowadziły prosto do zaspowego okna.

I rzeczywiście! Roześmiana Matylda siedziała na grzbiecie wilczka, mocno trzymając go za sierść na karku. On kręcił łbem na wszystkie strony, próbując dosięgnąć jej jęzorem, ale zupełnie mu się to nie udawało. Ona zanosila się od śmiechu tak, że uśmiechnęła się i Nata. Nagle poczuła, że jest jej miękko i lekko, i bardzo ciepło. Wilczek już całkiem wydostał się z zasy i stał przy dziewczynce, obwąchując jej buty. Kucnęła, żeby go pogłaskać, lecz nie zdążyła: to on pierwszy oblizał jej dłoń szorstkim jęzorem. Zrobiło się jej jeszcze cieplej. Matylda pękała ze śmiechu. Wilczek odbiegł od butów Naty i przystanął, patrząc na nią. Machał ogonem.

Całkiem przyjaźnie – pomyślała.

Otwór w zaspie był już tak szeroki, że przypominał drzwi. Wyglądało z niego kilka węszących pyszczków i jeden dorosły pysk. Mamy wilczycy może? Wszystkie się cofnęły, robiąc dziewczynce przejście.

W norze było ciepło i przytulnie. Na ziemi leżały warstwy siana i kępy mchu, oraz mnóstwo patyków i czegoś, co przypominało... (ale nie, lepiej o tym nie myśleć), a pośrodku płaski szary kamień. Nata wyjęła z szalika kilka gałęzi, kucnęła przy kamieniu i ułożyła je w kształcie gwiazdy.

Matylda wsunęła palce w dłoń dziewczynki, mama wilczyca polizała ją po twarzy. Dziewczynka rozejrzała się ostrożnie, ale w norze nikogo więcej nie było. Tata wilk nie wrócił jeszcze z polowania?

Wstała.

– To co, idziemy?

Wilczek zamachał ogonem tak energicznie, że w powietrze wzbiła się chmura śniegowego pyłu. Matylda otworzyła usta, a gdy białe gwiazdki spadały jej na język, znów wybuchała głośnym śmiechem. Nata delikatnie wsunęła ją do kieszeni kurtki.

– Wszyscy razem – podkreśliła.

Wracala do domu po śladach lalki – ciągle wyraźnych, jakby powstały pięć minut temu – a za nią szła wilcza rodzina. Mama wilczyca, która sama zaproponowała, że będzie dźwigać na grzbiecie szalik z gałęziami, i czwórka jej dzieci. Wychodzili z lasu tak łatwo, jak przechodzi się z jednego pokoju do drugiego, aż nie wiadomo kiedy stanęli pod furtką do ogródka. W kuchni znowu paliło się światło. Może mama wyjmowała już keks z piekarnika?

Matylda poruszyła się w kieszeni Naty.

– Tak, masz rację! – zgodziła się dziewczynka. – Spojrzała w niebo i zobaczyła pierwszą gwiazdkę, błyszczącą obok księżycy.

Drzwi domu otworzyły się i wyrzwała z nich mama, a za nią tata, uśmiechnięty od ucha do ucha. Zarumieniona mama trzymała w rękach ogromny bukiet gałęzi ostrokrzewu.

– Jesteś nareszcie! – zawołała. – Bo właśnie zobaczyliśmy pierwszą gwiazdkę... – I nagle posmutniała. – Ale wiesz, jednak nie mamy choinki.

– Jak to nie mamy! – zawołała Nata i rozwiązała szalik. – Mamy też gości!

W następnej chwili pośrodku stołu stanął wazon z sosnowymi gałęziami, a na podłodze, na kocu przykrytym sianem, zasiadła wilcza rodzina. Z wielkim smakiem zjadała chleb, sałatkę z majonezem, kapustę z grochem i kluski z makiem i piła barszcz oraz śliwkowy kompot, a Matylda siedziała trochę z nią, a trochę z Natą. Lalka jadła tylko keks mamy, najwspanialszy na świecie, i piła kompot, własnoręcznie doprawiony przez Natę.

To była najcudowniejsza Wigilia, jaką miałam w życiu – pomyślała dziewczynka, zasypiając.

Na jej poduszce z jednej strony jak zwykle spała Matylda, a z drugiej – wilczy szczeniak z czarnobrzązowego pluszu.

Miał na imię Lupus.

Zofia Beszczyńska

Opowiadanie ukaże się w antologii *Gwiazdkowe opowieści* (2018), przygotowywanej przez wydawnictwo Nasza Księgarnia.

Zofia Beszczyńska

wiersze o zwierzętach

lisie zwyczaje

*

zimą gdy się uprze
lis chodzi w białym futrze
a kiedy mu się znudzi
nakłada rude –
i jest widzialny dla ludzi

*

lis kiedy się uprze
chodzi w rudym futrze
lecz gdy przychodzi grudzień
zmienia je na białe –
by śniegu nie brudzić

lisy

wychodzą z lasu –
widujesz je czasem?

ukryte za drzewami
w drzewa przemienione
wędrują to w tę
to w tamtą stronę

porosłe gałązkami
liśćmi i igłami
idą za naszymi snami

by się w nich schronić
umościć

rudodzicy
dzikozieloni
goście

*

trzeba rozpalić ognisko:
lisy podchodzą za blisko

duże ognisko na trawie
z suchych gałęzi i liści
i szyszek jeszcze zielonych

aż lisy machną ogonem
i znikną

jak wszystko

psy w pełni księżyca

stają się wilkami
wydłużają szyje
porastają kudłami
i unosząc głowy
wołają do nieba:

Panie Boże czyś wiedział
czego nam potrzeba?

Joanna Jagiełło

Zielone martensy

(fragment*)

Po raz pierwszy zobaczyłem Optę na boisku szkolnym. Był dzień sportu. Nienawidzę takich imprez. Powody są dwa, a może nawet trzy. Po pierwsze: chronicznie nie znoszę imprez zorganizowanych, takich jak pikniki, festyny, dni tego czy tamtego. Nie lubię tłumów i tej całej szopki. Tego, że ktoś ci tak organizuje czas, chociaż wolałbyś poczytać w spokoju książkę, albo się powalać po ulicach, bo niekoniecznie musisz mieć ochotę właśnie dzisiaj skakać w dal, albo biec przez płotki, albo kosztować ciast przygotowanych w czynie charytatywnym przez klasę pierwszą dla wspaniałych sportowców. Niedobrze mi się od tego robi. Po drugie, w szczególności nienawidzę dnia sportu. Bo – a – nienawidzę sportu w ogóle, dla mnie jest to jakiś aspekt naszego życia totalnie niezrozumiały, że trzeba się ścigać, mierzyć, kto dalej skoczy, albo bić na pięści. Co to w ogóle mówi o człowieku, że biega szybciej od innych? Lepiej by usiadł i pomyślał trochę. No, wiem, mnie nie wypada mówić, że nie lubię sportu, bo zaraz się zaczniesz. Że tak mówię, bo jestem fujara i cienias. Prawda, nie zaprzeczam. Zawsze byłem niższy i chudszy od innych, teraz, w drugiej klasie gimnazjum, wyglądam jakbym jeszcze był w podstawówce. Kiedyś na wuefie nie udało mi się nawet unieść piłki lekarskiej, a co dopiero nią rzucić. To dopiero był brecht, myślałem, że mi bębenki popękają. Najchętniej załatwiłbym sobie zwolnienie z wuefu, i to nie na miesiąc czy na rok, tylko na całe życie. Oczywiście mama nie chce o tym słyszeć, choć gdyby chciała, to by mi załatwiła, w końcu obraca się w środowisku medycznym, nie? A trzecia przyczyna jest taka, że nie znoszę konkurencji. W niczym, nie tylko w sporcie. Brzydzę się tym, że ktoś musi wygrać, a ktoś przegrać. Wszystko co najgłupsze w naszym świecie zostało wymyślone dlatego, że jest konkurencja. Jeden drugiemu musi dowalić, jak na wojnie. W szkole zresztą też jest trochę jak na froncie, walczy się tu na pięści, ale i na marki ciuchów i smartfonów. Ja się od tego odcinam. No ale cóż, na razie nie mam nic do gadania, muszę brać udział

* Fragment pochodzi z powieści dla młodzieży pt. *Zielone martensy*. Powieść otrzymała II nagrodę w konkursie im. Astrid Lindgren i została opublikowana w 2016 roku przez wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, a w języku ukraińskim przez lwowskie wydawnictwo URBINO.

w tym zafajdanym Dniu Sportu, chociaż pewnie nawet na sto metrów ledwo uda mi się dobiec do mety z wywieszonym jęzorem. Nikt mnie nie pyta, czy mam ochotę publicznie obnażać swoją marną kondycję, jestem przecież więźniem tego systemu, gdzie każdy musi robić to samo, choćby się zasmarował i sfajdał w gacie. Adrenalina mi od tego rośnie.

No i było jak myślałem – czyli biegnę ostatni, nawet Koperkowa się podśmiewa, mimo, że jest nauczycielką i nie powinna, ale ten jej czarny meszek nad wargą drży z radości, że Feliks Maślanka, cud natury o wspaniałym nazwisku i wątlej fizys zamiast biec już tylko dreczcze, bo ostatnie okrążenie go wykończyło. Jak powie jeszcze raz, że powinienem jeść więcej produktów mlecznych (i – he he – maślanki), to się wcale nie zdziwię, ma stały repertuar dowcipów. Dobiegam do mety i opadam na ławkę, upokorzony i wycieńczony, i tak mocno się w tę ławkę wbijam, że jakaś dziewczyna obok aż podskakuje. Patrzę na nią kątem oka, ruda jest, włosy kręcone, czarownica, pewnie się zaraz będzie pieklić, że ze mnie taki cham i prostak, że nawet na ławce nie umiem usiąść jak człowiek. Oczekuję reprimendy.

Ona się śmieje. Myślę, że ze mnie i już zastanawiam się co odpowiedzieć, kiedy ona mówi:

– Gdyby były zawody w kosmicznym lądowaniu tyłkiem na ławce, to pewnie byś wygrał.

Kulę się w sobie i staram się być jeszcze mniejszy, niż jestem, może się odczepi, ale ona staje nade mną i muszę podnieść wzrok. Słońce mi zasłania, sama staje się słońcem, ma głębię całą w piegach, a te rude włosy wyglądają jak jakaś święta aureola. Uśmiecha się szeroko, ma wielkie zęby z przerwą w środku. Nie mogę oderwać oczu od tych białych zębisk jak u konia.

– Opta jestem – wyciąga rękę.

No tego jeszcze nie widziałem, żeby dziewczyna tak się witała. Ale ja w ogóle mało widziałem, a już na dziewczynach to znam się pewnie najmniej na świecie.

– Opta? – mówię, a raczej piszczę, głos mi się jakoś zepsuł, pewnie z wrażenia. Pomyśli, że jestem głuchy albo głupi, albo jedno i drugie, zresztą nie będzie pierwsza. – Czy Ota?

– W sumie to Ota, Otylia. Ale wołę Opta. Mama mnie tak nazywała. A zresztą... nie wiem, czy chcesz słuchać wspaniałej historii mojego imienia. Nie musisz iść?

Tak, teraz widzę, że Koperkowa przywołuje mnie ręką. Zdaje się, że zaraz każą mi znowu się wygłupiać.

– Poczekaj – mówię z desperacją, bo nigdy się nie zdarzyło, żeby jakaś dziewczyna do mnie zagadała, a szczególnie taka z rudą aureolą, i ciągnę w stronę Koperkowej, specjalnie powłócząc nogami. Udać mi się nałożyć na twarz grymas, który ma oznaczać silne dolegliwości bólowe.

– Gdzie ty się podziewasz – mówi Koperkowa. – Ile mamy na ciebie czekać? Jest sztafeta, ustawiliśmy cię w pierwszej czwórce.

Zdaje się, że w pierwszej po to, żebyś zdążył dobiec przed końcem całego biegu.

– Pani profesor – mówię – boli mnie brzuch. Nie dam rady, naprawdę. Marszczę brwi i gnę się w pół, ale też uważam, żeby nie przesadzić, poza tym jestem na granicy śmiechu i zdaję sobie sprawę, że to się zaraz źle skończy. – Pani wie, że biegi na mnie źle działają. Dostałem strasznej kolki.

Sama też marszczy brwi, jakby chciała mnie przedrzeźniać, a wąsik jej chodzi w lewo i w prawo. Przypomina chomika, który próbuje ocenić, czy ziarno jest świeże, czy oszukane.

– No dobrze – mówi w końcu. – Jak nie przejdzie za kwadrans, pójdziesz do pielęgniarki. Idź odpocząć, po sztafecie są skoki w dal, może dasz radę. Kiwam głową, tak smutno, jakbym się martwił tym, że sztafeta mnie ominie, a potem się odwracam i już chcę prawie pobiec, ale sobie przypominam, że przecież boli mnie brzuch, więc wlokę się z powrotem w stronę ławki. Jest tam nadal, siedzi i patrzy na mnie po prostu, bez żadnych tam wykrętów, nawet nie pisze smsów na komórce czy coś takiego, żeby udać, że jej to wisi.

– Hejka. Jak brzuch? Nieźle zagrane – ocenia i znowu się śmieje. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba. Ile się można tak śmiać.

– A ty co? Tobie pewnie starzy załatwili zwolnienie z wu-fu na lewo? – odcinam się.

– Nie musieli załatwiać, ale rzeczywiście mam zwolnienie z wuefu. Mam astmę. Mogę co najwyżej ćwiczyć jogę. Taki bieg by mnie zabił.

– Mnie też mało co nie zabił – przyznaję. – Może ja też mam astmę, tylko o tym nie wiem?

Dlaczego, jak mi na kimś zależy to muszę zawsze wymyślić jakiś bezna dziejny żart? Mam przerąbane.

(...)

– To co, chcesz posłuchać historyjki o moim imieniu?

– Jasne.

– Myślisz czasem o chwili, w której powstałeś?

– Kiedy się urodziłem? – pytam, bo dla wielu ludzi to jest to samo.

– No nie. Kiedy zostałeś poczęty – mówi wprost.

Oczywiście, że myślę. To pierwszy moment z tych, które do tej pory zmieniły moje życie. Najwięcej chyba o tym, czy w ogóle gdzieś byłem, zanim powstałem, ale przecież nic nie powstaje z niczego, i nic w przyrodzie nie ginie, więc nawet jeśli istniałem tylko w postaci atomów, albo jakiegoś gwiazdnego pyłu, to przecież jednak tak. Moment mojego poczęcia wypada w pewne wakacje na początku dwudziestego pierwszego wieku. Z moich kalkulacji wychodzi, że musiał być to lipiec, skoro urodziłem się w marcu. Moja mama nigdy nie chce ze mną o tym rozmawiać, uważa, że to nie są tematy dla dzieci. Ciekawe, że dorośli tak często zmieniają perspektywę. Raz jesteś dla nich dzieckiem, a raz prawie dorosłym, w zależności od tego, czego od ciebie chcą, albo czego nie chcą, żebyś robił. Znalazłem stare zdjęcia na pawlaczu, mama wyciąła z nich co prawda ojca, ale została plaża, ręcznik i morze, i data w rogu też została, 12 lipca, mniej więcej dziewięć miesięcy przed moim urodzeniem, mniemam więc, że to stało się właśnie wtedy, bo są na tym zdjęciu uśmiechnięci, a przynajmniej mama – no ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby ojciec był smutny, raczej się wtedy jeszcze kochali. Ciekawe, kto im to robił, nie było wtedy jeszcze selfie-sticków, nawet komórki były jakieś przedpotopowe. Wyobrażam sobie, że ustawili aparat na zamku z piasku albo kopcu kamieni i włączyli samowyzwalacz, lubię sobie wyobrażać takie rzeczy, szczegóły, o których nie wiem. Nawet chyba wolę je sobie wymyślać, niż żeby ktoś mi powiedział, jak było naprawdę.

– Czasem – mówię. – To całe streszczenie, na jakie mnie stać. Głupio jest rozmawiać o takich rzeczach.

– No więc tak: w te romantyczne wakacje, kiedy rodzice mnie stworzyli z niczego, rozumiesz... – zawiesza głos. – Nie no, wiem, że to może głupie w ogóle się zastanawiać jak to było, kiedy ze sobą spali, no wiesz i z tego zrobiło się dziecko... Jak o tym myślę to mi jakoś dziwnie, ale myślę... w każdym razie sprawdziłam w internecie i bingo. Otylia Jędrzejczak, no wiesz, ta pływaczka, właśnie wtedy zdobyła złoty medal w Helsinkach na dwieście metrów motylkiem, no i tak sobie ich wyobrażam, jak nad tym jeziorem się migdała, a potem wracają do obskurnej, taniej kwatery, włączają telewizor, bo jest na wyposażeniu i tam Otylia dopływa jako pierwsza i mama mówi: Adam, jakby co, to nazwiemy ją Otylia, a jak będzie chłopak, to chyba Otto, chichrają się strasznie i kotłują w tej pościeli, aż w końcu wtyczka od telewizora wypada z kontaktu i potem jest już tylko ciemność...

– Matka ci to opowiedziała?

– Nie matka – prostuje. – Mama. Brzydkie słowo: matka, nie?

Nigdy o tym nie myślałem.

– Ale nie – kontynuuje – nie mama. Ojciec też nie, sama to wykonypowałam.

Chyba mamy ze sobą coś wspólnego. Wymyślanie rzeczywistości.

– To znaczy, mama powiedziała, że to na cześć Otylii Jędrzejczak, bo ją ceni jako sportowca, i tak dalej, no ale jest przecież tyle sportsmenek o znacznie piękniejszych imionach. Otylia to jakby była otyła, jakaś grubaska, no okropniejszego imienia nie mogę sobie wyobrazić... szczególnie przy moim wyglądzie...

Patrzę na nią, nie zwróciłem na to wcześniej uwagi, może dlatego, że w ogóle nie patrzyłem na jej ciało, tylko na te włosy i uśmiech, ale Opta rzeczywiście jest pulchna. Nie gruba, tego bym nie powiedział. Jest... jak Donat. Donat ubrany w długą spódnicę w jaskrawe, różowe kwiaty, żółty sweter i martensy.

– Jak byłam małą, mówili na mnie Ota. A potem mama zaczęła mówić Opta. Bo podobno nie widziała bardziej optymistycznego dziecka. Może i lepiej, bo sportowe imię dla fajtłapy z astmą to trochę słabo, nie?

– Wcale nie wyglądasz na fajtłapę – mówię – po prostu...

– Jestem chora – dopowiada. – Ech, nieważne. Mam ochotę na ciacho. Na szczęście nie mam chorego żołądka i mogę jeść ile wlezie. Co zresztą widać. Idziemy?

– No, jak Koperkowa zobaczy, że z bolącym brzuchem jem ciasto...

– To nie będziesz jadł. Będziesz patrzył, jak ja jem. A umiem świetnie jeść, to jedna z rzeczy, jakie najlepiej mi w życiu wychodzą. Wiesz, że jest taka artystka, co w jednej galerii obierała ziemniaki? No, to ja mogłabym tak sobie usiąść na stołku i jeść ciastka. Nazwałoby się ten happening „Grubaska je ciastka” i całe miasto by przychodziło oglądać.

Parskam śmiechem. Ona mi odpowiada śmiechem jeszcze głośniejszym, tak że dwa razy na oko. To brzmi tak, jakby ktoś do metalowego wiadra wrzucił szklane kulki. Schyla się za ławkę i wyciąga gitarę. Nie zauważyłem jej wcześniej.

– Grasz? – nie mogę się powstrzymać i pytam prosto z mostu.

– Nie, tak sobie noszę, dla szpanu. – Znowu się chichra, jakby to był jakiś normalny sposób porozumiewania się. – No jasne, że gram. Mam lekcję po szkole, na Łowickiej, dlatego ją tu przywlokłam.

Zarzuca gitarę na plecy i teraz wygląda naprawdę odlotowo, z tymi włosami, uśmiechem i gitarą. Ja jej na pewno nie powiem, że grałem kiedyś na keyboardzie, a nawet byłem w szkole muzycznej, jeszcze by chciała,

żebym jej pokazał, co umiem. Już sobie to wyobrażam: siedzimy razem, ja gram na klawiszach, ona na gitarze i śpiewamy na dwa głosy, a na trybunach na boisku zbiera się dosłownie cała szkoła i rzuca w nas pomidorami jak na Tomatinie.

Staram się nie iść zbyt żwawo, żeby nikt się nie zorientował, że symuluję. Tak naprawdę jednak rozpiera mnie energia. Dawno nie byłem taki radosny. To żalosne: zdaję sobie sprawę, że ta radość zapewne wynika z faktu, że zwykle nikt ze mną nie rozmawia. Ale nie, czy cieszyłbym się tak samo, jakby wdał się ze mną w pogawędkę jeden z Mięśniaków? Niekoniecznie.

Opta wgapia się w ciasta, a jej oczy lśnią. Przypominam sobie, że mam dychę, a może by tak pokazać się jako džentelmen i kupić jej to ciastko?

– Które chcesz? – pytam i przełykam ślinę, dziwnie zgęstniała chyba z przejęcia. – Kupię ci.

– No co ty – śmieję się, odrzuca głowę w tył, zamiata tymi rudymi włosami. – Sama kupię. W końcu jest równouprawnienie, nie?

– A co to ma do równouprawnienia, że chcę ci kupić ciastko? – dziwię się. – Chyba nie jesteś feministką?

Znów głupi tekst.

– Oczywiście, że jestem – obrusza się. – Każdy mądry człowiek jest feministą, a ty nie?

– Ja? Przecież jestem facetem? – teraz ja się śmieję. Też pomysł.

– Wiesz co – mówi. – Robisz się całkiem ładniejszy, jak się śmiesz.

Całkiem ładniejszy? Zaczynam mieć wrażenie, że ta Opta to ma nie-równo pod sufitem. Ale już się odwraca, kupuje kawał ciasta czekoladowego i sernik z galaretką. Trzyma dwie tacki w ręku, kiedy przychodzą jakieś dwie dziewczyny. Jedną ją popycha, widzę, że umyślnie. I ten czarny czekoladowy prostopadłościan spada na trawę. Opta mało się nie przewraca, bo ta gitara na plecach ją przeciąża. Druga, smukła blondynka rechocze.

– Sie grubaska nie pożywi – mówi ta pierwsza. I znowu chichoczą. Czuję piekący wstyd za nie, chociaż ich nie znam.

– Ej – mówię – trochę przesadzacie.

– Och, kiciuś bajduś broni naszej grubaski! Patrzcie, Otyła Otyła ma adoratora! Ale kto to jest? Kolega z klasy piątej? Uważaj, bo ci pampers przecieknie! Chociaż może jak mu coś zagrasz, to ci kupi w nagrodę nowe ciasteczko?

Czuję piekący wstyd, że nie potrafię nic zrobić, nic odpowiedzieć, pochylam tylko głowę, zawsze przegrany w takich sytuacjach. Ale one już odchodzą, widzę to kątem oka, podnoszę głowę.

– Nie przejmuj się nimi – mówię – kupię ci drugie.

– Nie żartuj – mówi i podnosi ciastko z trawy. – Krótko leżało, nie?

Patrzę na nią, jak je. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak jadł. Przy każdym kęsie przymyka oczy, długo przeżuwa, a jak przełyka, to ten wyraz błogości na jej twarzy robi się jeszcze wyraźniejszy. Ona pochłania ciastka, a ja ją pochłaniam wzrokiem. Przy ostatnim kęsie sernika przypomina sobie o mnie.

– Chcesz kawałek?

Kręcę głową.

– Przecież mam strasznie bóle brzucha, to może być nawet wyrostek – tym razem to ja wybucham śmiechem.

Wszystko nagle wydaje się lekkie i piękne, jej ruda aureola, wielkie zęby i okruszki ciasta, które spadają na trawę.

Joanna Jagiełło

Rafał Lasota

Obraz

Dorożka a przy niej koń
Targa czerwoną grzywą
Dziki ten zwierz
Jak noc
Ma oczy zielonozłote

Spod podków
Fontanna mgieł
Strzela jasnym promieniem
Koń parska
On chciałby biec za purpurowym cieniem

Łąka już dyszy błękitem
Wiatr rozdarł srebrzystość maków
Deszcz przyniósł do twoich rąk
Łzy
Pierzastochmurek rumaków

18 lipca 2017

Wiersz

Jest wiersz wesoły
Co ze śpiewem słowika się budzi
Jest też wiersz groźny
Co w żalu krzyczy na ludzi
Jest uśmiechnięty
Jak słońce co blaskiem dzień wita
Jest też wiersz smutny
Bo nikt mu tych wierszy nie czyta
Jest wiersz bezpieczny
Co nocą się tuli do mamy
Jest też wiersz cichy

Co szlocha pod kocem z myślami
Jest wiersz szczęśliwy
Jak placki w niedzielę smażone
Jest wiersz samotny
Co oczy ma gorzko – czerwone
Jest wiersz promienny
Co bawi się skacze i wzdycha
Jest wiersz co z mieniem
W odległym kącie usycha

Skąd się bierze miód

Raz niedźwiedź, grubasek, wybudował sklep w lesie
Bo chciał zarobić na wakacje
Chciał zbudować dom i panią misiową zabrać na wystawną kolację
Lecz czym w sklepie handlować?
Myślał misiek i z nudów głośno ziewał
Może w leśnym markecie po prostu sprzedawać drzewa?
Poszedł misiek nad rzeczkę siadł za turystycznym stołem
Nagle na białym kwiatku zobaczył Królową Pszczolę
Nie chciałabyś zarobić? – zapytał niby przypadkiem
Ja mam sklep – ty masz miodek – dzielimy się podatkiem...
Ty zarobisz na dzieci – masz przecież ich tysiące
Ja na twym złotym miodku też złoto się urządzę
Pszczola spojrzała na miśka
Zmierzyła go pszczelim bzykiem
Ścisnęli sobie dłonie – producent z pośrednikiem
I założyli spółkę „Pod Pysznym Złotym Miodzikiem”

Rafał Lasota

Kazimierz Świągocki

Gnothi seauton

Rozmowa poety z samym sobą¹

Intrygują mnie liczne motta, jakimi poprzedziłeś wiele swoich wierszy w retrospektywnym tomie *Kamień i czas*, a także cały ten obszerny tom. Wyjęte bywają najczęściej z dzieł filozoficznych i Biblii. Jedno pochodzi też z pism babilońskich, a jeszcze inne z Zaratusztry. Jaką przypisujesz im rolę w odniesieniu do swoich utworów, przy których widnieją? Czy ma to być funkcja zdobnicza, czy jakaś inna?

Motta traktuję bardzo poważnie. Znakomita większość została przydana wierszom po latach, niekiedy po dziesięcioleciach. Niektóre pojawiły się całkiem niedawno, dopiero teraz, gdy redagowałem tom *Kamień i czas*². Są więc jakby redakcyjnym uzupełnieniem tekstów powstałych przed laty.

Uzupełnieniem? W jakim sensie?

Nie chodzi mi o dodatek myślowy, czyli nie o dodanie tego, czego by w wierszu nie było, lecz o podkreślenie i uwypuklenie tego, co w nim jest wyrażone i zawarte w języku specyficznie poetyckim, a więc takim, który w przeciwieństwie do języka dyskursywnego skrywa idee i myśli w gęstwinie metafor, symboli, mitów – a taki przecież jest język mojej poezji. Motto ma wskazywać odbiorcy istotę treści ideowych wiersza, ułatwiać zatem kontakt intelektualny z nim, a przez to ułatwiać również doznawanie estetycznych wrażeń. To funkcja najprostsza, bezpośrednia. Jest jeszcze inna – wskazywanie kontekstu kulturowego myśli wyrażonych w danym wierszu. Otóż kiedy czytałem różne wielkie dzieła takie jak Biblia czy filozoficzne traktaty, zdarzało mi się napotykać w nich zdania zawierające myśli które, jak mi się wydawało, sam już wcześniej we własnych utworach wyraziłem. Tyle, że ja wyrażałem je, właśnie w języku obrazów, symbolów, metafor i mitów. Poetyckość u mnie ma istotny prymat nad filozoficznością. Moja poezja jest intelektualna, ale nie intelektualistyczna. Od intelektualizmu

1 Początkowy fragment tekstu stanowiącego rozdział przygotowanej do druku książki pt. *Słowo i egzystencja. O twórczości Kazimierza Świągockiego – studia, szkice, interpretacje i autointerpretacje*. Jest to druga monograficzna praca zbiorowa na temat twórczości Kazimierza Świągockiego. Pierwsza, zatytułowana *Poezja i egzystencja*, została wydana w 1999 r. przez Wydawnictwo Akademii Podlaskiej w Siedlcach.

2 *Kamień i czas. Wiersze, poematy, eseje*, Wydawnictwo Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, Łódź 2014, ss. 348.

bronie się, jak tylko mogę. Nigdy nie wyrażam swoich myśli i poglądów wprost, jakoś sentencjonalnie, aforystycznie, lecz symbolicznie i obrazowo. Unikam jak ognia wszelkich technicznych pojęć i terminów filozoficznych (nie mówiąc o naukowych), z wyjątkiem całkiem podstawowych, które prócz znaczenia czysto filozoficznego, mają w sobie siłę oddziaływania symboliczno-kulturowego i są powszechnie zrozumiałe, jak np.: byt, czas, wieczność, nieskończoność itp. Nigdy zresztą nie pisałem wiersza po to, aby wyrazić jakąś konkretną myśl, a zawsze po to, aby stworzyć określoną kompozycję ze słów w określonym rytmie brzmień i nasuwających się obrazów, czy wizji. Filozoficzny sens utworów pojawiał się samoczynnie, bez specjalnego zaproszenia go i zatroskania o jego obecność.

I ten filozoficzny sens odnajdywałeś w wielkich dziełach, a znalazłszy, brałeś go za motto.

No, nie zawsze musiały to być wielkie i największe. Wziąłem np. dwa motta z debiutanckiego tomu mojego nieżyjącego już dziś przyjaciela Ziemowita Skibińskiego. Pochodzą z wierszy napisanych przez nastoletniego poetę. Ale jak brzmią! – Oto jedno z nich: „Czas. Na skałach wieje wiatr”. Ileż tu symbolicznych znaczeń otwierających drzwi do wielkiej filozofii człowieka. A więc motto może też pełnić funkcję jakby dialogową. Wchodzę swoim wierszem w dialog z podobnym pod jakimś względem wierszem innego poety.

Czyli odnajdujesz i wskazujesz kontekst kulturowy swojego dzieła.

Kiedys właśnie cytowany tu Ziemowit Skibiński już w znacznie późniejszym wieku jako nietuzinkowy erudyta, recenzując mój debiutancki tomik *Genealogia* (1974), napisał, że ja w swojej poezji nawiązuję dialog z zasadniczymi wątkami Śródziemnomorza i Wschodu. Z tym Wschodem to trochę przesadził, chyba że miał na myśli Bliski Wschód a nie Daleki. Wtedy nawet nie wierzyłem w moje więzy ze Śródziemnomorzem. Ale teraz, kiedy przeglądam te motta, bardzo starannie i ostrożnie dobierane, to widzę, że problemowo moja poezja jest rzeczywiście istotnie zakorzeniona w kulturze śródziemnomorskiej.

Jednak tenże poeta i badacz literatury zwrócił też uwagę w swoich szkicach o twojej poezji pomieszczonych w *Poezji i egzystencji*³, że czerpiesz z dziedzictwa kultury ludowej, którą z racji pochodzenia społecznego niejako wyssałeś z mlekiem matki.

To prawda. Ale on też dodaje, że kultura ludowa zawiera w sobie w naturalny, wręcz archetypiczny sposób symbole i wartości uniwersalne

³ *Poezja i egzystencja...*, dz. cyt., s. 11.

pojawiające się we wszystkich kulturach świata. I tu wspiera go bodajże największy autorytet naukowy w tej materii – Mircea Eliade, a także najbardziej znacząca część współczesnej antropologii kulturowej. Więc chyba nie przesadzam, jeśli mówię, że tak czy inaczej, mam prawo wszystkie motta, jakimi naznaczyłem swoje utwory, uważać nie za dekorację, lecz za znaki rozpoznawcze na mapie kultury powszechnej wskazujące, w którym jej miejscu sytuuje się moja myśl zawarta w poetyckiej tkance danego wiersza (...)

Po tych ogólnych uwagach możemy przejść do refleksji nad konkretnymi mottami i ich związkami z określonymi utworami. I tak dwa motto otwierające twoje *opus magnum* nawiązują, jak mi się wydaje, do jego tytułu: *Kamień i czas*.

Tak można twierdzić.

Cóż więc ma znaczyć ów „kamień”, a co „czas”? i jak się do tych symboli – bo to przecież symbole – mają oba te motta? Przypominam je. Pierwsze wzięte z *Listów moralnych do Lucyliusza Anneusza Seneki* brzmi: „Wszystko (...) nie nasze jest, tylko czas należy do nas”. Drugie zaś z jednego z moich najbardziej szanowanych poetów staropolskich Stanisława Herakliusza Lubomirskiego brzmi: „Rodzaj przemija – i rodzaj się roi? / A niebo przecie aż na wieki stoi”.

Najprościej mówiąc, tytułowy „kamień” symbolizuje stałość i trwanie rzeczy, „czas” natomiast – ich przemijanie. Można by zatem całość tłumaczyć jako „rzecz o trwaniu i przemijaniu”. A co do mott, to pierwsze z nich mówi o tym, że człowiek nie ma na tym świecie nic stałego, a tym samym i nic swojego, jako że swoje we właściwym fundamentalnym tego słowa znaczeniu musiałoby być czymś, czego nie można utracić. A tymczasem wszystko, co człowiek ma, natychmiast traci, bo ono z natury swej znika, gdyż pochłania je czas. Więc naprawdę to, co posiadamy, to jedynie czas. On nie ginie, nie kończy się i nigdy na tym świecie nas nie opuszcza. Mówiąc bardziej filozoficznie, człowiek jest istotą bytującą w czasie, „czasującą”.

Dość pesymistycznie brzmią te słowa Seneki.

Za to słowa drugiego motta, nie są już tak pesymistyczne. Mówi je myśliciel chrześcijański. Według tej mądrości przemijaniu podlegają jedynie rzeczy tego świata, a i one wprawdzie giną, ale się i odradzają, więc też nie podlegają absolutnemu ginięciu. Tym jednak, co naprawdę istnieje, jest niebo, a więc rzeczywistość nadprzyrodzona, transcendentna. Przemijają i odradzają się „rodzaje”, czyli istoty należące do świata natury bądź

historii, natomiast „niebo” trwa na wieki. A zatem obok, a raczej ponad światem przyrodzonym, w którym tkwimy od urodzenia do śmierci, a nasze w nim bytowanie jest jednym pasmem powstawania i przemijania, istnieje inna rzeczywistość – nieprzemijalna, nadprzyrodzona, która czeka na nasze do niej przyjście i dzielenie z nią wiecznego trwania. Mamy więc do czynienia z dwiema odpowiedziami na to samo pytanie o los człowieka i świata: heroiczny pesymizm antyku i chrześcijański optymizm eschatologiczny.

Po której stronie stoisz? Po której stronie sadowi się twoja odpowiedź na to odwieczne, obecne w każdej kulturze pytanie o bycie człowieka i byt świata?

Bardzo mi trudno o jednoznaczną odpowiedź, przynajmniej jako myślicielowi-poecie, gdyż rzuca mną wieczna poetycka niepewność, a zatem i zmienność. Bo to zależy od określonej konkretnej sytuacji, nastoju chwili, która może trwać dłużej bądź krócej i przynosić różne myśli i pomysły, także sprzeczne. Ale ponad takimi chwilami jest i chwila chwil, czyli jakiś bardziej trwały stan intelektualno-duchowy. I ten daje podstawę filozoficznej konstrukcji. Wtedy bliższa mi się wydaje nie antyczna lecz chrześcijańska wizja wszechrzeczy i losu człowieka. Ta pierwsza robi wrażenie jakby nieukończony, jakby nie domkniętej logicznie i metafizycznie koncepcji, która nie wiadomo do czego zobowiązuje człowieka pragnącego ostatecznego rozwiązania tak, aby zakosztował pełnego sensu istnienia tu na ziemi. Myślę, że ona jest raczej nawiedzającą mnie pokusą, niż ostatecznym przekonaniem. Nachodzi mnie często w chwilach właśnie poetyckiego nastroju i jakoś sama się garnie pod pióro.

W twojej poezji jednak tej przewagi chrześcijaństwa nad antykiem w takim rozumieniu, jak go tutaj bierzemy, nie bardzo widać. Panuje w niej nastrój katastroficzny, lubujesz się w ciemnych wizjach. Słusznie, moim zdaniem, napisał biblista profesor Marian Filipak, że nad twoją poezją unosi się „zapach smutku”, a nawet „tragizmu”⁴. A to przecież bardziej wiąże ją z antycznym pesymizmem w widzeniu losu człowieka niż z chrześcijańską nadzieją, która wyklucza tragizm.

Tragizm tak, ale nie smutek. Sam Chrystus doznawał dojmującego smutku duszy. Myślę, że istotnie w mojej poezji nastrój smutku i pesymizmu odgrywa dużą rolę, ale podobnie jak u Koheleta, do którego mnie porównuje wspomniany biblista, nie jest to smutek ostateczny, eschatologiczny. Ja bym go określił jako smutek egzystencjalno – estetyczny. W *Weselu*

4 M. Filipiak, *Mądrość w kulturze*, w: *Poezja i egzystencja*, dz. cyt., s.108.

Wyspiańskiego, o ile dobrze pamiętam, to poeta mówi znamienne słowa, że smutek to piękno. Pewne jest to, że jakiś głębinowy głos zazwyczaj kieruje moją twórczą uwagę i impet w rejony ciemności, jasność omijając tak, jakby mi z natury nie przystała. Tak jest raczej w utworach dawniejszych, w późniejszych już nieco mniej. Niektóre z nich mają nawet wręcz optymistyczną eschatologiczną wymowę. Weźmy np. zakończenie wiersza *Pieśń do Słońca nad Morzem Martwym*: „Więc ty, Słońce, mnie zabierz w swoje światło święte, // w którym przestrzeń jest czasem, a czas jest przestrzenią, // gdzie choć świecisz odwiecznie, przecież się nie zmieniasz. // Nie zostawiaj mnie, błagam, na morzu zwątpienia”⁵. „Światło święte” symbolizuje tu rzeczywistość niezmienną, nadprzyrodzoną, w której ustają prawa świata naturalnego, w której więc nie ma czasu i nie ma przestrzeni, tak jak w świecie empirycznym, a jest istnienie w znaczeniu podstawowym, czyli jako metafizyczna niezmiennność.

O takiej niezmienności mówi się także w *Opowieści jesiennej*. Jest to „kraina, gdzie rzeczy i cienie // są tym samym”, gdzie „wszystko wokół istnieje i w nic się nie zmienia”. Oczywiście to wszystko powiedziane jest w obrazach i aluzjach, w języku analogii.

A jednak w zakończeniu pierwszego wiersza mówi się o zwątpieniu. A i zakończenie drugiego też nie jest deklaracją wiary, a raczej tylko trochę mglistej nadziei, bo o zbawczym słońcu „mówią, że ono nigdy nie umiera”. „Mówią” to tyle co „podobno”, a więc to takie pewne nie jest. Jesteśmy więc w jakimś eschatologicznym światłocieniu, gdzie jednak więcej jest cienia, niż zbawczego światła.

Tak pewnie jest, jeśli się do treści tekstów przyłoży miarkę intelektualno-poznawczą, a nie poznawczo-estetyczną. Ostatecznie poezja nie ma na celu informowania, że rzeczy się mają tak a tak, ani przekonywania kogokolwiek do jakichś racji światopoglądowych, czy tym podobnych, a jedynie ma „zabawiać” odbiorcę – w staropolskim tego słowa znaczeniu, czyli zajmować go, absorbować jego uwagę tym, co autor do niego mówi i tym jak to jest mówione. Czyli samą poezją. Ta ma przekonać czytelnika-odbiorcę do siebie samej. A to dzieje się tylko wówczas, gdy jest w stanie wzruszyć go estetycznie. Ten estetyczny cel jest celem podstawowym. Wszystko inne, co ze sobą i w sobie wartościowego niesie, to dodatek, choćby miały to być najbardziej wzniosłe myśli i uczucia. Oczywiście nie chodzi mi tu o oddzielanie tzw. formy od treści, bo wiadomo, że tworzą one nierozdzielalną

5 Wiersz ten wraz z cytowanym dalej wierszem *Opowieść jesienią* zamieszczony jest na stronach 150-152 niniejszego numeru „Podglądu”.

unię strukturalną i trudno by mówić o wyższości jednego nad drugim. Wiadomo, że im bogatsza, doskonalsza forma, tym większa, bogatsza i głębsza treść. Jedno służy drugiemu i stanowi dlań warunek *sine qua non*. Ale wiersze nie po to się tworzy, aby głosić jakieś idee. W każdym razie nie mogą, czy raczej nie powinny konkurować z publicystyką czy esejystyką. Ich cel podstawowy jest natury estetycznej jak każdego zresztą dzieła sztuki.

Powróćmy do przerwane go wątku – problematyki mott. Rozważaliśmy znaczenia wstępnych dwóch. A teraz przejdźmy do kolejnych. Oto zdanie wyjęte z *Wprowadzenia do filozofii* Karla Jaspersa, otwierające cykl *Przymierze z czasem*. Brzmi: „Tylko poważnie traktując czas, docieramy tam, gdzie wszelki czas ustaje”. Zechciej przekonać mnie, że jest ono jakoś odpowiednie dla całego cyklu.

Czy do całego? Są w nim wiersze różne i motyw czasu nie dotyczy wprawdzie ich większości. Ale tak byłoby tylko wówczas, gdybyśmy szukali tego motywu w bezpośredniej naoczności. Sądzę jednak, że pośrednio, jako tło ideowe jest on tu niemal stale obecny. Tytuł cyklu wzięłem od jednego z wierszy. Niewątpliwie tytuł, jeśli go poważnie traktować, powinien zapowiadać coś istotnego, co jest obecne w tekście, któremu jest przydany. Ale tak nie zawsze być musi. Wystarczy, że pełni funkcję oznaczającą, niekoniecznie zaś znaczącą.

Jednak wyrażenie „przymierze z czasem” to chyba coś więcej, niż zwykły znak oddzielający ten cykl od innych. Intriguje samą swoją treścią.

Oczywiście, prawdę powiedziawszy, to mógłby być tytułem całego tomu ze względu na zaznaczony w nim problem czasu. Taki tytuł zresztą nosi jeden z moich wcześniejszych tomików. Pytanie o czas bowiem jest fundamentalnym pytaniem, wokół którego jak wokół osi obrotowej sytuuje się problematyka niemal wszystkich moich wierszy, także tych, w których słowo „czas” nie występuje. Nawiasem mówiąc, słowo to bodaj czy nie najczęściej jest obecne w wierszach z okresu wczesnego, jeszcze licealnego.

Dlaczego „przymierze” z czasem, a nie np. „przekleństwo” czasu? Przecież idzie ci nie o pochwałę czasu, a o skargę na niego, że to siła niszcząca człowieka. W młodzieńczym wierszu piętnastolatka *Powrót z gwiazd* napisałeś: „O, czas, przekłeta żmija!”

Owszem, tak napisałem. I tak po ludzku odczuwam: czas jest siłą przede wszystkim niszcząca. Chociaż człowiek realizuje się przecież w czasie. Więc jest on również warunkiem naszej twórczości. I wszelkich radości. Bo i one także dzieją się w czasie. A dlaczego „przymierze”? Dlatego,

że wobec natury świata, która jest czasowa, nie ma sensu ślać przekleństw, raczej lepiej, jeśli będziemy szukać porozumienia, z nią ugody. A skoro trudno o ugodę, czyli o jakiś kompromis, bo czas jest doskonale obojętny na nasze wołania, lęki i płacze, to jedyne wyjście, jakie nam w tej sytuacji pozostaje, jest uznać czas w całej jego powadze i metafizycznej godności. Wtedy uwolnimy się od daremnego złudzenia, że wobec niego możemy stosować jakieś ludzkie zaklęcia, które by zmieniły jego bieg i naturę. A wówczas wstąpi w nas spokój i pocujemy smak dostępnej nam wolności.

Coś w rodzaju stoickiego *amor fati*.

Tak przynajmniej ja rozumiałem słowa Karla Jaspersa. I jeszcze jedno bym tu dodał. Poważnie traktować czas, znaczy zgłębiać jego obecność i naturę, myśleć i mówić o nim jak o sobie samym. Bo przecież póki co, żyjemy w nim, a nie w bezczasie. A mówić o nim najlepiej można w języku poezji. Ja w każdym razie czynię to od samego niemal początku swego twórczego trudu poetyckiego, a także trochę mniej odważnie, w niektórych esejach. Np. w zamieszczonym w tomie *Kamień i czas* eseju *O czasie*.

Wobec tego przejdźmy do kolejnego motta, którym poprzedziłeś wiersz *Cogito*. Wyraża ono chyba najbardziej przejmującą metafizyczną i intuicyjną myśl: „Dlaczego istnieje raczej coś, niż nic? Nic jest przecież prostsze i łatwiejsze niż coś”.

Tak, to są słowa Gottfrieda Wilhelma Leibniza. Żałuję, że usunąłem w tym wydaniu motto z Bergsona, które brzmiało: „Nicość była wprzód, i byt przyszedł na dodatek”. Wiersz *Cogito*, który teraz mamy na uwadze, o tym właśnie traktuje – o relacji bytu i nicości. Jest w nim rozwijana intuicja nicości jako źródła bytu. Ten wiersz ma też i czysto poetycki antecedenens. Jest nim 129. hymn z dziesiątej księgi (mandali) *Rigwedy*. A zaczyna się znamienne: „Niebyt nie istniał wtedy, ani byt nie istniał” (w przekładzie Franciszka Michalskiego). Zawiera więc rozmyślanie o początku rzeczy czy wszechrzeczy. Być może hymn *Rigwedy* był mi nawet nieświadomą inspiracją, nie pamiętam. Pierwszy jego werset również mógłby posłużyć mi za motto. Masz rację, że w pytaniu Leibniza zawiera się najgłębsza z najgłębszych metafizycznych intuicji. Już dalej w głąb świadomości posunąć się nie można. I z logicznego punktu widzenia pytaniu temu nic nie dolega. Nie należy ono do tzw. pytań źle postawionych, jakby to zapewne powiedzieli niektórzy rygorystyczni pozytywiści i wszelkiej maści empiryści. Skoro nasuwa się ludzkiej świadomości, to znaczy, że nie jest pytaniem pustym, czy jakoś retorycznym, na które mielibyśmy gotową odpowiedź – w tym wypadku negującą jego zasadność i sensowność z tego

tylko powodu, że pytamy o to, na co nie ma odpowiedzi. Rzecz w tym, że na najistotniejsze pytania metafizyczne nie mamy rozstrzygających odpowiedzi. A wynika to z oczywistego faktu, iż nasz umysł jest ograniczony jedynie do tego, aby móc tylko postawić takie pytanie, lecz nie ma kompetencji do znalezienia odpowiedzi na nie. Sama jednak zdolność do stawiania takiego pytania i jemu podobnych staje się fundamentem jego godności w porządku wszechrzeczy, do której przecież należy. I świadczy także o tym, że coś jednak wie o tym, o co pyta. Gdyby nic o tym nie wiedział, to by nie pytał. Bo pytamy zawsze o coś, co nas interesuje, a interesować nas może tylko to, co w jakiejś mierze jest nam znane. Wygląda więc na to, że pytanie o nicość wynika z wrodzonej nam idei nicości wpisanej w naszą świadomość i przez nią kontrolowanej.

(...) Przypominam sobie, że i wcześniej przychodziły mi do głowy takie myśli, czy raczej fantazje myślowe: co by było, gdyby wszystko, co składa się na świat, nie istniało? Dziś mogę na tę myślową fantazję odpowiedzieć, podpierając się trochę Kartezjuszem tak: niech by świat i nie istniał, ale przecież to, co jest we mnie i pyta o ten świat, musi istnieć, choćby dlatego, że pyta, więc i myśli. A myśleć może tylko to, co istnieje. Wszak istnienie jest podstawą i źródłem wszystkiego, z czego składa się rzeczywistość. A czym jest to, co pyta? Z pewnością nie tym, o co pyta. Więc czym? Świadomością. A czym jest świadomość? – Na to pytanie nie ma pewnej i zadowalającej odpowiedzi. Może czymś, co nas spokrewnia z Bogiem? Wszak powiedziane jest, że jesteśmy „na obraz i podobieństwo Boże”. Ale takim stwierdzeniem wykraczamy poza dziedzinę rozumu filozofii, a wchodzimy w dziedzinę wiary i religii. A tymczasem przecież wiersz *Cogito* nie jest – podobnie zresztą jak i niemal wszystkie pozostałe moje wiersze, utworem religijnym, a tylko filozoficznym, metafizycznym.

Tak, ale mówią, że każde ludzkie myślenie o głębszym sensie życia krąży ostatecznie wokół trzech pojęć: Boga, człowieka i świata. I przecież ty jedną ze swoich książek badawczych zatytułowałaś według tego porządku: *Człowiek wobec Boga i świata w poezji*.

Wiem. Ten porządek pojęć niektórzy nazywają filozoficzną trójcą.

Kazimierz Świągocki

Piotr Wojciechowski

Wójt z Szaflar i harmonista

*słowo wygłoszone na Biesiadzie Literackiej SPP 18 września 2014
wersja obszerniejsza*

Ulica Jeziorna na Sadybie zaczyna się w okolicach mostu na Jeziorku Czerniakowskim, biegnie po brzegu starorzecza, kończy się Placem Rembowskiego. Żadnego placu tam nie ma, po jednej stronie parę niskich domów, po drugiej korty tenisowe i kawiarenka urządzona w starym autobusie. Od tygodnia trwają roboty przy największej, dwupiętrowej kamienicy na tym placu – będzie odnowiona fasada – ostatni ślad powstańczych walk z 1944 roku. Zniknie więc tynk podziurawiony pociskami broni strzeleckiej, zniknie załatana rozbiórkową cegłą parumetrowa wyrwa po uderzeniu armatniego pocisku.

Pomyślałem sobie, że szkoda. Sadyba straci pamiętkę czasu wojny potrzebną naszemu myśleniu w czasach pokoju. A potem przyszła refleksja – niech latają, to już nie ma znaczenia. Słowa „czas pokoju” i „czas wojny” nie są już użyteczne naszym myślom, bo przyszedł taki czas, że coraz bliżej nas trwa wojna hybrydowa, kłaczowata, bezkształtna. Taka odmiana czasu, której autor wypiera się autorstwa. Krwawy bratobójczy spektakl, w którym najemnicy, przebierańcy, uzbrojeni po zęby cywile walczą przeciw niemal bezbronnym żołnierzom państwa niepewnego swoich granic. Nie było wojny, ale ogłasza się zawieszenie broni. Zawieszona broń dalej jednak pluje ogniem i śmiercią. Trzy dni temu na Zamku Królewskim tłumaczył nam doktor Gehrard Gnauck, historyk i politolog, dlaczego Niemcy nie będą chciały przeciwstawić się Rosji w tej wojnie, w której Ukraina płaci krwią i pożogą za ustępstwa Europy.

Polityka posługuje tu się chwytami z dramaturgii kina grozy. To są proste chwyt. Ktoś słyszy – spokojnie, jesteś wśród przyjaciół, idź, odpocznij – i strzela mu się w plecy. Komuś mówią – jesteś u siebie, możesz robić co chcesz, wychodzić, wracać kiedy chcesz. On robi krok i w drzwiach mieszkania zagraża mu drogę uzbrojony strażnik. Tak jak w filmie *Dziecko Rosmary* Polańskiego – bohaterka, gra ją Mia Farrow, po słynnej scenie w budce telefonicznej sądzi, że znalazła lekarza, któremu można zaufać, że uciekła. I sympatyczny młody medyk oddaje ją w ręce prześladowcom.

Jak zamurowani strachem w kinie grozy – w życiu społecznym i politycznym dziś czujemy się pozbawieni głosu. Słowa, którymi próbujemy opisać sytuację, są bezradne wobec zamętu.

Lublin, rok 1944. Miałem sześć lat, kiedy nauczyłem się pierwszego słowa z zakresu nowej rzeczywistości politycznej. Kocioł. Słyszałem – u Pliszczyńskich jest kocioł. Był kocioł u Szymanków, wpadła Gosia. To znaczyło, że teraz nie ma łapanek jak za Niemców, że teraz robi się kocioł. Przychodzi do mieszkania NKWD albo UB, zatrzymują gospodarzy i czekają kto przyjdzie. Łapią listonosza, babę z mięsem, sąsiadkę, co wpadła pożyczyć cukru, łapią znajomych, kuzynów. Łapią parę dni, tydzień. Potem wywożą wszystkich, kogoś puszczają, innych zatrzymują.

Myślę teraz o tym, co ks. Józef Tischner pisał w *Filozofii dramatu* o antynomii domu i kryjówki. Najście niszczy kategorię antropologiczną domu. Ani dom ani kryjówka. Pojęcie domu zamienionego w pułapkę nie mieści się w tej klasyfikacji. A mógł Tischner pamiętać, że bywały kotły.

Kłamstwa polityki i manipulujących mediów, kłamstwa promocyjne i reklamowe, ideologiczne wykrzykiwanie takich słów jak „ojciec”, „matka”, „partner” czy „rodzina”, czy „demokracja”, to wszystko sprawia, że czujemy się na powierzchni naszych leksykonów jak na kruchym lodzie. Przyjdzie kto i powie, że tożsamość to nowoczesna forma amnezji. I co mu zrobisz?

Ja wiem, co w takim wypadku zrobić, ale przecież moja rada jest niepoważna. I nie nowoczesna z pewnością. Bodajże w roku 1961 późnym latem, powstała w namiotach przy schronisku nad Morskim Okiem Podhalańska Akademia Wiedzy. Parę miesięcy wcześniej, w jadalni schroniska na Hali Gąsienicowej Podhalańska Akademia Wiedzy została postawiona w stan upadłości. Od tego czasu w dość hermetycznych środowiskach taterników, narciarzy i zakopianistów posługiwano się w żartach, niekiedy dość poważnych, nazwą tej instytucji. O jej wartości przekonali się wszyscy dopiero w stanie wojennym – okazało się, że nie przydzielono Akademii komisarza wojskowego, nie zawieszono jej działania, a wszystko zawieszano na lewo i na prawo. Dziś w zamęcie oszukanych słów i wystawionych do wiatru znaczeń Podhalańska Akademia Wiedzy, czy raczej masa jej upadłości, okazuje się przestrzenią wytchnienia. Nie dla wszystkich wszelako.

Ale miło jest pomyśleć o tych gremiach, o łańcuchach i sieciach nieformalnych międzyludzkich związków, w których utrzymuje się ducha równowagi między refleksją serio a ironicznym żartem, między profesjonalizmem wysokiej próby a wiarą w wymianę głębszej mądrości między najbardziej odległymi specjalizacjami. Gdzieś tam w najdawniejszych



Rys. Piotr Wojciechowski

głębiach pozostała pamięć o deszczach, odgradzających góry od ludzi, i o fundamentalnym znudzeniu schroniskowym brydżem. Tajemnice przyciągania wysokogórskiego, tajemnice przypadkowych spotkań i tajemnice rozmowy istotnej pozostają tajemnicami.

Jako przykład przywołam dwa teksty pochodzące od przyjaciół z Podhalańskiej Akademii Wiedzy. Pierwszy dotarł do mnie przez pocztę internetową. Napisał go były grotolaz, a obecnie profesor Politechniki Wrocławskiej Roman Galar. Dziesięć stron gęstego komputerowego wydruku, tytuł *Rozsądek gapia* – opowieść od współczesnej degeneracji takich pojęć jak „racjonalizm”, „rozsądek”, „inteligencja”. Chcę szerzej zająć się drugim tekstem, więc, aby narobić słuchaczom smaku na tę rozprawę, a także aby wyjaśnić, co zagradza nam drogę ku ratunkowi przed zamętem, parę zdań z rozdziału *Świat gapia*:

W ostatnich dekadach postępuje inwazja spektaklu na czas wolny człowieka. Gapienie się na coraz bardziej atrakcyjne i łatwiej dostępne produkcje multimedialne wypełnia lukę między pracą zarobkową a koniecznościami fizjologicznymi, kurczy się czas przeznaczony na osobiste aktywności człowieka: rozwój osobowości, życie rodzinne i działalność wspólnotową. Trudniej znaleźć czas na majsterkowanie, czynną partycypację w kulturze i realizację porywów twórczych. [...] Wyreżyserowane niby życie zniechęca do życia prawdziwego. Akcja jest intensywniejsza niż w rzeczywistości, pozbawiona dłużyzn i nużących nawrotów. Logika jest bardziej wyrazista, wolna od chaosu towarzyszącego codzienności. Nic dziwnego, że dysfunkcjonalne rodziny garną się do telewizorów i zamiast zrobić coś z własnym życiem gapią się na udawane przez aktorów rodziny „funkcjonalne”.

Drugi tekst ma formę klasycznej książki, ma nawet numer ISBN. Tę książkę dostałem w Białym Potoku na Podhalu, na spotkaniu towarzyskim, które mogłoby być posiedzeniem Podhalańskiej Akademii Wiedzy, gdyby taka istniała. Staszek Ślimak, wójt Szaflar, gościł Jaśka Antoła, gazdę z Bańskiej Dolnej, a jednocześnie jednego z góralskich filozofów opisanych przez Tischnera. Pierwszy był współwydawcą tomu, (razem z rodziną autora), drugi autorem włączonej w tom laudacji. Ja byłem na przyczepkę, ale książkę dostałem. Na okładce czytam „Wojciech Kamiński – Wspomnienia”. Kim był ów Kamiński? Gazdowski synem z Szaflar, który był tu wójtem od roku 1927 do 1945, a do tego od 1927 roku do późnej starości działaczem podhalańskiej spółdzielczości mleczarskiej. Zanurzenie się w prozę jego wspomnień wyrzywa czytelnika z zamętu skłamanych pojęć, wykręconych słów. Opisał szczegółowo swoje wojowanie

podczas pierwszej wojny światowej. Dociera do nas głos sprzed stu lat – obraz wojny widzianej oczami prostego żołnierza pełniącego wyjątkową służbę – w 1914 wojak Kamiński należy do służb medycznych Krakowskiej 12 dywizji piechoty w armii austriackiej, prowadzi konny wóz ratunkowy – wozi rannych z pola bitwy do polowych szpitali. Widzi świat od strony śmierci, bólu, męki ludzi zostawionych na polu bitwy, od strony zniszczeń, głodu, poniewierki. Jest solidarny z Austriakami, Czechami i Słoweniami, żołnierzami ze swojej „kolumny” – ale gdy tylko gdzieś usłyszysz podhalańską gwarę, czy góralską nutę – pędzi. Oto notatka z 22 września 1914 roku: *Stoimy dalej w tym samym miejscu. Deszcz pada nieustannie i bardzo nam dokucza. W dali słychać ciężkie strzały. Koło południa ujrzałem na drodze kilku przechodzących górali. Pobiegłem w ich kierunku i znalazłem cały obóz. Spotkałem tu swoich szafarzy, między nimi Staszka Gałdyna. Bardzośmy się wszyscy ucieszyli, żeśmy się tak spotkali. To głęboko poruszające, jak wśród morderczych walk, pożarów, zniszczeń, głodu i zmęczenia ten woźnica od skrwawionej furmanki ciągle liczy – czy daleko od Podhala, ciągle przepytuje – gdzie tu nasi, chłopcy od gór.*

Budzi zdziwienie i zachwyt, jak do żołnierza na pierwszej linii, w ostrzeżliwanych okopach nagle dociera ojciec i młodziutka żona. Przez przyfrontowy chaos, przez pożogę szli pieszo dziesiątki kilometrów, zbyt biedni, aby mu przynieść cokolwiek – ot, chcieli się zobaczyć. A potem młodszy osiemnastoletni brat, właśnie powołany do wojska, przedziera się, naraża na zatrzymanie przez żandarmerię, bo chce parę słów zamienić z bratem. Kamiński to ktoś prawdziwy – w swojej prawości, rodzinności, plemienności.

On był na wskroś rodzinny, w 1914 roku ożenił się z szesnastoletnią sierotą z Białego Dunajca, Ludwiką – i zaraz go wzięli na front. Był też na wskroś plemienny – prawie sto lat temu, 10 sierpnia 1915 roku zapisał: *Późno wieczór dojechaliśmy nad Złotą Lipę. Tu na zagonach porośłych kukurydzą rozłożono szpital i punkt opatrunkowy i zaopatrywano rannych. Nadeszły też nasze wozy z ciężko rannymi, których nieustannie zwożono i opatrywano. Między innymi poznałem krajana z Maniów. Miał prawą rękę rozszarpaną kulą dum-dum. Podtrzymawałem go przy operacji. Zemdlał mi na rękach. Ułożyłem go obok swego wozu na łożu z zielonej kukurydzy, pokrzepiałem go czym mógł, a kiedy przyszły wozy po rannych, ulokowałem go do wyjazdu.*

Napisałem, że Kamiński plemienny. Bo był zakorzeniony w plemię – w Podhale, w zakopiańszczyznę, góralskość, swoją rodzinę, kmotrów z Maniowych, Gronkowa, Bańskiej, Zębu, z Białego Dunajca.

Jak się nie bać tej rodzinności, tej plemienności? Czy nie niesie ona zagrożenia egoizmem grup, ksenofobią, wrogością w stosunku do obcego? Jedno powiem – nie ma tego w pisaniu szafarskiego wójta Wojciecha Kamińskiego.

Myślę jak nieskończenie daleko „wspólnocie mieszkaniowej” dwunastopiętrowego wielkomiejskiego bloku do sąsiedzkiej wspólnoty góralskiej wsi związanej stuleciami wspólnego gospodarowania, siecią kuzynów i chrzestnych, plotką bab, posiadami gazdów, uczestnictwem w odpustach, redykach, procesjach, naradach nad sprawami spółdzielni mleczarskiej, chodników i wodociągów.

Wojciech Kamiński był zakorzeniony w rodzinę i wiarę. To go wyniosło wysoko – choć skończył ledwie cztery klasy wiejskiej szkoły. Pamiętniki przedstawiają go jako człowieka nadzwyczajnego – bystrego, twardego, sprawiedliwego i pobożnego. Píše o wojnie rzeczowo, zwięźle, ale wcale nie obojętnie. Ta część wspomnień zamyka się datą odzyskania niepodległości 11 listopada 1918 roku. Druga część zapisu dotyczy drugiej wojny światowej, napisał ją już nie młody żołnierz, ale człowiek dorosły, odpowiedzialny, zmuszony do najtrudniejszych decyzji i nieustannego ryzyka. Wojciech Kamiński został wójtem gminy Szaflary w 1927 roku i był nim aż do aresztowania w 1945 roku. Niemcy zmusili go do pełnienia obowiązków wójta, mimo że wymawiał się nieznajomością języka niemieckiego. Musiał prowadzić skomplikowaną politykę chroniąc wieś przed represjami, rekwizycjami, wywózkami, nadmiernym obciążeniem obowiązkową dostawą kontyngentów – a wszystko to w warunkach obecności grup partyzanckich, panoszącego się ruchu zdrajców z „Gorallenvolku”, bandytyzmu bezkarnych volksdeutschów i zwyczajnego głodu. Wejście wojsk sowieckich i budowanej przez nich nowej komunistycznej władzy przyniosło nowe cierpienia, straty i zagrożenia. Wszystko to zostało przez Kamińskiego opisane uczciwie i spokojnie, bez akcentowania swojej osoby czy zasług. Okazał się dobrym dyplomatą, miał sporo szczęścia, wsparcie ze strony rodziny i większości wsi – przeżył Niemców, uciekł Ruskim, wymotał się z więzienia UB, wyłgał się Ogniewi, wrócił do pracy w swoim gospodarstwie i do pracy społecznej – do budowy spółdzielczości mleczarskiej.

Czytam jak więziony w więzieniu UB w Nowym Targu wójt Kamiński przeżywa swój los jako spotkanie w celi ze swoimi – z Szaflar, Gronkowa, Maruszyny. *Po przywitaniu się z całym towarzystwem, zaczęłam się rozglądać, gdzie się mogę ulokować. Wstał wtedy były komendant milicji z Białki i odstąpił mi jedyne łóżko, mówiąc, że wójtowi szafarskiemu jako najstarszemu w celi należy się najlepsze miejsce.*

Kiedy już wigilijne gwiazdy zaświeciły na niebie, otrzymaliśmy herbatę i każdy, o ile miał jakie zapasy, wyciągał i dzieliliśmy się nimi jak najbardziej zgodna rodzina.

Kamiński jest najdalszy od postaw kombatanckich, martyrologii. Notuje po kronikarsku, że spotyka w więzieniu wójtów z Maruszyny i Chabówki. Kiedy widzi przez kraty jak na podwórzu więziennym młody funkcjonariusz znęca się nad siedemdziesięciopięcioletnim wójtem z Maruszyny Piotrem Staszlem i sołtysem z Leśnicy Jędrzejem Stefaniakiem, kwituje to zdaniem *Przykro mi się zrobiło, że dla starszych i zasłużonych ludzi nie było najmniejszego szacunku.* A potem notuje: *Innym razem przeszedł po celach jeden z dozorców z pytaniem, czy tu nie siedzi jaki harmonista. Nikt się nie zgłaszał. Wieczorem w biurze przesłuchań odezwała się harmonia, której towarzyszył ludzki głos, ale to nie był śpiew. Po kilku chwilach uświadomiliśmy sobie, że to jest przesłuchanie jakiegoś partyzanta.*

Ludzki głos z nowotarskiego więzienia roku 1946. Ludzki głos – ludzki krzyk przesłuchiwanego partyzanta dobiega do mnie przez tą spokojną relację. Myślę, że takie właśnie teksty ocalają znaczenie słów. Może właśnie wtedy, gdy zdaje się mi, że one nie są brnione w przestrzeni narodu, kultury narodowej, w piśmiennictwie naszym, widzę je ocalone w relacji plemiennej, rodzinnej.

Piotr Wojciechowski

Piotr Wojciechowski

Archibald Joseph Cronin i cnoty obywatelskie

słowo wygłoszone na Biesiadzie Literackiej SPP 18 grudnia 2014

W 1995 roku miesięcznik „Znak” zaprosił mnie do udziału w ankiecie dotyczącej tego okresu, który określa się jako PRL. Zatytułowałem wtedy moją wypowiedź „Dziedzictwo zamętu”. Ukazała się ona potem w książce *Spór o PRL*. Pisałem tam o pewnym zjawisku, które nazwałem „drugim układem”. Przywołam fragment tego tekstu:

Państwo podziemne w Polsce podlegające Delegaturze rządu RP w Londynie zostało unicestwione i odrodziło się natychmiast w postaci drugiego układu. Drugiego układu nikt nie opisywał, nikt nie nazywał, nikt nim nie kierował. To była spontaniczna reakcja przyzwoitych ludzi na szpetotę, kłamstwo i zło nowej sytuacji politycznej. Myślenie kategoriami Polski przedwojennej owocowało działaniem – pomocą rodzinną, przyjacielską, sąsiedzką. Pomocą, która coraz celniej trafiała do poszkodowanych, prześladowanych. Drugi układ miał swój własny czarny rynek, swoje kanały informacyjne, swoje życie kulturalne, swoje hierarchie autorytetów – ale nie miał wyraźnych granic. Z latami rósł w siłę i degenerował się jednocześnie, mieszał z tymi, którzy zapisywali się do partii, firmowali sobą nową władzę. Przedziwne działały w nim mechanizmy. Kiedyś, w życiowych trudnościach, otrzymałem anonimową pomoc, nagle, wbrew zasadom systemu jakaś decyzja zapadła na moją korzyść. Po kilku latach ktoś mi poufnie wyjaśnił: „dowiedzieli się, że twoja matka to była ‘Czarna Zośka’, drużynowa harcerek w prywatnym gimnazjum Arciszowej w Lublinie w latach dwudziestych, no więc trzeba ci było pomóc”. Drugi układ powoli stawał się siatką bezpieczeństwa dla tych, którzy ważyli się czynnie wystąpić przeciw komunistycznej władzy.

Często myślę sobie – co stało się z drugim układem później? Wymierają ci, którzy mogą pamiętać lata dwudzieste i trzydzieste, opór narodowy czasu wojny. Dla większości pamięć o PRL-u jest zamazana, wiedza o PRL-u jest zbędna. Pojęcie przyzwoitości funkcjonuje jeszcze w pokoleniu i formacji Władysława Bartoszewskiego. Rozmywanie się w społeczeństwie struktury cnot obywatelskich ma swoje konsekwencje w skali makro – demokracja dryfuje w stronę demokracji parawanowej, wolny rynek nasącza się elementami przemocy i przymusu. Rozmywanie się struktury cnot obywatelskich owocuje też przemianami na poziomie korzeni trawy – oto związek

przyjacielskie degenerują się w układy kumpelskie, a te z kolei w zgrzebne kolesiostwo. To oczywiście jest już gleba, na której kiełkują związki korporacyjne i mafijne – gdy te się mogą umacniać i zagęszczać, tworzy się „czarny drugi układ”, pasożytująca na państwie legalnym druga władza.

Zobaczyłem wczoraj na zderzaku napis SAMOCHÓD UBEZPIECZONY PRZEZ MAFIĘ – STUKNIJ MNIE A MY CIEBIE STUKNIEMY.

Pomyślałem sobie – czarny humor, oczywiście. Potem przysłała refleksja – a może to jest – lub zaraz będzie – serio?

Ponieważ wzmiankowałem już w tym felietonie CNOTY OBYWATELSKIE, nie odmówię sobie przyjemności ich wyliczenia w tym porządku, w jakim je považam: uczciwość, punktualność, życzliwość, odpowiedzialność, poczucie formy i zwięzłość wypowiedzi, poczucie humoru, szacunek dla symboli i tradycji.

Myślę, że i polskość, i europejskość nie mogą być przypisane serio nikomu, kto takich cech nie szanuje, nie stara się pielęgnować w sobie i swoim środowisku.

Przez parę tygodni mieliśmy dostęp do kanału TV „Arthouse Box” gdzie można było zobaczyć klasykę neorealizmu. Zanim promocja się skończyła, obejrzałem *Rzym miasto otwarte*, *Paisę*, *Ziemia drży*. Jeszcze wcześniej, ale też niedawno trafiłem na *Złodziei rowerów*. Widziałem kiedyś te filmy, teraz przypominałem je sobie. Zdziwiłem się, jak stały mi się bliskie.

W domu czytamy głośno – ostatnio doszliśmy do powieści *Cytadela* pióra Archibalda Josepha Cronina. Ten brytyjski pisarz był z zawodu lekarzem, powieść dziejąca się w latach 20. minionego wieku też jest o lekarzu, o takim szkockim Judymie praktykującym w biednych górniczych osiedlach Kornwalii. Marny przekład nie zniszczył wszystkich wartości tej znakomitej, głęboko humanistycznej literatury. Jest tam i dickensowskie poczucie humoru i znakomity zmysł obserwacji, jest świetna kompozycja dużej całości. Nie zdziwiłem się, że znalazłem tam tę samą postawę wobec ludzi i świata, jaką polubiłem u włoskich neorealistów. Jest więc u Cronina pochwała dzielności, przyjaźni, współczucia, ostre widzenie krzywdy, tragiczny optymizm.

Świat wartości, jaki kształtował nasz polski „drugi układ”, jest w gruncie rzeczy ten sam. Nie dziwota, wywodzą się wszystkie one z tej osobliwej, mozaikowo różnej formacji, jaką była klasa średnia początku XX wieku. Wątki chrześcijańskiej miłości bliźniego przeplatały się tam z oświeceniową uczciwością zdobywców wiedzy, z kultem hierarchii i rzetelności dawnych cechów, z honorem oficerskim, z ziemiańskimi związkami z ziemią, ludem, tradycją. Wszystko to wlekło za sobą swoje negatywne karykatury,

ale synergia moralnego dobra przez długi czas górowała nad tym, co zrodziło późniejsze i współczesne totalitaryzmy i znieprawienia.

Czy nic nie zostało już z misterium drugiego układu? Moje przyrodnicze wykształcenie każe mi zaufać doświadczeniu w szukaniu odpowiedzi na to pytanie.

Nie, ten układ zmienia się, choruje na komercję, ale działa. Sam zbyt wiele dobra doświadczyłem i doświadczam od ludzi, aby temu zaprzeczyć.

Pytam się – skąd mogą wysnuwać niteczki dobra, ci, którzy nie czują związków z tradycją włoskiego neorealizmu, albo nie czytają takich powieści jak *Cytadela* Cronina. Skąd mają je wysnuwać gapie horrorów i filmów o wampirach, przeżuwacze gier komputerowych, ludzie, którzy porzucają trudy konsumowania kultury dla łatwizny i przyjemnostek rozrywki?

Myślę, że jakimś przyczynkiem w formowaniu odpowiedzi może być sytuacja tych, co porzucili wprawdzie czytanie, ale garną się do pisania, stają się studentami kursów „creative writing”.

Oto same przyswajanie sobie sprawności językowej, poczucia konstrukcji i kompozycji, dowiadywanie się o wielości stylów i tradycji jest dla postawy moralnej bardzo ważne. Tajemnice gramatyki, skarby słownika, poczucie wchodzenia na półki światowego supermarketu kultury – to wszystko daje człowiekowi możliwość, aby pisał siebie jak dobrą książkę, aby swojej duszy opowiadał swoje ciało, a swojemu ciału opowiadał pięknie o duszy. To już jest bardzo dużo. Wystarczająco dużo, aby podtrzymać trwanie jakichś form drugiego układu.

Piotr Wojciechowski

Rafał Lasota

Lokomotywa ciągle stoi na stacji

Stoi na stacji lokomotywa – w ten sposób rozpoczyna się najbardziej znany wiersz Juliana Tuwima. Po raz pierwszy wierszyk ukazał się w „Wiadomościach Literackich” w 1938 roku i co ciekawe wcale nie był przeznaczony dla dzieci. Każdy, kto słyszał rytmiczną onomatopcję Tuwima, obojętne czy dziecko, czy dorosły, zawsze wyłuska z pamięci kilka wersów, żeby tylko uczestniczyć w wydarzeniu, którym jest recytacja *Lokomotywy*. I wcale nie trzeba się czepiać, że wypowiedziane zwrotki nie zawsze trzymają kolejność, w jakiej przewidział je autor. Zostawmy też fakt, że zapewne żaden maluch lokomotywy opisanej przez Tuwima nawet na oczy nie widział. Jeśli chodzi o mnie, to z młodych lat pamiętam wakacje u babci nad Bzurą. Tuż obok rzeki biegle szyny kolejki wąskotorowej. Dokładnie co pół godziny po szynach z sykiem, gwizdem i dymem mknęła prawdziwa ciuchcia. Kolejka pokonywała ze stukotem, łoskotem i tototaktem trasę Sochaczew – Chodaków. Dzielnym maszynistą Jan Kaczmarek, zwany „Wujciem”, sypał węgiel i wychylał się przez boczne okienko. Ogorzała twarz kolejjarza w szarmancko przekrzywionej czapce dawno zniknęła w kłębach dymu, podobnie jak zniknęła ciuchcia z nadburzańskiej trasy. Dlatego do mnie *Lokomotywa* przemawiała, ale jak opowiedzieć o ciuchci mojej sześćioletniej córce Adriannie? Mały człowiek zamiast fantastycznej historii o kolejce sprzed dwustu lat szybciej zrozumie frazę w rodzaju „kilometry szybko miną, gdy wsiądziemy w Pendolino”.

– Tato, co to jest ta tłusta oliwa, która syczy i sapie, czy oni tam robią faworki? – zapytała Ada po lekturze wiersza.

– Chyba robią – odpowiedziałem.

W jaki sposób w erze tabletu i komputera wytłumaczyć dziecku przy pomocy wiersza, że przed wiekami ludzie w kłębach dymu mknęli jakąś dymiącą koleją? W ogóle jak dziecku wytłumaczyć cokolwiek, co miało miejsce chociażby rok temu? To po prostu niemożliwe.

Teraz test.

Proszę wymienić kilka wierszy dla dzieci, z pamięci.

No... to... taak.

No to jest *Samochwała*.

Super! Co dalej?

Dzik jest dziki.

Genialnie!

O Murzynku Bambo lepiej nie wspominać z uwagi na poprawność polityczną i... jeszcze *Stefek Burczymucha*, ale dalej pustka.

Nic współczesnego?

Niestety!

Wracamy zatem do klasyki.

O *wiekszego trudno zucha, jak był Stefek Burczymucha*. Swojski Stefek, zapewne dziarski chłopak, to dobra zapowiedź, ale treść szybko przynosi niespodzianki. Już na początku dziwnie brzmią słowa Stefka, który deklaruje pokrojenie i pozabijanie całej zgrai wilków i niedźwiedzi. Wcale nie wspominam o polowaniu na wieloryby, które jak wilki i niedźwiedzie są pod ochroną. I cóż, że ktoś w tym miejscu wpadnie mi w słowo, krzyżując wierszem:

– To nieprawda! Protestuję! Przecież Stefek nie morduje!

Odpowiadam prozą: Nie czyn, ale zamiar stanowi o zbrodni!

Na powojennych igrzyskach olimpijskich, święcie pokoju, podczas zawodów strzeleckich zamiast do rzutek strzelano do żywych gołębi. Na szczęście te czasy minęły. Jednak deklaracja uśmiercania zwierząt to nie jedyny problem Stefka. Schody zaczynają się w połowie wiersza i związane są z archaicznym językiem. Będąc na spotkaniu z gimnazjalistami – zaprosili mnie, a nie sam się wprosiłem – zapytałem uczniów, których polskich poetów znają. Skład nazwisk zacny: Brzechwa, Tuwim, Konopnicka, Jachowicz, czasami z kąta Bełza wypęłza – generalnie zaskoczenia brak.

– A wiersze? *Stefka Burczymuchę* pamiętacie? – pytam.

– Oczywiście – pada zgodna odpowiedź.

– No to powiedźcie mi, kochani, co znaczy *Ja te wszystkie lwy, tygrysy na sztyk wezmę u swej spisy*?

Cisza. Jakaś zabłąkana mucha tnie powietrze z wyciem odrzutowca. Setka piętnastolatków znających wiersz siedzi bez słowa. Nikt się nie odzywa. Nawet panie polonistki, które przyszły na spotkanie, milczą wymownie – one zapewne wiedzą.

Może on, ten Stefek je podpisze? – odzywa się niepewnie dziewczynka z warkoczem.

Odpowiedź oczywiście błędna, ale przynajmniej ona jedna w ogóle się odezwała. Pozostali milczeli. Podobny test przeprowadziłem na wykładach dziennikarskich w liceum, efekt identyczny.

Po co, człowieku, dręczysz te dzieci? – przebiegło mi przez głowę.

Zastanawiam się, gdzie tkwi problem, że przez ostatnie sto lat nie zrobiliśmy kroku naprzód w poezji dla dzieci. Czy wina jest po stronie twórców, czy pokutuje przyzwyczajanie rodziców i pedagogów? Niestety winna jest każda strona.

Młodzi twórcy są piętnowani, ponieważ biorąc się do poezji dziecięcej, uważają, że maluchowi wystarcza prosta rymowanka, przy której wcale nie trzeba myśleć. Zapominają, że dzieci nie można okłamywać. Poza tym skąd młody twórca ma wziąć temat? Najlepiej podpatrzeć u dawnych mistrzów, bo sam nie wymyśli, a więc przeczytać Brzechwę czy Tuwima, i koło się zamyka. Można raz jeszcze napisać *Zwierzyniec* albo *Abecadło* czy *Okulary*, tak po nowemu. Tylko po co? Nieszczęsny, nietrapiony wena twórca może skorzystać z prostego wzorca i obdarować zwierzęta przymiotami ludzkimi jak w bajkach Ezopa albo dopisać dalszą część *Szelmostw lisa Witalisa* – z takimi autorami także zetknął mnie zły los. Tylko po co?

A można też zupełnie nowatorsko. W swoich poszukiwaniach publikacji z wierszami dla dzieci w Empiku trafiłem na książkę wydaną przez wydawnictwo Albatros. Autorem dzieła był niejaki Adam Mansbach, a „poezję poety” dzielnie przetłumaczyła Magdalena Słysz. Książka znalazła się na półce z wierszami dla najmłodszych. Tytuł *No śpij już, k..., śpij* i dopisek: *Dla młodych sfrustrowanych rodziców z poczuciem humoru!* Na barwnej okładce narysowany śpiący chłopczyk w objęciach stada tygrysów. Otwieram „dzieło”, a tam wiersz:

*Budzę się ledwie przytomny,
I widzę zamknięte oczka twe,
Więc na paluszkach cicho wychodzę,
Żebyś, o kurwa, nie zbudził się.*

Jeśli ktoś nie wierzy, zastrzegam – cytat zgodny z oryginałem. Książeczka stała na półce z propozycjami dla dzieci. W naszym kraju bardzo popularne jest stwierdzenie „nie będę tego komentował”. A ja komentował będę, bo nawet grafomania ma swoje granice.

Rodzice także ułatwiają sobie zadanie, nie szukając nowości, których na rynku jak na lekarstwo. To, co dla nich było dobre, na czym sami wyrosli, będzie dobre także dla ich dzieci. Dzisiaj to się nie sprawdza. Dzieci, nawet te trzyletnie, obsługują tablet czy smartfona szybciej niż niejeden czterdziestolatek. Dla nich liczy się prosty i szybki przekaz. Przed wiekami

książka była długa, miała wystarczyć na mroczne jesienne wieczory spędzane przy naftowej lampie. Słowo drukowane było drogie, więc lepiej, kiedy pisarz trochę się wysilił i gratis dodał parę stron więcej. Dzisiaj najbardziej pożądanym dla dzieci jest wiersz krótki, śmieszny i zaskakujący. Młodzież komunikuje się inaczej niż przed wiekiem. Lepiej czy gorzej, nie wiem – po prostu inaczej. Poezja Brzechwy i Tuwima, Konopnickiej nie pójdzie w zapomnienie, i bardzo dobrze, ale żyjemy tu i teraz, a nie tam i kiedyś.

Pedagodzy – przed nimi duże wyzwanie. Szkoły, domy kultury i biblioteki często ogłaszają konkursy recytatorskie. Czas odejść od klasyki na rzecz młodych autorów i wielu organizatorów tak postępuje. Jak znaleźć młodych autorów, skoro nikt ich nie drukuje? Wystarczy poszperać w Internecie. Świat poszedł naprzód i nie stoi na kolejowej bocznicy dziecięcej poezji, jak my od z górą stu lat.

Rafał Lasota

Michał Dąbrowski

Zbigniew Mikołajko – Gorzkie żale

Profesor Zbigniew Mikołajko – wybitny filozof, religioznawca i historyk idei – w swych rozlicznych publikacjach oraz wystąpieniach medialnych mierzy się ze światem. W tych zmaganiach wykracza daleko poza sferę religijną; jego celne rozważania dotyczą również socjologii, kultury czy politologii. A teraz – dzięki wydanemu ostatnio przez Instytut Mikołowski tomowi poezji *Gorzkie żale* – możemy poznać Mikołajkę w roli poety. Ktoś powie, że profesor swoim debiutem poetyckim pokazał nową twarz; odpowiem mu, że to stwierdzenie nie jest prawdziwe. Każdy, kto czytał jego publikacje takie jak *W świecie wszechmogącym* czy wywiad-rzekę *Jak błądzić skutecznie*, od razu zorientuje się, że są one kwintesencją jego poszukiwań, nie tylko stricte naukowych, ale też ludzkich, codziennych.

Świat opisywany przez Mikołajkę-poetę jest posępny, groźny, nieprzystępny. Cięży nad nim nieuchroność śmierci, ale też pogodzenie się z przemijaniem. Nie znajdziemy tutaj zachwyty nad codziennością, tylko ogromną pokorę i bojaźń przed Nieznanym. Podróżujemy wraz z profesorem przez ciemne noce, pola po których hula złowrogi wiatr, a melancholijne krajobrazy nie dają wytchnienia, tylko przypominają nam, jak mało znaczymy w konfrontacji z otaczającym nas światem.

Mikołajko-mystyk staje naprzeciw Śmierci, patrzy w jej otchłań, jest świadomy kruchości ciała i ulotności istnienia. W wierszu *Ikona* profesor pisze: *Martwy tor kolejowy, / rdza, nędzna trawa i ruiny baraków; / młode ostry pną się ku chmurom niczym litanie staruszek; / nawet drzewa nie / chcą / tutaj umierać*. Owe obserwacje, wycinki z rzeczywistości, jak i wszechobecny turpizm nadają ton tej na wskroś filozoficznej poezji.

Na kartach *Gorzkich żali* nie tylko obcujemy z utworami najwyższej próby, ale również poznajemy portret intymny Mikołajki, idziemy przez meandry jego bólów, smutków i rozterek świadczących o ogromnej wrażliwości, mądrości i wtajemniczeniu w człowieczeństwo. A po lekturze zapada cisza. Cisza pełna zadumy.

Zbigniew Mikołajko, *Gorzkie żale*.
Rzeczy z lat 2012-2016
Instytut Mikołowski, Mikołów 2017
ISBN 978-83-65250-30-8



Cezary Dobies

Istnienia równoległe

O rzeźbie Artura Majki *

Jeśli nie można zobaczyć czegoś w jednej osobie lub rzeczy, to należy szukać tego w wielu. Zasada ta odnosi się nie tylko do miłości, przyjaźni, wrogości, nienawiści, ale dotyczy także najmniejszych cząsteczek. Artur Majka przedstawił rzeźbę złożoną z sześciu płaszczyzn równoległych, trzech białych i trzech czarnych, którymi pobudził wyobraźnię widza do zobaczenia niewidocznej przestrzeni, czegoś o wielkości dziesięć do minus dziewiętej. Artysta często zaskakiwał pomysłami, korzystał z różnych materiałów, wynalazków i wybiegał daleko naprzód. Jednak w tym wykonaniu praca nad rzeźbą nie była przygodą nową, o czym mogą zaświadczyć jego rzeźby stojące w Tarnowie. Podobnie jak poeta szuka innej formy literackiej dla rozległej treści, tak i malarz świadomie wybiera rzeźbę, aby w bryle łatwiej opisać struktury najmniejsze i zaakcentować, gdzie one istnieją i jak działają.

W białych płaszczyznach tworzyło się drzewo lub miasto rozgałęzione, raj i grzech, czyli pochodzenie czegoś, co zaczyna rosnąć. Wycięte kontury były podziurawione małymi kropkami, które przypominały zapłodnione komórki. Dalej jawiły się wyraźne kolumny nóg. Dokąd rzeźba prowadziła zwiedzających? Jedna płaszczyzna zasłaniała drugą, ale niezupełnie, bo wycięcia sprawiały, że za płaszczyzną było widać drugą, a za drugą – następną. Jednak nie tylko wielość płaszczyzn pomagała odszukać niewidoczną strukturę. Istotne znaczenie miał kontrast. Rzeźba z drugiej strony była czarna. Biel wymieszana z czernią daje kolor szary, nijaki. Łód połączony z żarem tworzy parę, coś ulotnego. Nienawiść zespolona z miłością sprawia, że człowiek staje się obojętny, uczucie zanika. Kontrast od bardzo dawna zwracał uwagę na coś niewidocznego. Siłę kontrastu znali już

* Rzeźba nagrodzona w trzeciej edycji Konkursu Międzynarodowego NanoArt im. profesora Tadeusza Malińskiego w paryskiej Galerii Roi Doré. Jury pod przewodnictwem profesora Jana Wiktora Sienkiewicza przyznało 24 czerwca 2017 roku pierwszą nagrodę Arturowi Majce za dzieło *L'existences de parallèles*. Konkurs powstał z inicjatywy Józefa Rudka, właściciela galerii, pasjonata sztuki i wydawcy. Tekst jest fragmentem przygotowanej do druku pozycji książkowej pt. *Majka. Malarstwo z motywem myśli*.



starożytni Egipcjanie. Połączyli oni głowy zwierząt z korpusem ludzi, aby poprzez ową niezgodność, która daleko odbiegała od rzeczywistości, mogli wyobrazić sobie niewidocznych bogów. Egipski bóg Amon (co znaczy Niewidzialny) pochłonął wiele potężnych bóstw wraz z ich cechami i formami, był największy i przez to stał się najbardziej niedostrzegalny.

Czarna strona rzeźby przedstawiała osoby dorosłe, biała zaś komórki zapłodnione plemnikami. Pomiędzy początkiem a życiem dojrzałym poszukiwany jest wspólny mianownik, niewidzialna nić genetyczna. Kontrastem może być także tęsknota dorosłego mężczyzny za dzieciństwem, które dorastało na dziesiątym piętrze. Ustawione obok siebie płyty tworzą prostopadłościan, który wspina się ku górze jak wieżowiec w Tarnowie,

co z lotu ptaka patrzy na piękną starówkę. Artysta zdał maturę w Liceum Plastycznym i wyjechał na studia do Krakowa, ukończył architekturę, później udał się do Paryża, zdobył dyplom na sztukach pięknych, intensywnie zwiedzał Europę, zapuszczał się do Stanów Zjednoczonych, jednak tak naprawdę jego życie przywiązane zostało do dwóch krajów. Sekwanę nazywa Wisłą i Polskę porównuje do Francji. Wewnątrz emigranta często toczy się walka, trwa rozgrywka między wartościami. Na szachownicy ustawiają się figury czarne i białe. Od strony czarnej widać ludzi w ruchu, podobnych do tych, co tańczyli w pochodzie śmierci. Wszyscy ludzie rodzą się po to, aby się poświęcać, służą w pracy, na urlopie, w usługach, gdy rządzą, tworzą, kochają, a nawet służą wówczas, gdy nienawidzą i tańczą też dlatego, aby bawić innych. Człowiek wpisany jest w odwieczną grę jak figura w okręgu, który toczy swoją nieśmiertelność.

Dużo treści niesie rzeźba Artura Majki. Ale to nie wszystko. Formę można tworzyć w nieskończoność, ściany dobudowywać. Bryła może przypominać literackie dzieło otwarte, powieść, którą da się czytać z każdej strony i dopisywać do niej nowe rozdziały. W literaturze najpiękniejsze rzeczy występują poza treścią, z pozoru są niewidoczne. *Istnienia równoległe* z boku przedstawiały stojące na półce woluminy, ustawione grzbietami do czytelnika. Sześć płyt to zarazem sześć tomów życia: poczęcie, dzieciństwo, dorastanie, dojrzałość, starość i śmierć. Na Starym Kontynencie istnienie ludzkie połączyło się z tekstem związkiem trwałym. Kultury europejskie wytworzyły powszechny szacunek do książek. Europejczyk nauczył się cenić książki, poznał ich ogromną wartość, a także siłę. Z tej przyczyny biblioteki często okradano lub palono, aby wroga skutecznie osłabić. Być może ze zwykłej słabości, z obawy zagubienia, ze strachu przed ogniem, pisma przeszły do ataku.

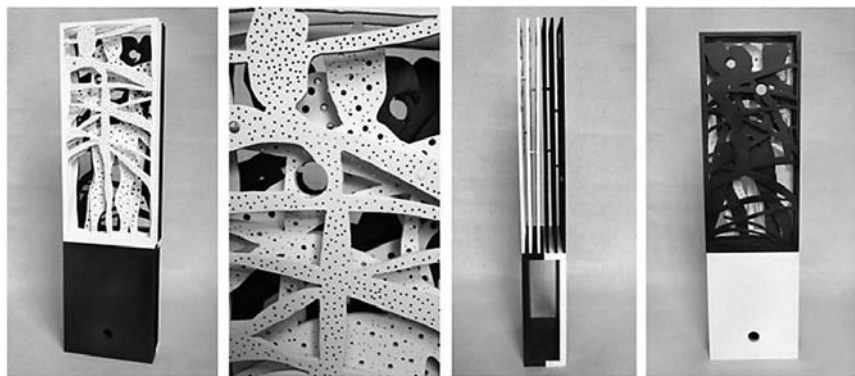
Europa jest niewielką półką, na której zawsze toczyły się wojny książ. Bitwy były bezwzględne, płonęły miasta tak łatwo jak strony. Wzajemnie zwalczały się księgi święte i bluźniercze, apokryfy i przekłady. Jednak trzeba przyznać, że najwięcej nieszczęść przyniosły dwa wydania: jedno pojawiło się w XIX, a drugie w XX wieku. Żadna księga nie dostarczyła tylu zbrodni i okrucieństw, co *Manifest komunistyczny* i *Mein Kampf*. Ofiary każdego z tych dzieł liczone są w milionach.

Historia uczy tylko nielicznych, wyłącznie tych, którzy do niej wnikliwie zagląдают. Pozostali nadal popełniają te same błędy. W obecnych czasach terroryści tworzą zorganizowane siatki morderców, bo dążą do tego, aby świat zdominowała jedna księga.

Na koniec wypada zaprzeczyć samemu sobie, powiedzieć, że się pomyliło. Ludzie lubią dyktaturę, bo lubią stawiać na jedną kartę. W sztuce wyróżniają ulubiony nurt, w kuchni subiektywnie dobierają smaki, kochają wybrane zwierzę, na przykład kota lub psa i zwykle bronią jednego (swojego) zdania. Różnorodność opcji staje się dla każdego pstrokata, bo wykracza poza logikę i dwie możliwości. A ponieważ to wszystko dzieje się w strukturach małych, to nie widać w nich sprzeczności. Kiedy przywódca mówi językiem stanowczym, wtedy tworzy się dyktatura, a jeśli poeta mówi bezwzględnie, to robi się wiersz. Zatem, żeby zniszczyć dyktaturę, trzeba zacząć od książek, pomniejszyć czytelnictwo.

Na świecie dużo jest pytań, szczególnie tych najmniejszych i najbardziej istotnych. Dla starożytnego Egipcjanina istniały trzy rzeczy najważniejsze: cień, który był podstawą zmysłową, serce kojarzone jako ośrodek działania i dobrej myśli oraz imię, które wychodziło z głowy i determinowało wszystko. Nazywając coś – tworzyli to. Rzeźba Artura Majki posiada trzy okrągłe dziury, spore jak otwory po kulach. Jedna dosięgła podstawy, która jest tą zmysłową podporą, czyli cieniem dzieła, druga trafiła w okolicę serca, a trzecia – w głowę. Artysta był bezlitosny dla swojego dzieła, któremu wyciął śmiertelne ciosy. Zapewne przez to, aby powiedzieć, że nie bryła powinna być najważniejsza ani istnienia widoczne, równoległe, ale to, co jest głęboko wewnątrz, co pozostaje dla oka zakryte.

Cezary Dobies



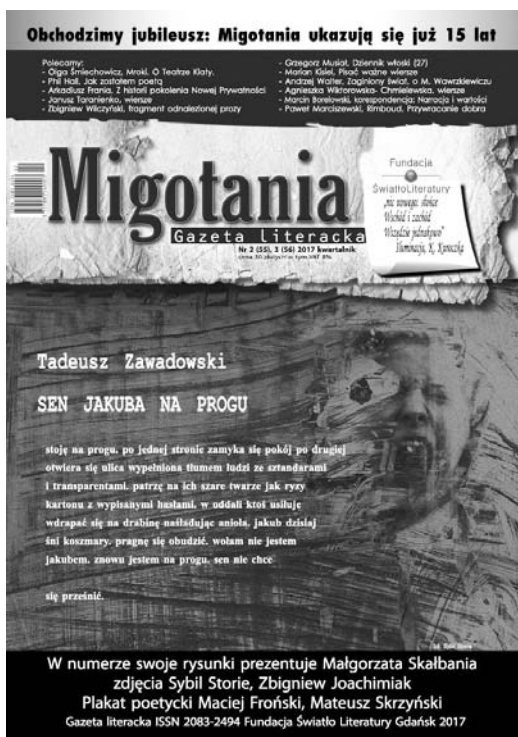
ks. Janusz Adam Kobierski

15 lat kwartalnika „Migotania”

Data czerwiec 2002 roku to początek wydawania pisma „Migotania, przejaśnienia”. Pierwszy numer był tzw. jednodniówką. W szybkim czasie bardzo wielu twórców w różnym wieku dołączyło do współpracy z Redakcją, na czele której od początku stał Zbigniew Joachimiak, poeta, lider głośnej w latach 80. grupy poetyckiej „Wspólność”.

I to on był, i jest główną sprężyną działania.

Pismo obecnie ukazuje się w cyklu kwartalnym, prezentując na 28 kolumnach nową poezję, prozę, krytykę literacką i eseistykę. W każdym kolejnym numerze „Migotania, przejaśnienia” prezentują również bohatera plastycznego (malarza, rysownika). Do tej pory ukazało się 45 numerów



kwartalnika. Ma nietypowy format A3, zawsze z oryginalną grafiką i plakatami poetyckimi. Również i dzięki temu to pismo stało się rozpoznawalne. Ale wartość swoją zawdzięcza przede wszystkim autorom, którzy tam publikują zarówno ze starszego pokolenia, jak i młodszego. Ważne jest również i to, że pismo stoi ponad podziałami politycznymi, co znaczy tyle, że stawia na wartość sztuki, która łączy ludzi rozumiejących jej sens w czasach konsumpcjonizmu. Redaktorzy i autorzy nie otrzymują honorariów. Dotacja finansowa ministerstwa pokrywała jedynie druk pisma (ma też swoją wersję elektroniczną). Pismo finansował także redaktor naczelny Zbigniew Joachimiak ze swoich prywatnych źródeł dochodu.

Na łamach kwartalnika publikowali m.in.: Tadeusz Różewicz, Julia Hartwig... Z pismem współpracują też wykładowcy uniwersyteccy, m.in. Stanisław Rosiek i Leszek Szaruga...

Autorów, którzy pragną publikować na łamach pisma, (obecnie) „Migotań”, jest aż nadto.

Młodzi, którym bardzo dotkliwie brakuje miejsca na prezentację swojej twórczości, czują się wyróżnieni dzięki publikacjom w „Migotaniach”.

I znów główny problem tego interesującego kwartalnika polega na walce o dotację.

W tym roku kwartalnik nie otrzymał dofinansowania ministerialnego. Już kiedyś tak było. Udało się obronić pismo dzięki odwołaniu i petycji podpisanej przez czytelników. W tym roku także wystosowano petycję. Oczywiście można wszystko zaorać, odrzucić, co sprawdzone. Tylko po co? Jakie są argumenty urzędników? Nie wiadomo.

Leszek Żuliński, który już kilkakrotnie pisał w obronie pisma „Migotania”, zauważa: Proszę zajrzeć na stronę MKiDN, tam jest lista czasopism, które dotację otrzymały. Oczywiście nie mam nic przeciw większości tych pism, ale brak na tej liście „Migotań” najzwyczajniej ją psuje, a nawet podaje w wątpliwość kompetencje lub obiektywizm ministerialnej komisji. Wszyscy wiemy, że z pieniędzmi na kulturę jest coraz gorzej. Można by jeszcze to zmilczeć, gdyby status quo substancji tzw. „kultury wysokiej” utrzymywało się. Ale ono ubożeje. To jest alarmujący sygnał, że i państwo, i jego ministerstwo istniejące po to, by w kulturze było lepiej, zaczynają funkcjonować w sposób obojętny dla środowisk, którym ma służyć.

Ja również upominam się o ochronę i wsparcie „Migotań”.

Smutne to, że z okazji jubileuszu trzeba także i to czynić.

ks. Janusz Adam Kobierski

Grzegorz Łatuszyński

Rumunia krajem rodzinnym – Serbia ojczyzną

Slavomir Gvozdenović, poeta, eseista, tłumacz, antologista, profesor Uniwersytetu w Timișoarze, działacz społeczny, urodził się w 1953 roku w Rumunii, w serbskiej wiosce Belobreška, Tam również ukończył szkołę podstawową, średnią zaś w Timișoarze.

Zadebiutował jako poeta w latach studenckich, w 1975 roku, tomikiem wierszy „Skrzydła i trochę ognia”. Ukończył filologię serbską na Uniwersytecie w Bukareszcie, gdzie w 2000 roku obronił również pracę doktorską pt. „Język i styl w poezji Vaska Popy”.

Jest członkiem wielu stowarzyszeń twórczych, w tym Związku Pisarzy Rumunii i Stowarzyszenia Pisarzy Wojwodiny, a od 1989 także członkiem honorowym Stowarzyszenia Pisarzy Serbskich. Członkiem korespondentem Macierzy Serbskiej został w 1995 roku. Jest założycielem Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Serbskich w Timișoarze i jednym z inicjatorów Ligi Przyjaźni Serbsko-Rumuńskiej w Bukareszcie i Timișoarze. „Rumunia jest moim krajem rodzinnym – mówi – a Serbia ojczyzną”.

Był w grupie inicjatywnej założycieli Związku Serbów w Rumunii oraz jego przewodniczącym w latach 2004-2012, a także prezesem wielu serbskich instytucji kultury w Timișoarze i na terenie całego rumuńskiego Banatu.

W roku 1992 wybrany został na posła serbskiej mniejszości narodowej w Parlamencie Rumunii i po dziś dzień zasiada w Parlamencie, jest przewodniczącym Komisji Kultury.

Mieszka i pracuje w Timișoarze. Jest redaktorem naczelnym czasopisma „Književni život”. Wykłada literaturę serbską na Uniwersytecie Zachodnim w Timișoarze i na Uniwersytecie Bukareszteńskim.

Opublikował 35 tomików poezji, z czego 5 w Serbii, pozostałe w Rumunii, w tym 4 w języku rumuńskim. Jego poezja wyrasta ze współczesnego rumuńskiego kontekstu poetyckiego i serbskiej tradycji literackiej Miloša Crnjanskiego, Momčila Nastasijevicia, Tanasija Mladenovicia i innych serbskich ekspresjonistów, a także poetów nam współczesnych, m.in. Adama Puslojcia, Radomira Andricia.

Ta poezja wiąże w sobie często przenikające się w jednym wierszu obrazy codzienności z sakralnością, a także reminiscencje, myśli i motywy

odległej greckiej, rzymskiej i bizantyńskiej starożytności, jak również starosłowiańskiego i cerkiewnoserbkiego średniowiecza ze współczesnością i dniem dzisiejszym. Wszystko to jednak dzieje się na zasadzie przywoływania magicznego, hasłowego klucza czy wytrychu, który ma otworzyć czytelnikowi okno na tamte światy, by zderzyć je z naszym i z nami.

Pod widocznym wpływem postmodernizmu jego poezja, często liryczna, refleksyjna i nostalgiczna, ulega pewnym jakby maskującym odkształceniom, dekompozycji formy poetyckiej i świadomemu kruszeniu semantycznej i syntaktycznej struktury wiersza. Jest oszczędna w środkach wyrazu, ściśnięta nierzadko niemalże do form telegraficznych.

Można postawić sobie pytanie, czy poeta z pełnym przekonaniem poddał się nie tylko postmodernistycznej stylistyce, ale i filozofii, i czy widoczne to jest w jego wierszach. Uważna lektura tej poezji każe mi wątpić, wyczuwam bowiem napięcie między arsenałem środków formalnych i przekazem, który nierzadko jest duszony przez ową postmodernistyczną poetykę, ale jej się do końca nie poddaje:

*na języku który gaśnie myśl grzeszna
gawron postmodernista
czekam na jaskółkę
ubieram się z determinacją
zmoczy mnie wiosenny deszcz
dla jej oczu ten
ostatni zapis na pianie*

(Jestem gawronem postmodernistą)

Jako poeta Gvozdenović zachowuje widoczny dystans zarówno do siebie, jak i do tego wszystkiego, co niósł i niesie ze sobą postmodernizm, a tym bardziej do różnych prądów ideologicznych i obyczajowych, dla których stał się on intelektualną pożywką. Nie wyrzekł się tradycyjnych wartości, jakie przyświecały jego przodkom, nie sprzeniewierzył się patriotycznej tradycji rodzinnej, Bogu i Cerkwi, która przez długie wieki niewoli tureckiej była ostoją serbskości dla Serbów i rumuńskości dla Rumunów.

Tym, co robi, czym żyje na co dzień, a co staram się przedstawić, Gvozdenović dowodzi, iż niezwykle istotny dziś jest dla niego świat realny, ten z „tu i teraz”, że nie jest to świat obok niego, lecz jego, jemu dany i jego narodowi. W nim, poecie i społeczniku, splata się los zarówno serbskiej

mniejszości w rumuńskim żywiole jak i serbskiego narodu, z jego kulturą, historią i tradycją, budującego swoje dzieje od wieków na własnej ziemi.

Gvozdenović aktywnie, z ogromną energią i zaangażowaniem, chce uczestniczyć w jednym i w drugim, u siebie, w Rumunii, w Timișoarze, organizować życie serbskiej mniejszości, a w Serbii być w miejscu i czasie, gdzie się dzieje serbska kultura w pełnym wymiarze, i w tym również uczestniczyć. Bo kultura, jak uważa poeta, jest najważniejsza dla trwania narodu przez wieki, dla jego witalności.

Sprawdzone to zostało w pięćsetletnim okresie panowania tureckiego na ziemiach serbskich. Kultura, tradycja i wiara były ostoją zniewolonego narodu, dały mu wewnętrzną siłę, uodporniły, ochroniły jego wartości i tożsamość, nie dopuściły do zaszczepienia tego, co obce.

*Jest takie drzewo
w Pećkim Patriarchacie
w którego każdy konar
wrosła również moi przodkowie
a gdy dotknie świętej serbskiej ziemi
korzeniem w nią się wczepia*

I dalej w tym samym wierszu:

*nie potrafię opisać tego drzewa
nie potrafię narysować
gdyż ono jakby się we mnie rozgałęziło
i noszę je przez stulecia*

(Światło w czasie)

Takie symboliczne drzewo, zbliżone w swojej wymowie do cytowanego tu przeze mnie wiersza Gvozdenovicia, stworzył znakomity serbski malarz Momo Kapor. Jego grafika, zatytułowana „Korzeń”, umieszczona na okładce polskiego wyboru poezji, koresponduje z tym wierszem i w sposób metaforyczny ilustruje jego przesłanie, chociaż ani Kapor nie znał wiersza Gvozdenovicia, ani Gvozdenović, pisząc ten wiersz nie znał grafiki Kapora. Obaj wyrazili, jeden słowem, drugi kreską, co grało im w duszy, a grało podobnie.

W orbicie zainteresowań poety znalazła się jeszcze jedna sprawa, mianowicie serbski język w Rumunii, otaczany dziś przez Gvozdenovicia

szczególnością troską, i związane z tym serbskie szkoły. Ich liczebność się zmniejsza. Coraz częściej przekształcane są w szkoły z dodatkowym lub tylko fakultatywnym językiem serbskim, nie wytrzymują bowiem konkurencji ze szkołami rumuńskimi, które lepiej przygotowują młodzież do funkcjonowania w społeczeństwie, gdzie dominujący jest język rumuński. Język serbski coraz wyraźniej ogranicza swoją przestrzeń do domu i obejścia, do kontaktów rodzinnych.

Poeta zdaje sobie sprawę z tego, że jest to proces trudny do wyhamowania, że się będzie pogłębiać, bo nie polityka, lecz realia życia dyktują dziś tę sytuację:

*mój język jest domem
weń wrosłem całkowicie i bez reszty
nie znam jego barwy
ani gdzie ma serce i jak wielkie
wiem tylko że dach jego z niepogody*

(Serbski język)

Obowiązki społecznika i polityka na co dzień, rzecz można, dręczą poetę, nie dają mu spokoju, więc zdarzają się noce nieprzespane, noce szarpiące sumienie, zmuszające do bilansowania dokonań i zaniechań, do korygowania bliższych i dalszych planów, obmyślania strategii, już dziś skonsultowania jej z tymi, co go będą rozliczać. Wtedy Gvozdenović pisze:

*Rozmawiam z ciszą martwych
jest w fundamencie naszych domów
takie zamknięte oko co
wszystko widzi
i wszystko słyszy*

(Rozmowa z ciszą martwych)

Myślę, że dzięki tematowi i wartościom, które niesie, żywotnym nie tylko w kręgach serbskiej mniejszości w Rumunii, lecz także na wielu innych obszarach w Europie i na świecie, poezja Slavomira Gvozdenovicia może znaleźć odzew również poza granicami Serbii i Rumunii. Gvozdenović jako poeta i społecznik boryka się przecież z problemami, które dotyczą

także mniejszości polskich na Litwie, Białorusi i Ukrainie, a także na czeskim Zaolziu, nie wspominając o Rosji i Niemczech.

Tłumaczona na kilkanaście języków, ta poezja publikowana była w prestiżowych czasopiśmie literackich europejskich i pozaeuropejskich, a także prezentowana w kilkudziesięciu serbskich, rumuńskich i światowych antologiach, jak też w serbskich podręcznikach szkolnych, natomiast książkowe wybory ukazały się w językach angielskim, francuskim i niemieckim.

Jako antologista Gvozdenović przygotował ponad dziesięć różnych, tematycznych i regionalnych antologii serbskiej literatury. Przetłumaczył szereg zbiorów wierszy serbskich poetów na język rumuński, m.in. Miodraga Pavlovicia, Gorana Djordjevicia, Ljubomira Simovicia i Micię Cvijeticia, a także kilku poetów rumuńskich, m.in. Iona Scorobete na język serbski.

Nazwisko Slavomira Gvozdenovicia jako pisarza i działacza społeczno-politycznego znalazło się w leksykonach serbskich, rumuńskich i światowych, co jest rzeczą naturalną zważywszy, że jest to człowiek instytucja zarówno w obszarach literatury i kultury, jak też w dziedzinie spraw społecznych i publicznych. Jest on laureatem wielu prestiżowych nagród i kawalerem orderów państwowych, zarówno serbskich jak i rumuńskich.

Grzegorz Łatuszyński



Slavomir Gvozdenović
O białym Bizancjum ci opowiadam
 Wybór, przekład, posłowie Grzegorz Łatuszyński
 Seria: Biblioteka Poetycka
 Oficyna Wydawnicza „Agawa”
 Warszawa 2017

Zbigniew Masternak

O dramatach Antoniego Pieńkowskiego

Antoni Pieńkowski nie zalicza się do pisarzy powszechnie znanych, ale nie znaczy to, że jest twórcą gorszym od tych, którzy skupiają na sobie uwagę nie tylko fachowych czasopism literackich, ale także prasy codziennej, kolorowej, o radiu i telewizji nie wspominając. Wiem, co mówię, gdyż czytam Pieńkowskiego systematycznie od jego debiutanckiego zbioru *Aniołek i inne opowiadania*, wydanego w 2003 roku. Następnie opublikował opowieść biograficzną *Ewa* (2003 r.), zbiory opowiadań *Dookoła pajaca* (2004), *Prosto do raju* (2009), *Wujek z Ameryki* (2010). W latach 2010-2015 ukazały się jego trzy tomy *Utworów zebranych*.

Z powyższego zestawienia widzimy, że Antoni Pieńkowski to twórca wszechstronnie utalentowany – dziennikarz, reporter, prozaik, dramaturg i poeta. W dodatku jest to autor wyjątkowo płodny – cały czas wydaje kolejne ważne tomy prozy i innych utworów.

Można go uznać za reprezentanta nurtu chłopskiego, tworzonego przez takich pisarzy, jak Tadeusz Nowak, Wiesław Myśliwski, Marian Pilot. Od tych dwóch ostatnich zdaje się jednak autorem bogatszym o ilość podejmowanych tematów i gatunków literackich.

Ostatnio w ręce wpadły mi jego dramaty. To sztuki zupełnie inne od tych, które serwuje nam polska dramaturgia współczesna, zdominowana przez lewicowe ideologie, wśród których prym wiodą równouprawnienie płci i homoerotyzm. Mamy do czynienia z wszechobecną dekonstrukcją klasyki, rzekomo homofobicznej i szowinistycznej. W duchu krytyki feministycznej i emancypacji „kochających inaczej” dzieła dawnych mistrzów odczytuje się więc na nowo. W dodatku dzisiejszy teatr w Polsce zrobił się wyjątkowo zmanierowany – dramatopisarze, których jest niezbyt wielu, siłą się na sztukę wysoką, zamiast której wychodzi im... sztuczność. Czy dyrektor któregoś ośrodka teatralnego zdecyduje się na wystawienie chociażby jednej z klasycyzujących a przez to kontrowersyjnych sztuk Pieńkowskiego? Oby tak się stało, bo ich autor mówi absolutnie własnym, odbiegającym od współczesnych mód głosem.

W tych krótkich formach Pieńkowski naigrawa się z rzeczywistości. Piętnuje ludzkie przywary, jak karierowiczostwo czy pogoń za pieniędzmi.

Wszyscy lubimy się śmiać – z zasłyszanych dowcipów, z zabawnych sytuacji, które obserwujemy wokół siebie. Pieńkowski nie boi się niezależności myślenia. Są to utwory, które należy czytać z przymrużeniem oka, mieć dystans do autora i przede wszystkim do siebie. Pieńkowski nie szydzi z ludzi, ale z ich przywar. Przenikliwość, zdolność obserwacji, niezwykły zmysł satyryczny, lekkość dowcipu, ostry osąd rzeczywistości – to zalety tych sztuk. Bohaterowie dramatów to pozornie ludzie przyzwoici, a w rzeczywistości to wyjątkowo ohydne typy – konformiści, pozerzy, karierowicze, pospolici krętacze. Typy wynaturzone, ale przecież nie tak rzadkie, bo spotkamy się z nimi wszędzie – w polityce, mediach, biznesie. Sztuki Pieńkowskiego przedstawiają pokolenie dzisiejszych pięćdziesięcio-sześćdziesięciolatek, ale także tych, którzy dopiero w życie wchodzi. Autora zajmują ważne zagadnienia współczesne: przekształcenia społeczno-gospodarcze po 1989 roku, stracone pokolenia ludzi urodzonych za wcześniej lub za późno. Zabrzmiało publicystycznie? Ktoś powie: co można w prasie, niekoniecznie powiedzieć się w sztuce teatralnej, która rządzi się innymi regułami. Tymczasem Pieńkowskiemu udało się publicystyczne tematy przekuć w kawał świetnej literatury. Weźmy za przykład sztukę *Za wcześniej urodzony*. Pieńkowski obala w niej mit bohatera „solidarnościowego”. Z pewnością wolelibyśmy zachować w pamięci działaczy szczerze zaangażowanych w sprawę kraju i o nich czytać, czy jednak powinniśmy udawać, że nie dostrzegamy tych, którzy robili sobie zdjęcia z Wałęsą, by potem eksponować je w swej biografii i na nich opierać wizerunek polityczny? Działacze, a raczej karierowicze „solidarnościowi”, którzy przez tydzień byli internowani, rozrzucili kilka ulotek, teraz za te „olbrzymie” zasługi dla społeczeństwa jeżdżą dobrymi autami, piastują intratne stanowiska, prowadzą powiązane z rządem firmy. Brzmi to jak oskarżenie i jest nim w istocie – Pieńkowski w swoich sztukach stawia rozmaite pytania, które większości z nas błakają się po głowach. Najważniejsze z nich: prawda leży po stronie silniejszego, czy słabszego?

W większości utworów Pieńkowski zastanawia się nad naturą władzy. Tak jest choćby w *Blaszkach i orderach*, który jest najbardziej gogolowskim z ducha tekstem. Jego bohater to były komunistyczny dyrektor jakichś tam zakładów, który dość łatwo stał się w dzisiejszych czasach pracownikiem jakiejś tam kapitalistycznej korporacji, bezwzględnie zwalniającym z pracy swoich najlepszych kolegów, bo podobno zrobili się już za starzy. Utwór aż skrzy się od humoru, wystawiony na scenie wywoływałby pewnie salwy śmiechu publiczności, byłby to taki śmiech przez łzy.

Gość z San Francisco kojarzy się z najlepszymi osiągnięciami literackimi Edwarda Redlińskiego (mam tutaj na myśli raczej jego prozę niż dramaty). Cała rodzina z polskiej wsi czeka na przyjazd wujka z Ameryki. Wujek przyjeżdża, ale nikomu nic nie daje, w niczym nie pomaga. Oprócz humoru na poziomie anegdoty mamy tutaj jaskrawą metaforę sytuacji polityczno-gospodarczej, w jakiej od dawna znajduje się Polska, liczącą ciągle na dobroć wujków z USA.

W wielu dramatach autor upomina się o los wykluczonych w procesie przemian po 1989. Są za młodzi, żeby umrzeć, za starzy, żeby dostać dobrą pracę. Tak jest w *Kapitałiście ze szczerego złota*. Ten utwór chyba najwięcej mówi o współczesnej Polsce. Komunista, który zostaje biznesmenem. Byli policjanci jako jego ochroniarze. Służąca z Rosji. I znowu salwy śmiechu przez łzy.

Pieńkowski w swoich sztukach nie porusza tematów zastępczych – nie pisze o gejach, tęczy, feminizmie. Jest jednym z nielicznych, którzy mają odwagę pytać o kierunek, w którym zmierza polskie społeczeństwo. W zalewie postmodernistycznego kiczu jego sztuki stanowią zdrową dla niego konkurencję. Wybór dramatów Pieńkowskiego może wywołać rozmaite reakcje – od pełnej aprobaty po odrzucenie – wielu pewnie się nie spodoba przedstawiony w nich obraz naszego kraju: obnażanie absurdów, wyszydzenie, obrażawianie. Pieńkowski to autor, który ma już swoje lata, przeżył to i owo, widział to i tamto, był tu i ówdzie, z niejednego pieca chleb jadł. Nie zabiega o rozgłos, za nic ma sławę, licząc, że ci, do których adresuje swoje wiersze, prędzej czy później do nich trafią, że zostaną przez nich przeczytane i na swój sposób docenione.

Pieńkowski satyryczny

Twórczość Antoniego Pieńkowskiego, choć może nie wszyscy o tym wiedzą, obejmuje wiele obszarów. Jest pisarzem, dramaturgiem, dziennikarzem, a także – rzecz jasna – poetą, który wydał kolejny ważny tom, tym razem wierszy satyrycznych pt. *Gruszki na wierzbie*. To zestaw kilkunastu utworów, często rymowanych, w których poecie udało się zawrzeć wiele ciekawych spostrzeżeń. Te wiersze to satyryczne miniaturki, na które warto zwrócić uwagę – zdumiewają pomysły, a także opanowanie

warsztatu. Można w nich znaleźć aforyzmy, złote myśli, porady – jednym słowem – lapidaria. W zbiorze *Gruszki na wierzbie* ujawnia się satyryczna lekkość pióra Pieńkowskiego, zdolność do skrótowego, szkicowego przekazywania pomysłów, trafność spostrzeżeń i celność puent.

Satyra obyczajowa w wierszach to niezastąpione źródło dobrej zabawy. Znajdziemy tutaj mnóstwo nawiązań do polityki i biznesu, bardzo drwiących:

*Dzień się budził. Sierpniowy.
Zapowiadał się bardzo upalny.
Z samego rana miał przejeżdżać przez miasto
Polityk (podobno!) IDEALNY.
(Polityk idealny)*

Jednak największą obsesją Pieńkowskiego jest piętnowanie wszelkich społecznych nierówności i niesprawiedliwości. Pieńkowski przedstawia sceny ze zwykłego życia, kreśli obyczajowe obrazki – wiele z tych utworów to druzgoczący obraz świata współczesnego, postępu i rozwoju cywilizacji, dokonywanych za wszelką cenę.

Utwory, takie jak: *Człowiek i ryby*, *News*, *Bankomat czy PRL na strych?* różnią się nie tylko tematyką czy długością, ale też rymem i rytmem, dzięki czemu czytelnik ma okazję poznać różnorodność poezji satyrycznej najwyższej próby.

Gruszki na wierzbie to dowód na to, że choć czas płynie, a rynek oferuje rozrywkę lekką, łatwą i przyjemną, jest wciąż zapotrzebowanie na dobre wiersze, które potrafią poprawić humor i czegoś nauczyć. Poczujmy ten klimat, wsłuchajmy się w tę mowę, poznajmy ukrytą w tych wersach mądrość. Może i nam udzieli się jej choć kropelka.

Zbigniew Masternak

Mirosław Słapik

O myszce która zamieszkała w rękawiczce czyli *Spowiedź w fotoplastikonie*

Krzysztofa Beśki

Co może łączyć ze sobą – współczesne warszawskie biuro projektantów zieleni, fotoplastikon, islamską rewolucję w Iranie w 1979 roku i Warszawę w roku 1943? Raczej odpowiedź nie będzie możliwa dopóki nie przeczytamy do końca jednej z najnowszych powieści sensacyjno-kryminalnych Krzysztofa Beśki *Spowiedź w fotoplastikonie*. Natomiast ku pocieszeniu serc tych, którzy lubią kiedy napięcie rośnie i rośnie, dobrą wiadomością jest to, że ów koniec znajduje się dopiero na 562 stronie.

Na dodatek autor w przeciwieństwie do tego, co ma miejsce w jego trylogii o perypetiach dziennikarza-detektywa Tomasza Horna, tym razem nie rozpieszcza czytelników krótkimi podrozdziałami. Powieść składa się bowiem z siedmiu długich rozdziałów dodawszy do tego wstęp bez tytułu, *Prolog* oraz kończące – *Dominus vobiscum* i *Epilog*. Jednakowoż (już tak na poważnie) ma to uzasadnienie, ponieważ po przeczytaniu pierwszych rozdziałów zwraca uwagę obrazowy przekaz atmosfery strachu oraz warunków życia, w jakich żyli mieszkańcy Warszawy podczas okupacji. Taki układ tekstu raczej podobnemu opisowi służy. Mimo to autor nie skupia się na niepotrzebnych detalach, zbyt pogłębionej psychologii postaci, dzięki czemu od początku akcja toczy się wartko.

Jak to bywa w sensacyjno-kryminalnych opowieściach Beśki już na początku otrzymujemy kilka sygnałów dochodzących z kilku różnych okresów – tym razem z trzech dekad ubiegłego i obecnego wieku. Tyle że główna część akcji toczy się w Warszawie w 1943 roku. Miejsca wielu wydarzeń są nierzadko dokładnie przez autora określane. Niektóre kluczowe postaci czasem tylko migną, jednak bez nich intryga nie mogłaby się obejść. Toteż jeden z bohaterów swoją obecnością może nieco przypominać Kurtza z *Czasu apokalipsy*, który tylko mignął pod koniec filmu, mimo to duchem był przez cały czas obecny.

Mirosław Słapik, pisarz, poeta, publicysta, członek Zarządu Olsztyńskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Oto przyjaciel głównego bohatera Antka, ksiądz Czesław Bielawny, zakupuje w śródmieściu Warszawy fotoplastikon i już na początku w niejasnych okolicznościach (tym bardziej że w tym czasie gaśnie światło) obok głównego urzędnika znajduje oficera Wehrmachtu leżącego beż życia. Niemiec wcześniej spokojnie oglądał przeżroczą. Przyjaciele, Antoni i Czesław, wywożą go z fotoplastikonu riksą i porzucają w odludnym miejscu. Pomagają im w tym Franek Bela – kolega, z którym uczyli się w jednej klasie liceum Batorego. Od tego momentu atmosfera się zagęszcza, również poprzez pojawianie się kolejnych, istotnych dla akcji, postaci. Towarzyszy temu niepokojąca sceneria ówczesnej Warszawy, co zdecydowanie pogłębiają kilkakrotnie odwiedziny Antka w jednym ze znanych szpitali psychiatrycznych.

Co jest już pewną normą w książkach autora *Ornatu z krwi*, i w tej pojawiają się postaci autentyczne. Jedną z nich jest się Krzysztof Kamil Baczyński, również kolega z Batorego, który przy herbacie w barze zwierza się nawet Antkowi, że jego żona Basia jest w ciągłym konflikcie z teściową, czyli matką poety. Koledzy zetkną się jeszcze raz i poeta oświadczy, że rezygnuje ze studiów na rzecz walki z okupantem. Nie ma się czemu dziwić – na rok przed Powstaniem Warszawskim nawet do przeciętnych mieszkańców Warszawy dochodziły już prawdziwe wiadomości z frontu o tym, że armia niemiecka jest w odwrocie, że Sowieci zbliżają się do granic Polski. Część warszawiaków zaczyna podejmować ważne decyzje związane z walką o niepodległość. Uaktywniają się grupy, których zadaniem jest eliminowanie zdrajców i szmalcowników. Ci drudzy odegrają w powieści rolę niebagatelną i dadzą się we znaki nie tylko Antkowi, choć rychło osiągnie ich sprawiedliwość.

Zagęszcza się nie tylko atmosfera, ale mnożą osoby pojawiające się (i czasem pomieszkujące) w mieszkaniu Antka. Czasowo wprowadzi się ksiądz Czesław Bielawny z ciężarną Ukrainką Oleną, jednocześnie jako... ojciec jej dziecka. Dlatego niewykluczone, że jest trochę autorskiej autoironii w przytoczonej (w momencie kiedy w mieszkaniu zrobiło się już za ciasno) przez Olenę popularnej ukraińskiej bajce o rękawicze, którą zgubił w lesie dziadek i w której zamieszkała nie tylko myszka, ale kilkoro innych zwierząt razem z niedźwiedziem. Można tę opowieść bez ryzyka odnieść do ilości nowych postaci co i raz stających na drodze głównego bohatera powieści.

W tych zawirowaniach związanych z konspiracją i niejednokrotnym ratowaniem życia coś nieokreślonego unosi się w powietrzu. Wytrawny czytelnik thrillerów Beśki będzie wiedział, że po licznych, trzymających niejednokrotnie w napięciu, perypetiach bohaterów nastąpią kolejne

zaskoczenia. Zatem nie powinien się zdziwić kiedy dadzą o sobie znać zjawiska oniryczne, metafizyczne i telepatyczne (choć jako ledwo zauważalne sygnały). Nie jest przecież łatwo zinterpretować wypadek księdza, który nastąpił zaraz po tym, jak główny bohater powieści rzucił za nim:

– Idź do diabła – rzuciłem ze złością za oddalającą się postacią w sutannie.

Odróciłem się i już miałem iść przed siebie, gdy nagle usłyszałem przerażający pisk opon hamującego pojazdu. Głuche uderzenie. Potem kobiecy krzyk. Gdy się obejrzałem, ujrzałem leżące na jezdni Krakowskiego Przedmieścia, kilka metrów przed ciężarówką, ciało księdza.

Co będzie dalej? Ujawni nam to zakończenie i niekoniecznie będzie ono jednoznaczne.

Krzysztof Beśka, decydując się na umieszczenie akcji swojej książki w Warszawie na kilka miesięcy przed powstaniem, nieco zaryzykował i przez to jednocześnie uczynił swoją opowieść bardziej intrygującą. Odważył się bowiem bohaterów usytuować w tej części polskiej historii, która wzbudza bardzo różne emocje, gdzie łatwo jest kogoś urazić. Chociaż zastosował jedno istotne „zabezpieczenie” – nie utożsamia przedstawicieli ruchu oporu z konkretnymi organizacjami.

Autor *Krypty Hindenburga* (który z powodzeniem uprawia inne gatunki literackie) w swoich powieściach sensacyjno-kryminalnych z pełną świadomością unika nadmiernego psychologizowania, chociaż wykazuje się wystarczającą pisarską intuicją, by swoich bohaterów obdarować konkretną osobowością nie przy pomocy opisów, ale poprzez odrębność ich wypowiedzi. Nie unika kolokwializmów, a nawet dosadnych określeń, które bywają tu wręcz niezbędne.

Zwraca uwagę dobry słuch prozatorski wraz z umiejętnością lapidarnego oddania atmosfery konkretnych miejsc i sytuacji. Mimo to chyba najistotniejsze jest w sensacyjno-kryminalnych powieściach Beśki tworzenie napięcia poprzez podrzucanie czytelnikowi pozornie nieistotnych drobiazgów, które nierzadko na końcu okazują się ważnymi elementami zagadki.

Powieść *Spowiedź w fotoplastikonie* powinna znaleźć istotne miejsce na półkach miłośników gatunku. Natomiast świadomie używając kilkakrotnie określenia „sensacyjno-kryminalna”, stawiałbym na ten drugi człon, czyli zagadkę, bo tego nigdy za wiele.

Mirosław Słapik

Piotr Müldner-Nieckowski

Schody do piekła, droga do nieba

(blues)

Pierwsze trzy stopnie są jeszcze niskie
A potem schody stają się wyższe
Nóżki masz krótkie, rączki masz słabe
Ale na schodach lubisz zabawę

Schody do piekła, droga do nieba
Schody prowadzą nie tam gdzie trzeba
Droga do piekła, schody do nieba
Chciałbyś się cieszyć, chciałbyś się nie bać

Stacza się kamień, po stopniach stuka
Ciebie małego ciężarem szuka
Ty rozbawiony robisz uniki
Żeby losowi pomieszać szyki

Schody do piekła, droga do nieba
Schody prowadzą nie tam gdzie trzeba
Droga do piekła, schody do nieba
Chciałbyś się cieszyć, chciałbyś się nie bać

Szyf na górę ciężary wtacza
Nie wie że nie ma mocy siłacza
Gdy klęska spada na twoje barki
Podnosisz kamień, diabeł się martwi

Schody do piekła, droga do nieba
Schody prowadzą nie tam gdzie trzeba
Droga do piekła, schody do nieba
Chciałbyś się cieszyć, chciałbyś się nie bać

Schody do nieba, schody do piekła
Toczy się twoja wojna przewlekła
Unikać schodów – to nie wystarczy
By nie być celem, nie być na tarczy

Schody do piekła, droga do nieba
Schody prowadzą nie tam gdzie trzeba
Droga do piekła, schody do nieba

Droga prowadzi

A potem skręca
Albo do nieba
Albo do piekła...

(i śpiewaj tak dalej, śpiewaj...)

Janusz Andrzejczak

Z Wilna i Lwowa

Wiele bym dała, by wyprostować tę spiralną galaktykę – powiedziała profesor astronomii.

A ja, chętnie podjąłbym się wyprostowania warstwic krzyku na obrazie Muncha – odpowiedział na to wykładowca Sztuk Pięknych.

I ja, jako matematyk, też coś bym wyprostował: linię prostą, bo wykrzywiła się okrutnie od wojen, zwłaszcza tej, która przed zaledwie chwilą – odrzekł ten, który zapatrzonej w szczelinę drewnianego wagonu od kilku już złych lat, przestał liczyć na cokolwiek i kogokolwiek, prócz bożej sprawiedliwości.

I ja bym coś wyprostował w swojej dziedzinie. Koło historii – powiedział historyk.

Ja, na powrót uporządkowałabym Systema Naturae Linneusza, bo cała jego systematyka legła pokotem, gdy ptaki przestały śpiewać, a kwiaty cieszyć ludzkie oczy – westchnęła doktor biologii.

W chemii – westchnął chemik – było jeszcze gorzej. Przemielono ze sobą wszystkie ziemskie pierwiastki w niemalże wszystkich możliwych proporcjach, by skuteczniej niszczyć człowieka i przyrodę. Utworzono nowy, którego nie przewidział ani Mendelejew, ani jego potomni: pierwiastek piekielny.

Dołączę się paradoksem: wyprostowałbym krzywą nieprostowalną. Żeby stało się coś, żeby ludzkość nabrała pokory – dodał fizyk.

W pociągach towarowych relacji Wilno i Lwów – Dokądśtam, szukało swego miejsca wielu uczonych, najprzeróżniejszych dziedzin.

Losy każdego z nich były poskręcane konwulsjami rodzinnych, naukowych, narodowych tragedii.

Nie było wśród nich takiego, który nie miał czegoś do prostowania.

Tużając się w bydlęcych wagonach, przystawali na leśnych, polnych, wiejskich i miejskich przystankach, zatrzymując się dopiero w Toruniu, który nigdy w historii nie posiadał swojej szkoły wyższej.

Uniwersytet Mikołaja Kopernika budowali od podstaw, z niczego. Wypełniali sobą każdą szczelinę w pradawnych murach, spajali swoją wyjątkowością każdy fragment sypiącego się ze starości muru,

nadawali mocy pogubionemu Słońcu, które kiedyś wstrzymał dla ludzi Kopernik.

A jednak pomimo zasług dla tego miasta, regionu, całej Ojczyzny i poza nią, siadali w ostatnich ławkach toruńskich, staromiejskich, gotyckich kościołów...

Z Wilna i Lwowa

Historia
w towarowym pociągu
toczyła się kołami
przed dżumą i nędzą
uciekali polscy królowie
Norwid i Camus

Zima po zimie
choć wiosna lato
Stefan Batory
Jan Kazimierz
z Newtonem Katon

Dal za dalą
w siną niebieską
jeszcze mokry pędzel
przy oku teleskop

Szyny chybotne
wagony stękne
rozklekotana astronomia
biologia
filologia filozofia
Sztuki Piękne

Herodot Horacy
fizyka historia
jechali z nadzieją
non omnis moriar

Pomieszały się dziedziny
w jednej doli
szyny szyny
ze stacji Hades
do stacji Olimp

Pomieszane kwanty
sylogizmy silnia
telepał w nieznane
towarowy ze Lwowa
towarowy z Wilna

Nagle stal szyn
skończyła się twarda
koniec podróży
koniec toru
wysypała się awangarda
w kopernikowy Toruń

A w nim jeden na drzewach listek
i książki rozsypane
i jedynym niebem
co człowieka woła
sklepienie gwiazdziste
w gotyckich kościołach

Cegły cegły cegły same
od dołu zaczęli
zbudowali fundament

Na górze skończyli
rozpięli
firmament

Hutnikiewicz

Lubiłem siadać w tylnej nawie
przy ołtarzykach świętych dziewic
tuż za mną na ostatnim miejscu
siedział skupiony Hutnikiewicz

Nie reagował na komendy
na módl się powstań czy zaśpiewaj
niechcący choćby musnąć wzrokiem
uświęconego męką drzewa

Być może nieustannie klęczał
a siedział tylko tak na niby
raz się poruszył zrobił miejsce
gdy ktoś do niego skądś tam przybył

Jesień przez kościół przeniknęła
na ławkę opadł żółty listek
i aż w organów sto piszczałek
sklepienie wdarło się gwiazdziste

Siebie gotyku i łaciny
zbierałem w całość wszystkie części
aby zasłużyć by się przysiąść
ja Hutnikiewicz i Żeromski

Janusz Andrzejczak

Baśka eR.

List do pozostałych

(ściągą z Edwarda Stachury)

już nie wzbudysz we mnie
poczucia winy
gniew zamieniam
w pozytywny bunt
wasze szantaże i manipulacje
nie mają już mocy
nie było was
kiedy popełniałam samobójstwa
nie było
kiedy byłam gwałcona
kiedy dragami
rozwalalam trzewia
kiedy byłam katowana
przez milicję
nigdzie was nie było
a jak zaczynałam się bronić
uznawaliście mnie
za szaloną i zamykano mnie
w szpitalu psychiatrycznym
to ty mamó mnie biłaś
sądząc że to dla mego dobra
to ty tato alkoholiku
wyłączałeś prąd
bym w ciemności się bała
swego cienia
to ty bracie mnie olewałeś
nie było cię dwadzieścia lat i przetrwałam
i nadal krwawo płaczę
dlatego umieram
nareszcie umieram

6.07.2017

Jerzy Binkowski

... a SŁOWO ciałem się stało ...

Szumi szum ściszony
z czasu przestrzeń wyłoni
a światło wstęgą jasną
olśni ciemność zbyt ciasną

Dyszy cisza w kamieniu
szemrze woda w strumieniu
otocz wodo me ciało
obmyj żarem mą wiarą
ciemność każdego poranka

Panie Twoje niech SŁOWO
da początek na nowo
dopatrz ziemię i lasy
olśnij przez wszystkie czasy
ciemność każdego poranka

Jesteś na swoją chwałę
będiesz na moją ranę
będąc w cieniu ciemności
JESTEŚ w zaraniu jasności
każdego poranka

Bukiet poświęcony

Matko Boska Zielna
Przyjmij – proszę – bukiet z moich słów

Aster w aster – wyprostowani polscy żołnierze pod Radzyminem
Białe i czerwone malwy sięgają im do wypełnionych bólem piersi

Młode pędy czarnego bzu jeszcze w białych okiściach
[w bagiennej oprawie

Anielski pył kwiatowy leciutko na palcach brnie ponad oparami lęku
[i nienawiści]

Przychodzą dzisiaj do świątyni w leczniczym zapachu ziół na
[śmiertelne rany
Przynoszą nieśmiertelniki zawinięte w pamięć ciągle krwawiących
[bandaży]

Pochylają się kłosa pszenżyta i owsa jęczmienia i gryki łubinu i grochu
Na kolana padają zielone papierówki jak i z grubą skórą dzikie gruszki

Jerzy Binkowski

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Chłopcy walą w jajo

wielkie jajo świata.
 Pustynny blues sączy się jak
 piasek z bani w banię
 wsiąka jak
 w piasek
 krew, która niczego nie użyźni
 robi złą krew.
 Tamuje ją ciemnoniebieski zawój melodii.
 Kobiety na jednej strunie
 zawodzą
 po całym świecie.
 A chłopcy walą w bębny.
 Co się z jaja wysypie
 to nasze.

Wywóz

(z miasta M.)

*nie ma już śmieci w tym pokoju,
 po tamtych lokatorach
 wszystko uprzątnięte (z e-maila AS)*

Ziemia jałowa dla poetów śledczych.

Grzebią w popiołach
 Zgarbieni
 Gubią oko
 za kawałkiem kostki,
 za czarną łuską kartek-aksamitek.

Za spękany ziemniak
 już wystygły

zaprzedali duszę.

Nie ma już śmierci w tym pokoju,
wszystkie uprzątnięte.

Oczyszczalnia

(wiadomości gospodarcze)

Zjadamy ryby
karmione waszymi córkami
żółta rzeka toczy wody
walec wód
przetacza się
przez ciała
ściera piaskiem psi smalec.

Na cienki filc rozwałkowane
używają świat rozwalony.

Na nim wyrosną
stoczyki staników
chryzantemy sukien.
Z mułu słów
jeans motyli
wachlarze z ortalionu
na wacie
fraki i pierogi dyplomatów.

Pikują jaskółki
wodę
ściegiem na krzyż
na krzyż.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Anita Janowska-Gużkowska

Wierszyki pisane dla Jurka

Początek znajomości

(1963)

W piąty mnie trawa majowa łechce
w serce nadzieja jak mrówka drobna
że Ty mnie kiedyś pokochać zechcesz
bo przecież jestem miła i dobra.

Jesienna sesja na UW

(1963)

Jest mi jakoś bardzo źle
jest mi bardzo smutno
nie zobaczę cię już dziś
nie zobaczę jutro

Za oknem noc
szkielety drzew
I nagle mnie
ogarnia gniew.
Że ponura niedziela
i że Ciebie tu nie ma
a ja muszę do sesji
znać równanie regresji
I diabelnie się biedzić
aby się dowiedzieć:
że stopień generalizacji
konkretyzacja abstrakcji
Oskar Lange etcetera
No i bierze cholera!

Chciałoby się, jak w przepaść
skoczyć w pociąg i jechać
odnaleźć Twoje ramiona
w nich jako nieślubna żona
przepaść...

Liryk szlemowy

(1964)

Kochanie moje kochanie
spójrz jakie śmiałe zagranie!
Wylicytowałam szlema
(szkoda, że Ciebie tu nie ma).
Waleta mam kierowego
prócz tego wokoło niego
łasi się jak stado kotek
dwanaście malutkich blotek.
Cóż stąd, że znam reguły gry,
gdy walet tak śliczny jak Ty
I wiem że więcej jest wart
niż reszta cała wielkich kart.
Partner, co zwał mnie „ślicznotką”
teraz mnie nazwał „idiotką”
straszego narobił wrzasku
że wpadliśmy bez trzynastu.
Krzyczał w szalonej wściekłości
że porachuje mi kości
darł się: „grasz jak ostatni kiep
jak noga stołowa jak trep!”
Kochanie moje, Kochanie
wszystkiemu winne rozstanie
Ciągle o Tobie myślałam
i całkiem z tego zgłupiałam.

Stacja w Prężycach

(1964 – rozstanie z Jurkiem na dziesięć lat)

Siedziałam na stacji w jesienny dzień
samo południe i cisza
I wtedy z oddali pociągu cień
zbliżył się i zazgrzytał.
Zadmuchał, zaświstał, zahuczał, znikł
I pustka wielka nastała
Nie było nikogo
nie odszedł nikt
i stacja była ta sama.

Noc

(1964)

Noc śpiewa jak Renata Tebaldi
świerszcze grają, jak sam Vivaldi
a z tomu wierszy Gałczyńskiego
wbiegły na wiejską ulicę
rude pijane księżycy
i gonią jeden drugiego
jak zakochane koty.

O Boże, zbaw od tęsknoty
od słów najgłupszych
wspomnień najczulszych
O Boże, zbaw mnie od piekła.
Znów napiszę niepotrzebny list,
bo serce rozstrojone, jak fortepian,
na którym grywał pan Liszt.
(Liszt lubił grywać na rozstrojonych fortepianach)

Tęsknota

(1964)

Moja tęsknota po świecie fruwa
ziewa, płacze i czuwa.
A chciałaby przycupnąć
i choć na chwilę
gdzieś na krzeselku
w fotelu
albo jeszcze milej –
w łóżku usnąć.
Ale moja tęsknota
ma ogromne rozmiary
i w żadnym łóżku
nie zmieszczę jej całej.

Wiara

(po otrzymaniu Twego listu)

(1964)

Palę papierosy
wrywam siwe włosy
i jeszcze w pewnej mierze
w prawdziwą miłość wierzę.

Powrót

(1974)

To było jasne, jak słońce na niebie
że jeszcze kiedyś wrócimy do siebie.
Myślałam tylko że będziemy starzy
i że już swoich nie poznamy twarzy.

Że w domu starców na jakimś spacerze
może przy bridżu, może przy pokerze
odkryjesz karty powiesz niespodzianie
„Ja kocham panią, na nic udawanie”.

Ja zaś nie wiedząc, nie poznając ciebie
naszej miłości szanując wspomnienie
powiem ze smutkiem „O panie, nic z tego
muszę być wierną, ja kocham innego”.

Zapytasz wtedy o imię rywala
i czemu ze mną być się tu nie stara.
Ja wtedy szepnę cicho Twoje imię
Ty zaś zamilkniesz niczym w starym kinie.

Takie być miało to nasze spotkanie
Dalej – myślałam – nic już się nie stanie.
A tu tymczasem Pan Bóg zrządzić raczył
Że to wypadło zupełnie inaczej.

Piosenka dla nas

(1975 – po naszym ślubie)

I nagle nie można już pisać wierszy
bo śmiesz
Ani też szukać nieba
którego nie ma
Więc tylko:
Fartuszek nałożyć
okno otworzyć
trzepać skurzaczkę
skrobać buraczki
prać białe koszule
uśmiechać się czule
w nocy mówić:
„mój śliczny

kochanku somnambuliczny”
I drapać go za uszami
i usta czesać ustami.

I nagle nie można już czytać książek
bo nudzi
Ani też szukać szczęścia
dla wszystkich ludzi.
Więc tylko:
Fartuszek nałożyć
okno otworzyć
trzepać skurzaczki
skrobać buraczki
prać białe koszule
uśmiechać się czule
w nocy mówić...
itd.

Anita Janowska-Gużkowska

Andrzej Tadeusz Kijowski

Chorał dla TV Trwam

I

Za stu poległych – setny tysiąc,
Broni dziś Telewizji Trwam.
Kłamcy! W twarz rzuca celebrytom
I „główny nurt” – wytycza sam.

W pochodzie starcy, młodzież, dzieci.
Wyzuci z pracy i blogerzy.
Polska rozsiana znów po świecie,
Choć Świat w nią głębiej od niej wierzy.

Ona bez rządu. Puste gmachy.
Tamten w Brukseli, ten na Krymie.
Prezydent gra w jałtańskie szachy.
Premier belgijskie piwo pije.

Już nie ma Polski. W telefonach,
W stoczniach ani w zniemczonej miedzi.
Historia ze szkół wypędzona.
I pisarz też... przekłady śledzi.

Ma Niemiec ß-sztrafy i ü-umlauty.
À-akcent graw Francuz i ç-sedi.
To tylko polski nie był warty
Klawiatur z narodowym ś...i!?

Kto żyw ten znów za morza pierzcha.
Zostają starcy i niemoty.
Tu czerń tubylcza tylko mieszka
W uprząż kredytów skuta złotych.

Rozpierzchły Polki się po świecie:
Matki, dziewczęta i kochanki.

Nie chcą pozować już poecie.
Kolejnej nie przeżyją – branki.

II

Łączniczka do Caracas umknie.
Odda w niewolę tylko ciało.
Angielski mało co rozumie,
Lecz w CNN o Polsce mało.

Siostra przy chorych w Winnipegu
Ma kanadyjski spokój, dom.
Na skrzydłach tęsknot, wraca w biegu
Do kraju tego skąd grzmi grom.

Panna porzuci swe Podlasie.
Skusi ją Niemiec, znęka szef.
Tu niech szaleją grypy ptasie,
Podsłuch i donos budzą gniew.

Dama się skryje w Barcelonie.
Pójdzie na służbę Satelity.
Wśród oburzonych na Salonie.
Spisując Księgę Łże Elity.

Muza nie zaczaruje świata.
U książąt służy dziś w Paryżu,
A gdy tęsknota ją oplata,
Chińczyków wesprze – garstką ryżu.

Uczona w Andach z doktoratem.
W Alpach się kryje dyplomatka.
Wszystkie rozwódki, każda z gachem.
Era Wodnika – to pułapka.

III

Spoglądam wstecz i widzę Rzymu
Rozwiążłość i etruskie uczty.
I wiem, że miejsce kobiet w domu.
Dla gwałcicieli pogrzeb huczny!

Romantyk w naród wierzył, w język.
Wyborcze dał kobiecie prawa.
Równość ogłosił, nawet więzy
Ludzkie od boskich wyżej stawiał.

Narody giną bez języka,
A tworzy je literatura.
Bez matek zaś ojczyzna znika
I tu poeta nic nie wskóra.

Ojczyzna moja to granice.
Kraj mego pola, mojej mowy.
Obrządek mój, oblubienice.
Zwyczaj rodzinny, ryt – domowy.

Mój rym! Moja ojczysta stopa
Stąpa wytrwale w tym pochodzie.
A z nami, widzi to Europa,
Maryja matka – w szczerym złocie.

Królowo Polski! Panno Święta!
Zawróć je z marnotrawnej drogi.
Obmyj je, Wisło, nie pamiętaj,
Że cudze wycierały progi.

Era Wodnika. Świat bez wojen.
I koniec męskiej dominacji.
A myśmy nałożyli zbroję.
Trwamy! W obronie polskich racji.

Andrzej Tadeusz Kijowski

Eugeniusz Kasjanowicz

Moje miejsce

Krzysztofowi Tchórzewskiemu

Jestem w tobie miasto
a we mnie jest rzeka
płyną słowa czułe
bo ktoś na nie czeka

kiedy los mnie rzucał
w różne strony świata
to we mnie ptak tęsknoty
rwał się i kołatał

do pałacu wracam pamięcią
do łąk biegnę myślami
każdą kroplę mej rzeki
w słowo serdeczne zamień

do księżnej piszę listy
ptaki ze snu zbudzone
płyną moje myśli
w miasta serdeczną stronę

do ratusza wracam pamięcią
do świętego Stanisława myślami
każdy kamień me Siedlce
w słowo serdeczne zamień

do synów piszę listy
słowa ciepłe promienie
noszę w sercu miasto
jak matki czułe spojrzenie

do Ciebie Ojczy Świąty
szedłem poprzez błonia
miasto witało Pasterza
Ty brałeś je w ramiona

do obrazu El Greco
 myślami często uciekam
 „Ekstaza świętego Franciszka”
 budzi we mnie człowieka

do Siedlec zawsze wracam
 z bijącym mocno sercem
 bo tutaj moja miłość
 i tutaj moje miejsce

English version

My place

to Krzysztof Tchórzewski

I am in you town
 and inside me is a river
 tender words are flowing
 as someone awaits them

when my fate tossed me
 to various parts of the world
 a bird of homesickness inside me
 would struggle and flutter

I look back to the palace
 turn my thoughts to the meadows
 please turn each drop of my river
 into a cordial word

I write letters to the duchess
 and my thoughts are flowing
 towards the welcoming town
 like birds roused from sleep

my memories reach back to the town hall
 to St. Stanislaus Church
 oh my Siedlce turn each stone
 into a cordial word

I write letters to my sons
warm beams of words
I carry the town in my heart
Like mother's tender look

I'm coming to you Holy Father
through the village greens
where you held the town in your arms
as it was greeting its Shepherd

my thoughts often go out to
El Greco's painting
"The Ecstasy of Saint Francis"
awakens the human inside me

I always come back to Siedlce
with my heart beating rapidly
because all my love is there
as is my place for ever

Translated by Zbigniew Lisowski

Adam Lizakowski

Wiersze*

Ojcu

Najpierw osadzono go w wojsku
później na Ziemiach Odzyskanych
jak ziemniaka w przeoranej
przez wojnę ziemi wymieszanej z popiołem
nastała pora do zapuszczania włosów zarostu
korzeni – początek maja –
powoli wrastał w kamienistą górską ziemię
spuszczono kurtykę z żelaza

Z kolegami z wojska spadł prosto z nieba na
Sudety jak deszcz meteorytów
wielkich fal z tego powodu nie było
wszystko zostało wygładzone
ręką żołnierską jak obrus na stole

Zostali na łodzi w maju Od powrotu do
domu odgradzały go pola lasy płoty
rowy łąki rzeki Odra Warta Wisła
Dunajec Bug – granice stworzone przez
żywioty śpiące na Kremlu w Londynie
Waszyngtonie

* Z tomu pt. *Jak zdobyto Dziki Zachód*, który ma się ukazać pod koniec 2017 roku w Poznaniu w wydawnictwie WBPiCAK.

Tom dedykuję mojemu ojcu, Edwardowi Lizakowskiemu (1911-1980), żołnierzowi 1 Dywizji Piechoty im. gen. Tadeusza Kościuszki, który po zdobyciu Berlina nie powrócił w rodzinne strony na wschód Polski, ale został osadnikiem wojskowym we wsi Glinno w gminie Walim w powiecie wałbrzyskim. Edward przeszedł cały szlak bojowy od bitwy pod Lenino do Berlina. Wyróżniał się walecznością i odwagą, za co otrzymał ponad tuzin medali i odznaczeń wojskowych polskich i radzieckich, m.in. medal za Odrę, Nysę, Bałtyk, medal za udział w walkach o Berlin, Odznakę Grunwaldzką, medal za Warszawę 1939-1945, Medal Zwycięstwa i Wolności oraz order Virtuti Militari etc.

Na Wschód nie było po co wracać
 Wschód był w warstwie językowej
 pieszczotach emocjach poklepywaniu się

Wojna z czasem zmaląła burza stała się
 sentymentalnym wspomnieniem „dobrych czasów” –
 umarli i zabici stali się partnerami żywych
 Ilu Niemcy zabili krewnych znajomych?
 Ilu zabito Niemców. Wspominano
 wyzwolenie – Niemcy byli wystraszeni
 potulni zdyscyplinowani szybko pochowali
 portrety Hitlera zapomnieli smak chleba
 Goebbelsowskiej propagandy
 uprzejmi łasili się do nóg
 jak polne kamienie ze strachu się kłaniali
 byli uniżeni ale z łbem na karku
 na co drugim domu wisiała kartka
 z napisem „tyfus” chociaż tyfusu nie było
 po to żeby Polak nie wszedł nie zajął mieszkania
 niejeden z nich dostał kulę w łeb bo
 bronili kobiet krowy kozy konia
 rzucającego łbem to na lewo to na prawo
 próbując pozbawić zwycięzców łupów

Z dnia na dzień było coraz mniej pustych miejsc
 coraz mniej pustki w życiu łóżku przy stole
 skończyło się puste gadanie o tym co było
 a nie jest – przestali przelewać
 z pustego w próżne –
 letnie deszcze zmyły akcent kresowy
 opadało rozżalenie i wojenny pył z oficerów
 chwyтали życie na gorąco rozżarzony
 Wschód stawał się bryłą lodu

Ojciec nie był Sewerynem Baryką
 jego życie było inne niż ojca Goriot nie
 przypominał też Bogumiła Niechcica
 nie znał się na pracy w polu i na oszczędzaniu

niczego nie składał ani ziarnka do ziarnka
i niczego nie wybudował
na piasku skale lodzie
żył śpiewając od wypłaty do wypłaty

Krótką historia Kalifornii*

Najpierw po lodowcu na nogach przybyli Indianie
z łukiem i kamiennym toporkiem w poszukiwaniu jedzenia
w pogoni za jeleniem nazywając góry jeziora drzewa
chmury zwierzęta swoimi braćmi modlili się
do słońca i księżyca bizona

Następnie statkami z żaglami malowanymi w krzyże
w imieniu króla kochającego złoto i Boga
przyłynęli katolicy – Hiszpanie w pięknych lśniących zbrojach
z mieczem w ręce różańcem na szyi biblią w kuferku
chciwością w sercu miejsca swych postojów nazwali
imionami świętych zakładając osady i miasta

Po nich ze wschodu konno i na wozach przybyli protestanci
z Niemiec i Anglii w poszukiwaniu lepszego życia i złota
z pistoletami na biodrach strzelbami na ramieniu
nazwiskami swoich bohaterów nazwali ulice
wymordowali Indian nie wymordowanych przez Hiszpanów
i potomków Hiszpanów

Kalifornię przyłączyli do Unii Stanów cesarstwa kapitalistycznego
sprowadzono Chińczyków Japończyków Filipińczyków
do sprzątania prania i gotowania
Meksykanie zajęli się rolnictwem czarnych niewolników awansowano
na pomoc domową biali zajęli się handlem winogronami
założyli banki wybudowali szpitale uniwersytety kościoły fortuny

Zanim ja postawiłem nogę w San Francisco wszystko było już

*W czerwcu 1982 przybyłem do Kalifornii, do 1991 mieszkalem w San Francisco.

uporządkowane ułożone zaplanowane Indianie zabici
 Hiszpanie przepędzeni złoto wydobyte pola winogron podzielone
 banki kamerami strzeżone
 Chińczyków Japończyków Filipińczyków Murzynów skazano
 na getta Niemcy i Anglicy zostali Amerykanami

Marzenia jak drogocenne perły spoczywały bezpiecznie na dnie
 w ogniotrwałych kasach pancernych do których zapomniano
 tajemnicze szyfry pozostała najgorzej płatna praca
 ale nią gardziłem oraz tanie wino które niewybrednym smakuje

San Francisco 1987

Jerzy Marciniak

Mrok

Till Laura Ragnheidur Marciniak och Baloo i Stockholm

Czerń
Choć to jeszcze popołudnie
Stoję na scenie
 W mroku
Na widowni w dole
Kilka osób
Odgrywają chwilami widzów role

Lauro przyjdź
Czekam
Mrok gęstnieje
Obok kurz tańczy piruety
A królik Siri wymiata z biur
Nieskasowane stare bilety

Wyszli widzowie
Odeszła sztuka
Zsunął się pająk z pajęczyny
A stary Stańczyk
Po omacku drogi na scenę szuka

Lauro przyjdź
Zatańcz zaśpiewaj
Może jeszcze nie wszystko skończone
Patrz
Zwidy i przewidy nadchodzą
Stańczyka postacią
 przywiedzione

Lauro
Królik Baloo wyszedł z kapelusza
I siedzi w pierwszym rzędzie

Graj dla niego
Niech pusta widownia przeżywa bije brawa
I się wzrusza

Bądź na scenie
I tańcz
Aż przyjdzie Venus i Afrodyta

Patrz
Kurtyna idzie w górę
Ze zgrzytem zgrzyta

Graj swoją rolę
Stańczyk otarł z łez twarz
I będzie za suflera
Odeszła

Jedna epoka może nadejdzie nowa era

Mów
Aż teatr z kolan wstanie
I ożyje

Może odezwą się i brawa
Dla ciebie
Dla nikogo
I niczyje

Laura na scenie

Stańczyk otarł załzawione oczy
Tańcz tańcz
Aż to co złe w sztuce
Zginie
Pęknie
Aż spełni się mój sen proroczy

Laura tańczy
Pięknie

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Podobał mi się dlatego

(piosenka Anity)

Podobał mi się dlatego mnie zaprowadził a tam tyle
wspaniałych rzeczy kwiatów pieśni balonów złota
o niczym podobnym wcześniej nie słyszałam nie wiedziałam
że można być naczynkiem słodki kremową pierzynką
słodką cytrynką do odsysania pustą butlą do napełniania
belą bawełny powiazaną sznurami którą można
rzucać na którą można się wdrapać i robić z nią to wszystko
aż kości trzeszczą jak gałęzie a z chmury spada słony deszcz atłasów
a w drugim pokoju jeszcze dwie kobiety i jeszcze nic nie wiedzą
jeszcze ich krew nie pokazała się na twarzy
ode mnie już się nie dowiedzą że mnie też się podobał
nikt się niczego
nie dowie z wyjątkiem tego
że zniknęłam
i że nieba już nie ma

Alicja Patey-Grabowska

Jest taki blask

Jest taki blask
oślepiający blask
w chwili narodzin
i śmierci
w chwili olśnienia

Kiedy zasypia rozum
a budzi się serce
Blask – moc
czerwona stal
światlista kula na tęczy życia

KTÓRE NAM DANE JEST

Julia

Ona miłość do grobu
uniosła jak skrzydła
nadała kształt piękna
niezniszczalny trwały

Ona młodość do grobu
uniosła jak skrzydła
unieśmiertelniła śmierć
podeptała starość

Jej gładka twarz Oczy
jak brzemienne kwiaty
w owoc który tylko
w domysłach dojrzewa
Poprzez deszcz Przez
słońce
tak zawsze niezmienna
jak wyzwanie rzucone
umarłym za życia

Krystyna Rodowska

Sobie na urodziny

Osiemdziesiąt lat przeszło? Czas
 już nie biegnie, lecz pędzi, podczas gdy ja
 posuwam się do przodu coraz wolniej,
 z kolanami, które coraz bardziej sztywnieją,
 z wiedzą bez odrobiny zrozumienia
 faktu, że meta jest tylko jedna, że ja,
 urodzona z każdym rokiem głębiej w dawno temu –
 rozbłysł istnienia we wszechświecie,
 odnotowany niczym narodziny nowej gwiazdy –
 jestem w drodze do zostania ciałem
 spisany na straty ofiary
 („ty, ofiario losu!”), inaczej –
 przedmiotem, wreszcie prochem w ciasnej urnie.
 Zewsząd daty: ukończenia budowy
 drugiej linii metra, może wejścia
 do strefy euro, wydania nowego przekładu Prousta,
 i tak dalej, w pościgu, aż po horyzont...
 Bo *ja*, niewątpliwa i wąpiąca
 we wszystko co wkładamy w słowo „przyszłość”,
 rozpoczynam właśnie nowy dzień
 w uprząży dat i planów, z głową w chmurach
 zanoszących się na deszcz, nie na płacz.

31.05 – 1.06.2017

Zarządzenie

MA BYĆ BÓL! – ogłosił ten na straży
 zarządzanej masakry starodrzewu

wgniatając twarzą do ziemi
 obrońcę padających bez głosu

19.09.2017

Porządki

porządek zapisu walczy
z nieporządkiem rwetesem na zewnątrz
i w tobie

o lepszą perspektywę na przyszłość

a może tylko o staranniejsze
przemycie szyby?
o nieostry widok na mgliste przedwczoraj?

25.05.2017

Wyczyn

zadanie niemożliwe dla pamięci:
zapach bzu mocny jak napój miłosny
zaszczepić bezlistnym porankom w śniegu

taki wyczyn złagodziłby obyczaje
nawet osiedlowych meneli

26.05.2017

Krzysztof Saturnin Schreyer

Taniec

Tak zgodne są w tym tańcu ciała!
Ale ...czy myśli, czy pragnienia?
Ma wyobraźnia oszalała,
sekretnie tworzy uniesienia.
Ona wesoła, roztargniona?
W moich ramionach się wygina,
grająca? Także odurzona?
Na chwilę o Nim zapomina?
Więc które gesty, znaki, które
są ważne? Ciepły dotyk rąk?
Dlaczego oczy patrzą w górę?
Wtem bije tęczę jasny wzrok
i uśmiech... czy niepełny?
I już jest bioder nagły zwrot,
i ruch i krok oddzielny,
bo myśli me pojmuje w lot
i grozi palcem mi... lecz znów
wkłada swą dłoń w mą rękę...
Ja piję duszkiem, wciąż bez słów,
pragnienia słodką mękę.
Jej wargi chłodne, bez obietnic,
ale gorąca mowa ciała.
Ma głowa rytmem ciężkim tętni,
szaloną wizją oszalała
i topię wizję w dwojgu oczu
i przyzwolenia widzę błyski,
to mnie upija, mami, mroczy,
w marzeniach szal, tak bliski, bliski!
Lecz usta lekko zaciśnięte
bez słów wskazują wielkie dale,
które nas dzielą, jak zakłète,
i będą trzeźwo dzielić stale.
Jedyny, szybki pocałunek –
jak wina marzeń łyk ostatni,
zwiewny na drogę podarunek.
A potem? Żegnaj, czas do szatni.

21 XI – 23 XI 2016

Jerzy Śleszyński

Pleśń

Staruszka zmarła
nie wysypuje zbyt twardych skórek
resztek chleba z zielonym nalotem

na tym samym skrawku trawnika
gołębie wytupują kręte ścieżki
zgłodniałe i zdziwione

to są gołębie nowej generacji
uodpornione na toksyczną pleśń
ludzki egoizm i głupotę

Spółeczna lepidopterologia

Przerażająca przejrzystość charakterów
chwilami czuję się jak Musil
który opisywał przymiotnikami ukryte pragnienia
przydawki wystarczały mu do portretu hipokryzji

już miałbym ochotę wziąć do ręki szpilkę preparatora
ale wysiłek jest daremny
bo cepem można przegnać moje metafory
a oddział policji rozproszy moje wątpliwości

każda ćma polatuje szybko do upragnionego światła
to znaczy do ulicznej lampy
albo do harcerskiego ogniska
albo do rozpalonego do niebieskości ekranu telewizora

Wakacje

Ludzie planują wakacje
do Turcji – już nie
bo za dużo aresztowań
do Egiptu – też nie
bo strzelają na plaży
zostać w kraju straszno

świat kurczy się
jak gnijące jabłko
dostęp do siedmiu cudów
tylko w sieci fałszywych reklam
na dźwięk dzwonka u drzwi
zakładaj antyterrorystyczny hełm

Kazimierz Świegocki

Pieśń do Słońca nad Morzem Martwym

Ptak, o Słońce, zaczęty za ledwie w skorupie,
czuje twą chwałę w śpiewie jeszcze nienazwanym,
ręce ślepców błogosławią twoje wzejście.

To jest morze, pustynia za chwilę tu wstanie.
Modłę się, lecz nim modły dobiegną do granic,
moje dłonie wzniesione zamienią się w kamień.

A woda w ślad za nimi przyjmie kształt kryształu,
by wszystko, co w niej płynie, wnet się zatrzymało
i trwało tak przez wieki, gdy ty wschodzisz co dzień
i światłem swoim godzisz, co w ogniu, co w wodzie.

Lecz co jest pogodzone, nie bacząc na ciebie,
ponownie się rozdwaja na niebo i ziemię.
I woda pod horyzont wschodzi wielką falą,
dotyka szczytu nieba, gwiazdą się zapala.
I płonie, i zastyga, znów w lód się obraca.
– Co miało wiecznie istnieć, wiecznie się zatracza.

I widzę, łódź się moja na zachód pochyła,
ciało moje się kończy, jak kończy się chwila
w błysku twojego światła – wzniosła i bezsilna.

Woła mnie księżyc, ważka, drzewo z wód poczęte,
wąż i gwiazda wołają zewsząd po imieniu.
I nie wiem, dokąd pójdę, ni w co się zamienię.

Więc ty, Słońce, mnie zabierz w swoje światło święte,
w którym przestrzeń jest czasem, a czas jest przestrzenią,
gdzie choć świecisz odwiecznie, przecież się nie zmieniasz.
Nie zostawiaj mnie przeto na morzu zwątpienia.

Opowieść jesienna

Gdy zrodzone z wiatru konie piły strumień ścieżki,
grusze dzwoniły w głębi sadu
i rdza podchodziła jak morze obfita
pod konary jabłoni,
wypełniała pnie po brzegi ogniem.

A myśmy kochali jesienne drzewa,
pełne o tej porze doświadczeń i żółci,
słuchaliśmy, jak białe konie
tętniły po gościńcu spóźnionej tęczy.

Sad się unosił i opadał
i choć żaden lęk nie wypełniał szronem kwiatów,
na wzgórzu ogrodu drzewo zapłakało
i całe wsiąknęło w piach.

Więc poszliśmy sadem na wołanie jesieni,
w widzeniu swoim zagubieni tak, że tylko
można było odróżnić słońce od nocy,
ale już nie człowieka od sarny,
gdzie drzewa tkwiły jak topory
wbite w zgęstniałe niebo
i sok błękitny lał się z rękojeści.

Nieobeszła jest ziemia naszego słyszenia.
głos w niej rozlega się coraz przestrzennie,
jak głos żubra,
z którego drzewo wyrasta bukowe.

Więc poszliśmy w las gęstniejących nad nami
rzeczy i ich nieodłącznych cieni,
w widzenie głuche jak eksplozja.

Za nami sad kwiatami patrzył coraz wolniej,
grom się rozległ
i ziemia pić zaczęła deszcz.

Białe konie
 tętniły jeszcze traktem tęczy
 i ptactwo biło skrzydłami
 w kraty horyzontu,
 gdy nagle słońce uniosło nas ze sobą
 do krainy, gdzie rzeczy i cienie
 są tym samym, więc nie ma
 ani rzeczy, ani nie ma cieni;
 wszystko wokół istnieje
 i w nic się nie zmienia.

Każdy tutaj nabiera
 nowego imienia.
 I mówią nam, że słońce
 tu nas żywić będzie.
 I mówią też, że ono
 nigdy nie umiera.

Kazimierz Świegocki

Grzegorz Walczak

Big-bang, czyli Nowe wiersze

zegarek ciszej

minął rok
czy coś się zmieniło
w moim bucie
w moim mieście
w rzece z kranu
do której po raz drugi nie wstąpisz
może tylko w przymulonym spojrzeniu
czai się większa niepewność
paznokcie bardziej łamliwe
zegarek ciszej
kobieta tak samo coś sobie
jak przed rokiem
jak wczoraj
może litery tego wiersza
jakby mniej wyraźne
ugrzęzły w niegdysiejszej bieli

big-bang

szukali jakiejś czarnej skrzynki
przez całe tysiąclecia
niebiescy saperzy
wydobyli ją z prastarych ilów XXI wieku
nieśli ją powoli i bardzo ostrożnie
w środku coś tykało

szef zmęczony wiecznością
ciągłymi wybuchami
i wiatrami antymaterii
pozamykał wszystkie okna niebieskie
bali się że to co tyka
ekspłoduje
narobi hałasu i smrodu

na całej drodze mlecznej

a tam wyobraźcie sobie moje serce
moje serce... buch, buch, buch...
nie ustawało
zamknięte w pancernej skorupie
ach po co

ach po co
tyle trudu strachu tajemnic nadziei
miłości prób daremnych by przekroczyć
by wyjść na zewnątrz
by poznać
 poznać i tak nic nie można do końca
 bo nie ma końca

pewnego razu niebacznie
niechcący
czy niechcący
szef nastąpił
na czarną skrzynkę
w której ukryte było
moje serce
a że było to serce poety
wszechświat się zatrzęsł
i poruszył z posad
rozpoczął się nowy big-bang
hola hola
ach po co
tyle przesady
lepiej to wyrzucić do kosza

Fasola dnia

Fasolę dnia
łuskam na naszym progu.
Konary drzew ścina wiatr
i niesie je Panu Bogu.

A dobry Pan

wysuszy je dla nas na krzyże,
by było nam
po nich do nieba bliżej.

Meteor spadł
i wokół zaraz trwoga.
Czy inny świat
może innego mieć Boga?

Kamień

Modłę się do tego kamienia,
do jego gładkości,
– Pan jest przecież we wszystkim –
do jego milczenia,
– to też cecha boża –
bezinteresowności,
obojętności
kamiennej
od setek milionów lat.
Kamień trwa jak wieczność,
która jest też okrągła.
Może to on był przyczyną rzeczy.
I chociaż nie zostanie
kamień na kamieniu
i zniknie, o zgrozo!, Słowo – opoka,
on – szlachetny kamień – tkwić będzie
na wieki wieków amen
na wielkim palcu Wszechwiecznego,
który zawiedziony ułomną materią,
pogrąży się w jeszcze głębszej samotności.

Grzegorz Walczak

Janusz Andrzejczak

Wykluczeni

Coraz więcej milczysz, zamykasz się w sobie, jesteś nieobecny, nie ma z tobą żadnego porozumienia. Nie nadajesz się do życia nie tylko w mieście, w ogóle nie nadajesz się do życia! Nie! Nadajesz się, ale tylko do lasu! Nie jest ci potrzebne żadne mieszkanie, żaden dom! Za dach nad głową, wystarczyłyby ci korony drzew! Mógłbyś nie jeść, nie pić, łąziłbyś tylko po lasach, gadałbyś z drzewami, pajęczkami, mrówkami... Nie jestem ci do niczego potrzebna... – wykrzyczała, zaszlochała i ścichła.

Jesteś wariatem, związałam się z wariatem... – szeptała płacząc, niewiedomie patrząc w zaoknie.

Może i jestem wariatem. Prawda, coraz bardziej się męczę, już nie daję rady, chce mi się wyc z bezradności – powiedział najciszej jak mógł, tak, by nie usłyszała.

Pomyślał, że jest mu ona potrzebna, ale na odległość, powiedzmy – trzydziestu kroków od niego, że na taki dystans jest z nią szczęśliwy, że nie ma szczęścia bez niej, bo gdy ona odchodzi choćby o jeden krok poza te trzydzieści, już się o nią martwi, już za nią tęskni.

Zamieniłbym to wygodne mieszkanie na maleńką chatynkę. Starczyłby mi nawet choćby tylko szataś, choćby i zbita z desek latryna z wyciętym serduszkim do oglądania przez nią lasu – zaszumiał w sobie pół lasem, pół człowiekiem.

Oto leśny wawóz, pośrodku zwierzęca ścieżka, wielkie świerki, sosny i to wszystko w pierzastym, zielonym niebie z poduszek mchu zamiast chmur. A on? On, cały dzień płacze się po lesie.

Dobrze wiedział, że to nie takie proste, że to jego wariactwo nie jest aż na tyle wielkie, by zatracić instynkt przetrwania, bo przecież jest przyobleczone w materialną maszynierię, która domaga się stałego zasilania innymi materialnymi organizmami. Doskonale wiedział, że w lesie, jeśli nie je się mięsa, nie ma się szans na przeżycie. Dawno temu, poniosło go raz zimą w dziki las, raz jesienią w niedostępne góry i w obu przypadkach wytrzymał tylko dwa tygodnie. Jadł wówczas byle co, słabł z każdym dniem i na koniec ledwo doczłapał się do ludzi. Tym jednak razem był już tak udręczony ludźmi, że gotów byłby w tych swoich ukochanych lasach nawet i umrzeć z głodu. Nie miał już siły doświadczać sytuacji jak tej z ostatniej niedzieli,

gdy wychodząc z wieczornej mszy znalazł się w samym środku wielkich tłumów ludzkich i nie miał jak z nich uciec. Najbliższy był mu wówczas ten, który siedział na ławce, chwiał się na boki i sam do siebie mówił.

Kochał ciszę, milczenie. Mieszkając w mieście, był mimowolnym świadkiem rozmów. Każdy miał w nich coś drugiemu do powiedzenia, a najczęściej – byle co.

Byliśmy w Paryżu...

A my, w zeszłym roku byliśmy na wakacjach w Hiszpanii. Jeździliśmy konno, podziwialiśmy flamingi...

Kilometr dalej od tej rozmowy były podmokłe łąki. Wracając po zachodzie słońca usłyszał w trzcinowiskach bąka – ptaka z rodziny czapłowatych. Jego głos, to jakby dmuchanie w butelkę; z zaświatów... On, który wielokrotnie go słyszał, nigdy tego ptaka nie widział. Mało zresztą kto miał szczęście go zobaczyć, nawet i przyrodnicy, którzy całymi dniami czatowali na niego bez ruchu.

Czy trzeba Francji, Hiszpanii, Grecji, by doświadczyć czegoś niezwyklego, wyjątkowego?

Prawnicy, nauczyciele, lekarze, artyści, pisarze, uważają siebie za kogoś wyjątkowego, za elitę, a prawie wszyscy są do siebie podobni, wszyscy mają takie same gusty, takie same na wszystko poglądy. Pycha, pycha, pogarda dla wszystkich, którzy czują, myślą, zachowują się inaczej niż oni! Nie mam już siły ich słuchać, nie mam siły doświadczać ich istnienia! Naprawdę, naprawdę, naprawdę, zamieszkałbym choćby i w starej latrynie w lesie, bo nawet ona ma serce.

Przeżyłem w swoim życiu wiele absolutnie niezwykle, wyjątkowych zdarzeń, chyba niosę w sobie o nich równie niezwykle i wyjątkowe opowieści, ale nikt nie jest ich ciekawy, nikt mnie o nic nie pyta. Każdy ma za to coś do opowiedzenia o sobie: a to o flamingach, a to, że właśnie wrócił z protestu i wybiera się na następny, a to, że właśnie kupił kolejny grunt i będzie się budował... Jak, jak od nich uciec?!

Muszę iść. Wybacz.

I poszedł.

Pięknie tu macie! – westchnął do miejscowego.

Może panie i piknie, tylko wykluczeni jeździemy.

Jak to... „wykluczeni”? Z czego?! – zdziwił się ten, który przemierzał cały kraj w poszukiwaniu ludzi i miejsc, których nie zabiły jeszcze wszechobecne domy i domki mieszkańców wielkich, dużych i małych miast, szpalery

tu, biały tłuczeń na ścieżkach posiadłości i wszechobecne kosiarki. Dotarł do tej zagubionej w łąkach i borach wioseczki i już mu się wydawało, że znalazł miejsce, w którym ludzie są jeszcze po prostu szczęśliwi, bo mają wróble ganiające w gąszczach bzu, bo rankiem i pod wieczór świergoła im szpaki, drozdy, kosy, a nawet słowiki, bo w niekoszonych wokół domostw trawach cykają pasikoniki, bo im sarny i jelenie w nocy przychodzą na podwórka, bo drewniane płyty pokryte są srebrnymi mozaikami porostów, a na dachach zielenią się mchy. Do takiego wydawało mu się miejsca wreszcie dotarł.

Ynformatycznie, znaczy się: końpiuterowo jezcieśmy panie wykluczeni, więc nie je tu panie tak, jak pan se myśli.

O, widzisz pan – wskazał ręką – tam, za tym wzgórzem je wiża i na niej pisze, że wykluczeni jezdeśmy. Ale ma się to zminić. Wszyscy na to czekają, bo mamy dwudziesty pirszy wik i trza być nowoczesnym, a nie jak, panie, krowa na łuncie.

Tuż przed nimi zatrzymał się terenowy samochód. Najpierw wysiadła z niego elegancka kobieta, a następnie ubrany w moro od czapki po buty mężczyzna.

Ładnie tu. Macie tu jezioro, lasy i inne nieużytki, ciszę tu macie, szukamy takiego miejsca, by się pobudować. Ile pan za to chce.

Nie czekał co będzie dalej. Minął wieś. W oknach, osadzone na patykach lub przyklejone do szyb, żyły w swoim wymiarze koguciki, czaple, żurawie i bataliony. Te same motywy przyozdabiały okolenia domów tuż pod dachami i wokół okien. Przy każdym gospodarstwie rósł sędziwy, na wpół zdziczały sad z powykrzywianymi jabłoniami, a stare, ze stuletnie grusze, pochylonymi konarami zapraszały do odwiedzin sąsiadów i wędrowców jak on. Choć ludzie mieli wodę w kranach, na każdym podwórzu była studnia, nierzadko jeszcze z żurawiem, w każdym gospodarstwie łączyły sobie jak im się chciało i strzygły trawę – kury, indyki, gęsi i kaczki, a gdzieś tam ciekawsko, nie przerywając przeżuwania, spoglądała na przechodzących krowa. Nikt tu nie strzygł trawników i przydroży, dzięki czemu jedna barwna wysepka kwiatów mieszała się z drugą o innej barwie, a wszystko to pachniało, świergotało, wachlowało skwar lata niepoliczonymi parami motyli skrzydełek, bzyczało pszczołami, trzmielami i najprzeróżniejszych w kształtach i ubarwieniu chrząszczami. Gospodyni sypała drobiowi ziarno, gospodarz coś dłubał przy ciągniku, staruszkowie na ławeczkach przeglądali pod na wpół przymkniętymi powiekami swą młodość, koty się skradały, psy spały...

Szczęść Boże!

Szczęść Boże!

Między jedną, a drugą łąką rosły w pojedynkę stare, krępe sosny. Dobrze wiedział dlaczego są inne od tych, które niebawem zobaczył w lesie. Tak bardzo chciał być jak one! Deszcz, śnieg, spiekota, wichry, smagały je nieustannie, a one tym bardziej, na przekór, chciały żyć! Łąki zanikały, pojawiała się młoda, dziewczęca jeszcze brzezina, która wraz z każdym jego krokiem doroślała, doroślała, aż rozpuściła długie, zielone włosy dojrzałych już kobiet, które – jedna za drugą, poustawiały się szpalerem wzdłuż drogi.

Gdy las zaczął się przerzedzać, z oddali usłyszał buczenie. Zbliżał się do wsi. Jazgotały stalowe ostrza. Pod nimi, padały karminowe szczawie, żółte jaskry, białe krwawniki, niebieskie cykorie podróżniki, fruwały szczątki traw, motyli, miodnych pszczoł i opalizujących żuków. Jeden dom był w tej wsi podobny do drugiego. Każdy miał ganek z kolumnami, na ścieżkach biały żwirek, wszędzie trawniki miały dokładnie taką samą wysokość i wszędzie, wzdłuż parkanów i ścieżek rosły tuje.

Zbliżająca się noc tępiła nożyce kosiarek. Wieś zdawała się nie mieć mieszkańców, bo w domach nigdzie nie paliło się światło. Żywopłoty tuż skutecznie pochłaniały znikome światła, jakie dają ekrany komputerów.

Choć był to dopiero początek sierpnia, usłyszał nad sobą klucz dzikich gęsi. Pewno tylko przelatywały z miejsca na miejsce, ale on już poczuł ten zew, to wołanie, tę ściskającą serce tęsknotę by lecieć z nimi, nie do ciepłych krajów, ale nigdzie się nie zatrzymując, po prostu – donikąd. Chciał z nimi lecieć w chmurach, pod chmurami, w mgłę, w deszcz i wiatr, w świt, w poranek, w południe, w wieczór i noc, pod gwiazdami, wprost w srebrną, starożytną monetę księżycą. Chciał z nimi – z gęsiami, z żurawiami, lecieć, lecieć...

Którejś jesieni był nad pewnym cichym jeziorem. Między taflą wody a drogą był stromy stok porośnięty starym sosnowo – dębowym lasem. Tu i ówdzie rosły sędziwe olchy, brzozy i modrzewie, gdzieś tam zdarzały się lipy i klony. Szedł różnobarwnym tunelem wśród opadających liści. Nagle, ponad koronami drzew usłyszał żurawi klangor. Zadarł w górę głowę, ale tam tylko wiatr szumiał i z każdym jego podmuchem sfruwały na dół liście jak kolorowe motyle.

Gruuu, gruuu... przesunęło się w kierunku jeziora i oddalało, oddalało, oddalało...

Musiał, musiał je zobaczyć, musiał jeszcze zobaczyć żurawie, musiał się pożegnać! Nie wahając się, zbiegł na złamanie karku ostrym stokiem prosto w trzciny, w spodniach, w obuwiu, wprost do wody! Widok na niebo akurat zasłaniał sosnowy konar, więc wszedł do wody po kolana. I wówczas zobaczył żurawi klucz. Leciał, leciał, leciał, prosto w zachodzące słońce. I znikając, zamilkł.

*Chcę do waszego klucza!
Nie wykluczajcie mnie!
Zabierzcie, zabierzcie mnie ze sobą!*

Czy to był szept jego, czy trzciny,
czy to były jego łzy, czy plusk jeziornej fali...
Któż to wie?

Janusz Andrzejczak

Tamara Bołdak-Janowska i Antoni Janowski

Krótki dialog położniczy

Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka

o kodzie nieobecności

BeJot: Ilekroć zdarzy mi się wspomnieć coś z dzieciństwa, to widzę, że obrazy stamtąd leżą niżej, niemal płożą się po ziemi. Byłe dziecko jest tam w dole. Tamten dół jest piękny. Skrzy się śnieg albo świecą rumianki z ciemnozielonej sierści trawy. Jeszcze niżej biega kot. Jeszcze niżej toczą się małe piłki kurcząt. Nieostrożny ruch nogą lub nieostrożny ruch drzwiami i piłka kurczaka pęka. Pamiętam: miałam ze dwa lata, kiedy zbyt mocno przytrzasnęłam ciężkie drzwi w sieni, i pękła ta żywa żółta piłka, ukazując czerwoną dętkę, też okrągłą. Pierwsze spotkanie z nieobecnością. Nie przeżyło. Nie miałam pojęcia, czym jest nieobecność.

Widzę siebie, jak trzymam się matczynej łydki. Matczyzna łydka to kolumna bezpieczeństwa. Matka – potężna siła, która mnie obroni w każdej sytuacji. To wszechmocna skała. Staranuje, zepchnie z drogi każdego wroga dzieci.

Nikt poza mną tego nie widzi. Dalekie to i całkowicie we mnie.

Przestałam zaglądać do albumów z fotografiami. Strach, że zobaczę byłe twarze, i moją dziecięcą, i granatowe gęste włosy matki, i jasne gęste włosy ojca. Nieobecność nieodwracalna. Wystarczą obrazy w pamięci. Tak lepiej. Bez fotograficznego zbliżenia.

Filozof białoruski W. Akudowicz mówi, że kodem życia jest kod nieobecności. Ma na myśli białoruskość, ale przecież zarazem ludzką egzystencję. Odczuwanie egzystencjalnego kodu nieobecności jest przez ludzi tłumione. Tak lepiej. Nikt nie jest w stanie żyć ze stałą świadomością, że znika, znika. A ty co powiesz o tym całym „niżej”?

Tolo: Dobyty przez ciebie ton jest kusząco słodki, dzieciństwo, krótkie spodenki, ale zarazem chce się uciekać jak najdalej po długiej drodze, zawierającej się w początkach pamięci. Pierwsze oszołomienie życiem i pierwsze śmierci. Oto kury całą hurmą zadziobują wypadłe z gniazda pisklę wróbla. Dyktat życia jest ślepy. Oto zdychający na podwórku ze starości koń. Wysłużony, „uczciwy, honorowy” koń. Miał imię. Odchodzi w niebyt. Ojciec zaprzął dwa inne konie, starego zaciągnął do stodoły, w cień i ostateczną samotność. Dyktat życia jest straszny. A ja? Słyszac o różnych tragicznych

śmierciach, przypadkowych, bezsensownych (wał polny zagniół na śmierć chłopca w moim wieku), trwałem w niczym niezmaconej ufności w opatrność: skoro Bóg jest dobry, a przecież jest, to mnie, dobremu przecież, nic złego się nie stanie. A potem te wielkie oczy wielkiego Boga, które zobaczyłem na niebie, zaczęły blaknąć, bo lata niosły silniejsze reflektory sceptycyzmu. I tak to, według twego hasła „niżej”, postawiony na wielkim podwórku odległego dzieciństwa, z zadartą głową wobec zalewu nieba, moją głowę opuszczałem stopniowo z oczami na poziomie indora, owczarka, żrebaka i żołnierza pod koniec szeregu według wzrostu, a to już na rosnącym podwórku świata. I jeszcze mam w pamięci obraz ojca, niewidomego pod koniec życia. Mówił rzeczy mądre i tylko niezbędne. I mamę, która w 95 roku życia mówi jak filozofka rzeczy istotne i finalne, a którą otoczenie ignoruje.

Bejot: Posłuchaj, wyliczę wstrząsające słowa. Pierwsze należą do Daniłła (z „Miesiąca do góry nogami”): „Prawdziwy antyfaszysta to rzecz o wiele poważniejsza i trudniejsza niż po prostu nienawiść do faszyzmu”. Daniłł pół wieku temu przewiduje powstanie systemów, „gdzie wszystko, co faszystowskie, będzie bez swastyki, gdzie brunatne będzie udawało niebieskie”.

Pisze: „Gdybym mógł wyprowadzić taką formułę, żeby Oświęcim nie przekształcał się w muzeum, żeby te wszystkie eksponaty, bunkry, piece – pozostały zagrożeniem”.

Opisuje sytuację, kiedy młody Niemiec nastawia głośno radio, aby zagłuszyć recytację wierszy nie-Niemców. „Młody faszyscik” – konstatuje.

Tak. Antyfaszyzm to stan ciągłej podejrzliwości, że faszyzm żyje w inaczej skrojonym garniturze, mundurze, słowie, że nadal jest groźny, bo to ustawianie ludzi według relacji: tu my, sami swoi, sami dobrzy – tam wy, sami obcy, sami źli. A to wszystko bez swastyki.

Poraziły mnie słowa Sz. Weissa: „Czytam nazwiska Żydów-ubeków i zastanawiam się, czy mi wolno krytykować Polaków”.

Jeszcze Daniłł: „To wspaniałe, że duch człowieka nie jest związany z czasem, jest mocniejszy niż czas, jest większy niż czas”.

I to od Daniłła: „Nigdzie prawomyślni nie cieszyli się takim poważaniem jak w Niemczech”.

Powyższe wszystkie cytaty zmuszają mnie do reakcji. Reakcją jest moja wstrząśnięta myśl: żaden z powyższych głosów nie był skomercjalizowany, ani nie był rynkowy, ani nie był mainstreamowy. Brakuje nam takich wolnych słów ludzi wolnych i wolnych dyskusji o tym, co nami wstrząsa.

Kiedy cytuję ci te słowa, łapię się na myśli, że moim przewodnikiem jest antyfaszystowskie nastawienie umysłu i wietrzenie podstępów w bełkocie

medialnym, książkowym, teatralnym. Jest to zarazem uraz antymizoginiczny. Stary faszyzm (nazizm) był dziełem mizoginów. I taki jest nowy. Co myślisz ty?

Tolo: Mam dwie ręce, szkoda, że dwie, gdybym miał ich dziesięć, i jako takie monstrum odmienne, wynaturzone, jak zakazana sztuka lat trzydziestych, monstrum z daleka widoczne i żgające w oczy faszystów czy neofaszystów, podpisałbym się wszystkimi tymi cennymi rękami pod słowami, które cytujesz. I żadnej nie dałbym sobie operacyjnie usunąć tylko po to, żeby otrzymać akceptowalną identyfikację.

Jestem chrześcijaninem, powinienem wierzyć w ludzi dobrej woli. Jednak ufam konkretnym osobom, ale już nie masie, zarażonej słusznymi stereotypami. Kiedy widzę migawki w telewizji z jakimiś gniewnymi, wykrzykującymi z pianą na ustach zamierzchłe nacjonalistyczne hasła, myślę o moim stryju Franciszku, który przeżył obóz koncentracyjny Stutthof, ale długo potem nie pożył. Zapamiętałem jego złamany na zawsze spokój. Ten smutny stryj rysował mi, jako dziecku pięknego konia ze słowami „to jest dziki koń, ale w rzeczywistości on nie jest dziki, tylko wolny”.

Wstrząsnęły mną Twoje słowa, te z wiersza „Rozmowa z Tamarą Literaturą”, sama końcówka, którą napisałaś po niemiecku, i chyba dlatego tak wstrząsają, że po niemiecku: Jetzt ist Auschwitz überall.

Bejot: Danił mówi, że duch człowieka jest mocniejszy i większy niż czas – zastanowię się nad tym.

I znowu sięgnę do jego książki. Opisuje Plac Pigalle, opanowany przez prostytutki i turystyczne zastępy zachęconych. A Danił widzi ten plac z czasów Komuny Paryskiej. Widzi Komunardki. Niektóre poszły na szafot. Za Deklarację Praw Kobiety i Obywatelki na szafot poszła Olimpia de Gouges. Na Placu Pigalle walczył kobiecy batalion, 120 kobiet pod dowództwem Luizy Michel i Rosjanki Jelizawiey Dmitriewej (Elisabeth Dmitrieff). „Czternaście godzin powstrzymywały tutaj, na zbudowanej



Rys. Tamara Bołdak-Janowska

na tym placu barykadzie, napór całej dywizji wersalczyków, zbrojnej w artylerię”. Krystyna Argimt, Andrée Léo, Blanche Lefevre, Malwina Poulens. Imiona, nazwiska kobiet nieobecnych w żadnym dyskursie publicznym.

Znowu przypomina mi się pytanie: Sokrata: Dlaczego nie było nigdy w historii powstania kobiet? I mówię: Były, bracie Sokracie, tylko o tym woleliśmy nie pamiętać. Duch był nie ten. Ten stary duch zresztą nadal traktuje bunt kobiet paternalistycznie, uznaje za mniej ważne, babskie, a nie ludzkie.

Obecnie obudził nam się duch pamiętania dzielnych odważnych kobiet z przeszłości, ale zarazem ożyła kontrrewolucja starego ducha, partyjna czy fundamentalistyczna. Przez to kobiety dzisiaj nadal żyją według kodu nieobecności. Przed którą z kobiet klęknąć za jej talent, odwagę, wolnomyślicielstwo? Stary duch wymaże wybitne i najwybitniejsze imię dzisiejsze, stwarzając wrażenie tradycyjnej pustki w tym miejscu. Klękam przed pustką. Klękam przed Komunardkami.

Obejrzelśmy z tobą na Planecie Plus dokument o Angeli Merkel. Znakomity. Nie miałam pojęcia, że u progu jej politycznej kariery niemieckie partie polityczne stanowili sami mężczyźni. Angela uparcie wkraczała coraz wyżej w ten świat samych mężczyzn, a następnie ciągnęła do rządu kobiety.

Tolo: Bo tak było. Dziś faceci nie pozwalają piąć się pięknej Sarze Wagenknecht. Demokracja taka.

Bejot: Stary duch pilnuje, aby pięły się w górę same przystosowane potakiwaczki? A nasz dzisiejszy Plac Pigalle to był Czarny Protest. Rozeźlone kobiety przeciw staremu duchowi. Hasła niekoniecznie udane. Niektóre szokujące, robione po to, aby skandalizowały i w ten sposób zwracały uwagę. Hasła epoki to szokujący kicz. A w 1968 Francuzki wyszły na ulice z jedynym hasłem: Z KIM CHCĘ, KIEDY CHCĘ, JEŚLI CHCĘ. Protest był skuteczny, bo wyszły wszystkie kobiety, no i to hasło nie szokowało, lecz poruszało. Poruszało mężczyzn. Poruszało księży. Bo to był przejmujący wyraz kodu żeńskiej obecności.

Tolo: To ja teraz zacytuję określenie Daniila: „Wysoko postawione nicości”. Daniil opisuje następującą sytuację: Bach był traktowany przez „wysoko postawione nicości” jako tylko organista, jeden z wielu. O tych „wysoko postawionych nicościach”, lekceważących genialnego kompozytora, dziś nikt nie pamięta. Może leżą nazwiskami w archiwach jak w grobach. Może nawet tam ich nie ma. To również kod nieobecności. „Wysoko postawione nicości” bardzo chcą górować nad każdym artystą, i miernym,

i genialnym. Ale te „wysoko postawione nicości” nic nie mogą po śmierci. Złamia życie doczesne geniuszowi. Van Gogh umiera w nędzy. Nie on jeden. Danił mówi, że po śmierci genialnego twórcy o złamanym przez „wysoko postawione nicości” życiu zaczyna się handel jego dziełem. I znajdują czyjeś inne złamane życie do sławienia i zarabiania na nim. A duch człowieka niezmiennie jest przenoszony przez dzieło geniusza i wstrząsające słowa.

Bejot: To ja ci przeczytam, co zapisałam rano, moją myśl: Coraz bardziej zaczynam stanowić całość z umarłymi, a coraz bardziej pragnę z żyjącymi. Ktoś z żyjących jest do mnie przywiązany, ale nic nie może przeciw tej pierwszej całości. Poza tym i ci przywiązani do mnie umierają w coraz większej liczbie, chorują, mają wylewy, Alzheimera. Choroby te pozbawiają każdej więzi. I ze mną.

Tolo: Co do głosu zbuntowanych kobiet – słyszę, ale muszę się dobrze wsłuchać. Rok 2003. Kilku panów wojny zdecydowało: dla naszych bojów robimy nową wycieczkę, do Iraku. Dzień mężczyzny. Jedna kobieta, senatorka z demokratów krzyczy: Chyba poupadaliście na głowy! Czy ktoś ją słyszał? I mnie trudno przypomnieć jej nazwisko.

Podam ci, co wypisałem z Hannah Arendt, z „Banalności zła”: „Ideologia to ukrócenie ludzkiej zdolności mowy”. Ależ tak. Człowiek ideologiczny nie myśli, tylko wierzy we frazesy panującej ideologii. I jeszcze: „Wielość jest warunkiem wolności”. Tak. Wielość kultur. I dwukulturowość, podwójna tożsamość – to ta pozycja, kiedy widzimy więcej, a szczególnie to, co naprawdę jest wspólne, budujące po ludzku. No i to: „Zło żywi się truizdami i wynika z powierzchowności”. Tak! Kilka frazesów zastępuje myślenie. Ty powiesz, że to kod nieobecności myśli, ja nazywam to pustostanem w głowach. I to od Hannah: „Uchodźcy, wypędzeni to według polityków zbędny pył, obciążający Ziemię”. Ty kiedyś powiedziałaś, że nazizm i terroryzm to to samo. Terroryzm rozpełza się po europejskich ulicach. Według ciebie, terroryści to tacy nazi-fundamentalisci, ci lepsi, ci bardziej wierni Bogu. Od tego, że o tym rozmawiamy, nie robi się łatwiej. Powiększa się „uchodźczy pył, obciążający Ziemię”. Słowa Hannah porażają i dziś, choć były pisane tak dawno.

Tamara Bołdak-Janowska i Antoni Janowski

Andrzej Chąciński

Młodzieńcze lata

(fragment)

Wydarzeniem, które zajęło sporo miejsca w sytuacji Karola była wizyta, którą znajomy z Warszawy złożył ich kuzynce. Kuzynka mieszkała w tym samym domu, co wszyscy, ale kontakty z resztą rodziny utrzymywała od święta.

Zarówno ona, jak i matka Karola spędzała czas na rozmowach z babcią, podczas których zastanawiały się jak się powinny zachowywać w nowej sytuacji. Stosunki, jakie w mieście panowały przed wojną, należały już do przeszłości i obie panie obawiały się, czy nie będą narażone na jakieś przykrości.

Znajomy przyjechał samochodem i zamieszkał na piętrze. Do pokoju, w którym mieszkała kuzynka, przychodził na posiłki. Spędził też trochę czasu przy łóżku babci. Był inżynierem i przyjechał z Niemiec, gdzie w obozie jenieckim spędził parę miesięcy. Przyjaźnił się z jednym z dalszych członków Karola rodziny i nocował w warsztacie, który dla niego coś produkował. Ubrany w wojskową kurtkę i sportową czapkę, wyglądał jak oficer, którym był parę miesięcy wcześniej. Kilka razy pojechał z kuzynką do miasta i parę razy poszedł z nią pieszą wycieczkę. Karol, przechodząc korytarzem, słyszał, jak powiedział do niej pół żartem: „to może znowu pójdziemy zaczerpnąć świeżego powietrza?”. Kuzynka śmiechem odpowiedziała, po czym Karol ich widział, jak szli przez pole i znikali w zaroślach. Później słyszał jak rozmawiali w pokoju kuzynki.

Z Karolem wymienił parę słów o pogodzie i spytał ile czasu zostało mu do liceum. Kiedy usłyszał, że parę miesięcy, kiwnął głową i zabrał się do wymiany tylnego koła w samochodzie. Karol nie miał ochoty prowadzić z nim dyskusji i poszedł do swego pokoju. Otworzył tam książkę i zaczął przygotowywać się do klasówki. Powtarzając łacińskie słówka, przypominał sobie fragmenty rozmowy, do której kilka dni temu pomiędzy nimi doszło. Chodziło o gospodarstwo, w którym Karol z rodziną spędził dwa lata wojny. Kiedy wspominał, że w miejscowości, w której mieszkali, było światło elektryczne, mężczyzna spojrzał na niego uważnie i spytał:

- Do was należał ten majątek?
- Tak – odparł Karol.

- I straciliście go?
 - Nie! Matka część ziemi sprzedała. Ale jeszcze więcej niż połowa jest naszą własnością
 - A teraz ten człowiek was sflaca?...
 - Tak.
- Mężczyzna kiwnął głową. Rozmowa z gościem zrobiła na Karolu przykre wrażenie.

* * *

W podwórzu sąsiadującego z kościołem Dominikanów piętrowego domu znajdowała się wypożyczalnia książek. Aby się do niej dostać, trzeba było wejść do oficyny, o której Karol słyszał od chłopców, że „pachnie myszami” oraz, że na piętrze ukazuje się duch. Właścicielkami wypożyczalni były dwie staruszki. O tym, że pozwalały uczniom z niej korzystać, Karol dowiedział się od kolegi, kiedy spostrzegł, że tamten zagląda do nieznanego mu książki. Na temat właścielek usłyszał, że jeżeli grzecznie poprosi, to coś ciekawego mu znajda. „Z takimi opisami, jakich nie znajdzie w żadnej książce z biblioteki szkolnej!”. Niedługo później Karol pomyślał, że tam zajrzy. Na pytanie, co najbardziej go interesuje, odparł, że życie na Dzikim Zachodzie. Otrzymał parę powieści. Pierwszą, którą pożyczył, była powieść „Niewolnice z Long Island”. Później przeczytał „Czarowną noc” i „Księżę Wa Tunga”. Bogdan tego rodzaju książkami w ogóle się nie interesował. Przejrzał jedną i oddał. „Opowiadania o takich sprawach ja miałem okazję usłyszeć na naszej rogatce” – wyjaśnił. – „Jeżeli masz ochotę zobaczyć, jak to wygląda, to mogę ci pożyczyć parę numerów «Fali», które Jurek schował w komórce”.

O wydawanym w czasie okupacji piśmie „Fala” Karol słyszał od kolegi w szkole, ale do obejrzenia choćby jednego numeru zabrakło mu śmiałości.

Zresztą zainteresowanie Marczyńskim niedługo mu przeszło. Podczas rozmowy z babcią usłyszał, że w szafie jest kilka powieści Mauriaca, Maurois i Rogera Martin du Gard. „Zwłaszcza polecam ci «Rodzinę Thibaut»” – powiedziała babcia. – „To jest wspaniała książka!...”.

Puścił jej zalecenia mimo uszu, ponieważ na głowie miał inną sprawę. W domu Bogdana zamieszkał lokator. Zgłosił się z nakazem wydanym w biurze kwaterunku. Pani K. przyjęła go w jadalni. Lokator był oficerem, który czymś bardzo ważnym był zajęty na mieście. Sprowadził się z żoną. Osobiste rzeczy, z którymi się wprowadzili, przynieśli w dwóch walizkach.

Jedyną ich własnością, zasługującą na uwagę, był motocykl, na którym oficer co dzień wyjeżdżał. Czasem zabierał żonę, której pomagał zająć miejsce na siodelku.

Po otrzymaniu nakazu z kwaterunku pani K. zachowała się jakby sprowadzenie się lokatorów było mało ważnym faktem. W milczeniu pokazała, że do pokoju będą wchodzić frontowym wejściem, co mogło być dla nich bardziej wygodne, ponieważ, zarówno ona jak i Bogdan, do domu wchodziła od kuchni.

Parę dni później do jej części budynku zaczął dolatywać zapach, z którego wynikało, że żona oficera zaczęła prowadzić gospodarstwo. W tym czasie pani K. mieszkała sama z Bogdanem. Pan K. dostał posadę magazyniera w państwowym majątku, a Jurek starał się skończyć w Łodzi liceum plastyczne. Karol nie miał okazji go poznać, bo do domu wracał wieczorem i o szóstej rano wychodził na stację. Jurek dysponował donośnym głosem i był wysokim blondynem. Kiedy Bogdan przedstawił mu kolegę, powiedział, że się spieszy i podał Karolowi rękę. I szybkim krokiem poszedł w stronę stacji.

Nazajutrz Bogdan sprawdził, czy ktoś go nie słucha i odezwał się, siedząc na murku, otaczającym boisko szkolne:

– Jurek kazał mi ciebie spytać, czy w czasie wojny mieszkał u was Beksiński. Bo jeśli tak, to chciałby, żebyś mu coś powiedział.

Karol odrzekł, że człowieka o tym nazwisku nie miał okazji spotkać. Ale zastrzegł się, że nie może tego stwierdzić z całą pewnością. W czasie okupacji przez ich dom przewinęło się dużo ludzi. Niektórzy zatrzymywali się na noc i rano wyjeżdżali. Jeżeli Jurkowi na tym zależy, to mógłby spytać człowieka, który pracował dla dziadka i zawsze był u nich obecny.

Bogdan machnął ręką i powiedział, że sprawa nie jest ważna, ponieważ Jurek tylko tak sobie o tym mu powiedział. Możliwe, że nie miała dla niego znaczenia.

– Jurek lubi coś powiedzieć, żeby ludzie myśleli, że chodzi o ważną sprawę. A jak przyjdzie co do czego, to mówi, że nie wie, o co chodzi.

Karol był zadowolony, że spotkał Jurka, ponieważ miał nadzieję, że będzie miał okazję porozmawiać z nim na temat służby w partyzantce. Zwłaszcza, że w półrocznym okresie sprzed końca wojny miał do czynienia z partyzantami i nie wykreślił ich z pamięci.

* * *

O tematach, jakie ostatnio były omawiane na kursie, Karol mógł powiedzieć, że ma je w jednym palcu. Odnosiły się do konstrukcji samolotów i szybowców. Przypominały mu wrażenia sprzed wojny, kiedy oglądał pokazy modelarstwa. Pamiętał uczucie, z jakim patrzył na modele wznoszące się w powietrze. Niektóre były napędzane przez benzynowe silniczki. Pamiętał też samoloty, które startowały z Pola Mokotowskiego, latały tak nisko, że miał wrażenie, iż mógłby do nich sięgnąć ręką. Widział przy-czepione do kadłuba koła i słyszał warkot silnika, pracującego w obłoku spalin...

Obecnie zajmował miejsce w sali, która była prawie pusta. Z grupy osób, które brały udział w kursie, zostało paru uczniów. Pozostali uznali, że jeżeli od zarządu nie dostaną skierowań na szkolenie praktyczne, to uznają, że nauka teorii jest im niepotrzebna. Wielu z nich uważało, że latanie na szybowcach jest mniej ważne, niż na aparatach silnikowych. Tym bardziej, że wielu z nich obecność na kursie traktowało, jako przygotowanie do służby wojskowej.

Następnego dnia, zamiast zostać na wykładzie, Karol pojechał zobaczyć się z Danką. Uliczkę, którą jechał, pamiętał sprzed wojny. W jej domach znajdowały się sklepiki, zaopatrzone w śledzie, kiszone ogórki, kapustę z beczki i warkocze czosnku. Jednak tym, co najmocniej działało mu na wyobraźnię, były obłożone dywanami balkony, których wygląd sprawiał, że przechodnie czuli, że są na ulicy wschodniego miasta. Zjawisko odrębności w stosunku do innych dzielnic wzmacniał oryginalny zapach i wygląd inaczej ubranych przechodniów.

Parę lat później ulica już była pusta, a drzwi do sklepów zamknięte.

Obudowy balkonów ktoś zabrał, a ulica przestała wyglądać tak samo, jak inna część miasta.

Drugi raz Karol znalazł się na niej w czasie wojny, kiedy do jednego z jej domów chodził na lekcje. Udzielała mu ich, wysiedlona z Poznania, nauczycielka z gimnazjum, pani Krajewska. Wiersze, które czytali, pochodziły z „Pana Tadeusza”.

Obecnie przypominał sobie tamtego Karola, deklamującego wiersze. Do głowy przychodziły mu pamiętne strofy poematu:

„Ile jestem wam winien o domowe drzewa? Błahy strzelec, unikając szyderstw towarzyszy, za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie, zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie...”.

Innym powodem, który sprawiał, że tę ulicę darzył sympatią, był warsztat, w którym kupił radio. Miało pękniętą skrzynkę, ale można było na nim odbierać zagraniczne stacje. Pamiętał nastrój, jaki zapanował w domu, w czasie słuchania audycji. Po spędzeniu czasu w ciszy, jaka panowała w czasie okupacji, wszystko, co dolatywało do nich z głośnika, traktowali, jako zapowiedź lepszego życia, na które czekali w latach wojny.

Kiedy znalazł się przed domem Danki, pomyślał, że nie sprawdził, czy o tej porze bywa obecna w mieszkaniu. Zostawił rower przed wejściem i wszedł na górę. Kiedy zapukał, drzwi lekko się uchyliły i usłyszał głos jej matki.

– Kto tam?...

– Przepraszam, czy jest Danuta? – spytał.

– Nie ma Danuty! Poszła do koleżanki! Wróci późno wieczorem.

– Dziękuję i przepraszam...

– Nie ma za co. Jutro też jej nie będzie. Umówiła się, że na cały wieczór pójdzie do koleżanki.

Zmartwiony, wsiadł na rower. Zarówno z tonu głosu matki Danki jak i z zapachu klatki schodowej wywnioskował, że znalazł się w świecie, który jest dla niego obcy.

Parę tygodni wcześniej, kiedy przyjeżdżał zobaczyć się z Danką, odczuwał to w mniejszym stopniu.

Jadąc w stronę domu pomyślał, że do Bogdana dobrze byłoby zajrzeć. Kiedy znalazł się na Owocowej, nie spostrzegł światła w oknach. Z myślą, że Bogdan poszedł do kolegi, a jego matka do pani Świderskiej, pojechał w stronę posesji.

Kiedy wszedł do kuchni, matka spytała, czy nie jest głodny. Może napiłby się herbaty i zjadł kawałek placka. Z tonu, jakim to mówiła zrozumiał, że była prawie pewna, iż zjadł kolację u Bogdana.

Na pójście do babci było za późno. Jedynym wydarzeniem, które w tym czasie zaszło, była wiadomość, że chciała, żeby przeczytał bardzo ciekawą książkę. Została wydana parę tygodni wcześniej i poruszała sprawy, o których można było przeczytać w gazetach i literackich pismach.

Książkę, o której babcia powiedziała, że powinna zainteresować Karola, przysłał znajomy ciotki. Była jedną z powieści napisanych w czasie wojny, którą po wahaniach zdecydował się opublikować prywatny wydawca.

Wydrukowana na grubym papierze i opatrzona szarą okładką, nosiła nazwisko autora, którego Karol nie znał. Jednak tytuł wydał mu się

interesujący. Książka znalazła się w jego rękach nazajutrz, kiedy był w pokoju babci. Sięgnął po leżący na stoliku nóż do papieru i zaczął przecinać strony.

Babcia oparła się o poduszkę i uniosła na kozetce.

– Nie wiem, czy ci przypadnie do gustu – rzekła. – Ale czytałam recenzję i mogę cię zapewnić, że tym, co autor starał się nam przekazać, były problemy, jakich nasi wrogowie nie potrafili rozwiązać. Wśród nich było wielu takich, którzy zdawali sobie sprawę, że są Polakami. Było też dużo takich, którzy do służby w niemieckim wojsku zostali zmuszeni pod groźbą represji, które mogły spaść na członków ich rodzin. Zresztą, zorientujesz się, kiedy to przeczytasz. I znając ciebie, jestem pewna, że będziemy mieli ciekawy temat do rozmowy.

Andrzej Chąciński

Piotr Müldner-Nieckowski

Przygoda Elli z psychiatrią światową

Godzinę czekałam, aż doktor Koleba mnie przyjmie.

– Panie doktorze. Kiedy urodziłam córeczkę Nolę, akuszer wyraźnie powiedział, że jest leworęczna. To się zresztą potwierdziło przy pierwszym karmieniu piersią. Rzeczywiście przytrzymywała sutek rączką lewą, a nie prawą. Pierwsze zakupy, które robiłam specjalnie dla niej, uwzględniały tę jej leworęczność, pod tym kątem toczyły się lata przedszkolne, potem gimnazjalne i szkoła średnia. Mąż uspokajał, że leworęczność jest bardzo korzystna przy grze w tenisa, a chętnie korzystają z niej także złodzieje kieszonkowi i prezydenci, dlatego dość szybko przestaliśmy się nad tym zastanawiać. Łatwo się pogodziłam z tym, że Nola należy do mniejszości. Kiedy nieubłagane zbliżał się rok zapisów na uniwersytet, córka poprosiła mnie o poważną rozmowę. Sądziłam, że postanowiła zmienić studiowanie medycyny na anglistykę, i byłam przygotowana na to, że po godzinie się zgodzę. Tymczasem Nola oświadczyła: „Mamo, zmieniam leworęczność na praworęczność”. To było naprawdę zaskakujące. Co pan na to?

Doktor uspokajająco położył dłoń na mojej ręce i powiedział:

– Droga pani, mój syn postanowił zamienić używanie rąk na używanie nóg. Uznał, że ręczność nóg jest wygodniejsza, a nożność rąk praktyczniejsza.

– Moja córka nie jest wariatką!

– Tak, ale psychiatrzy po wysłuchaniu mojego syna zorganizowali konferencję naukową i zaprosili na nią polityków, aby świat się dowiedział, że psychiatria jest najważniejszą dziedziną życia.

Po wyjściu z gabinetu zadzwoniłam do męża z prośbą, aby jego firma wsparła konferencje doktora Koleby. Wkrótce nadeszła odpowiedź od zarządu firmy. Wiadomości nie były miłe. Zarząd uznał doktora Kolebę za idiotę. Nie pozostało mi nic innego, jak zacząć szukać nowego męża. Nie należę do kobiet, które wolno tak brutalnie lekceważyć.

Ella's Adventure with the World Psychiatry

I've been waiting for an hour for doctor Koleba to see me.

"Doctor, when my daughter Nola was born, an obstetrician told me that she was no doubt left handed. It was confirmed during the first nursing session. She was holding a nipple with the left hand, not the right one. The first time I was shopping specifically for my daughter, I took into consideration her being left handed. It was taken into account during her preschool, middle school and high school years. My husband was comforting me that being left handed may be advantageous while playing tennis, also pick pockets and presidents use it. That is why we quickly stopped worrying about it. I easily reconciled that Nola was a minority. When the time to sign up for university was quickly approaching, my daughter asked me for a serious conversation. I thought maybe she decided to change her course of studies from medicine to English, and I was prepared to give in after an hour. However, Nola declared: 'Mom, I am changing from being left handed to being right handed.' It was really surprising. What do you think about it?"

The doctor calmly put his hand on mine and said:

"Dear lady, my son decided to change the use of his hands for feet. He realized that manualness of legs is more convenient, and footness of hands is more practical."

"My daughter isn't crazy!"

"Yes, but the psychiatrists, after listening to my son organized a scientific conference, and invited politicians so the world would find out that psychiatry is the most important part of life."

After leaving the doctor's office, I called my husband with a request that his company would support Dr. Koleba's conferences. Soon, an answer arrived from the company's management. The news was not pleasant. The management decided that Dr. Koleba was an idiot. There was nothing left for me but to start looking for a new husband. I do not belong to women who can be so brutally disregarded.

Translated by Margaret Touchstone

Wiesława Oramus

Sama

Zaczynało się to, kiedy krokusy już wędły, nie był w stanie ożywić ich nawet prawdziwie wiosenny, ciepły deszcz, a ich miejsce dla zachwyconych spojrzeń zajmowały magnolie, stokrotki i bratki. Wtedy to tak między rabatami, alejkami, zimowym jeszcze letargiem niektórych krzewów, z resztkami zeszłorocznych liści, a już przebijającymi się do życia młodymi, dostrzegła tę budzącą się siłę, moc, wiosenną siłę szaleństwa, która zmiecie z powierzchni wszystkie ślady uśpienia.

Budził się też strach przed tą siłą wszechobecną, wdzierającą się do domu, przyginał do ziemi, wyginał plecy w pałąk, powalał na kanapę, kazał unikać luster – żeby nie widzieć wiosennego zmęczenia, wymiętoszonej twarzy, oczu w czarnych obwódkach, poszarzenia wszystkiego co może poszarzeć, przygaśnięcia, braku sił do znoszenia tego, co już i tu w murach domu się budziło.

Strach zmuszał do dźwigania się, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, odzyskać siły, wiarę w to, że krwisty befszytk, czerwone wino, góry czekolad, stopy owoców, pomogą, wesprą. Stąd zachłystywanie się wiosennym powietrzem, stąd przypomnienie sobie o nieistnieniu bogów, stąd rytuały oswajania się z losem, cokolwiek to oznacza, a przede wszystkim to, że jest coś takiego jak obca siła, prawo natury, stąd racjonalizacja nieracjonalności, podnoszenie ciężarów dla kondycji, sztuki koncentrowania się na jakimś zadaniu, niesłuchania szmerów, hałasów, argumentów, stąd ćwiczenie asan pomocnych w dochodzeniu do stanu nirwany, jeżeli nawet nie dojdzie się do niej. Stąd sztuka omijania wzrokiem ludzi i omijania ich spojrzeń, rozmów, ustalania dystansu, stąd ćwiczenie sztuki wytrzymywania czegoś nie do wytrzymania.

Bo za ścianą... bo po odgłosach, po widoku twarzy przy porannym spotkaniu, nieobecnego spojrzenia mimo patrzenia w oczy w czasie porannej kawy, mimo spojrzeń, a może spojrzeń na wiosenną zieloność trawy pośród zimowej jeszcze martwoty, po odgłosach kroków nocą w ciemnych korytarzach, po traskach, skrzypieniach, po rytmie kroków, melodii wypowiedzianych zdań, rytmie oddechów, poznawała, że kończy się faza depresji, że nieznanne, obce, zniechęczone, zatrauwające wkracza do tego domu,

jak szaleństwo wiosennych kolorów i zapachów, że będzie niszczyć... maniakalnie, jak szalona siła kataklizmu. I tylko siła, jej siła, tylko tytaniczny wysiłek pozwoli ujarzmić skutki, niwelować straty, minimalizować rozmiary, chronić wszystko, co zagrożone przez tę nieznaną siłę, pokonać ją. Tylko większa siła, wypracowana, może pokonać tamtą – wierzyła.

I tylko po spojrzeniach, po ruchach, mimice otoczenia będzie się poznało, odczytywało to pytanie – To które z nich? Kogo to dotknęło... Kto?

I kto bardziej umierał; dla siebie, dla świata, gdy nadchodziła jesień, zima, uchodzenie wszystkich sił, zapadanie się w zimowe znieruchomienie, bezwład, jak wszystkich kwiatów w ogrodzie pod warstwami śniegu. Nad kim bardziej płakać, też nikt nie wiedział.

A kiedy już to się stało, całe grono rodzinne zabroniło jej płakać, całe grono starszych, młodszych płci obojga dostrzegło jej pojedyncze życie, wydobyło ją z tej magmy bytów, płynności, zdolności do przenikania się – jakby nie istniało pojęcie granic, konturów, czego sama przez wiele lat nie widziała, po to, żeby zabronić opłakiwania tamtego skończonego już bytu.

Może dlatego gdy pewnego dnia wpadli na siebie, bo może los tak chciał, bez uniesień się obyło ani specjalnych stanów zdumienia, bo w końcu, jeżeli ktoś tu wracał, to wracał też do tego miejsca, o określonej porze, tak jak wtedy ustalonej jako pora bywania tu, nawet po to, żeby stwierdzić, że tego czy tamtego już się tu nie widuje, bo wyjechał, obraził się, ożenił. Jak to z kolegami i koleżankami ze szkolnej ławy bywa.

Obyło się bez uniesień, wielkich zmian w stylu życia też to nie wymagało, ani nawet jakiejś wielkiej burzy hormonów nie wzniciło, weszli w to, co kiedyś się przytrafiło, potem zostało przerwane; płynnie, dzięki pamięci zapachu skóry, min, póź, ekstaz, z całą świadomością wpływu na to biochemii mózgu, co przyjęli też z ekstatyczną radością, że... nic się nie zmieniło. Z ciekawością, czy te stany niebiańskości, niebiańskich ekstaz będą podlegać, kiedy i jak szybko, jakimś przemianom?

A potem wracali do swoich zawodów, powinności, postarzałych nawyków, automatyzmów, sposobu trzymania kluczy, wycierania nosa, brania prysznic i trzymania widelca. Bardziej trwałych, niezmiennych niż wygląd skóry, kolor włosów.

I znowu „do nieba, do nieba”, razem. Czasami na skróty, czasami powoli, ostrożnie, rozważnie, jakby tworzyli pojęcie nieskończoności.

Po jakimś czasie zamieszkalili razem, przywykali powoli do tego – jak do „Słonecznej łąki” w SPA – określiła to tak ku jego zadowoleniu

– wykupionej, sprawdzonej, życiem codziennym, stanem ducha po sesji zaświadczałej o swojej skuteczności.

Zadowoleni, że tak to się odbywało i odbywa, nie mogli się nasmarkować. Niewiele nawet rozmawiali o luce, dole, niebycie lat, które mieli za sobą. Doszli do... spokoju, do sukcesu zawodowego, statusu materialnego. Tyle widzieli, to docenili, resztę pomijali milczeniem.

Bo chyba też nie stało się to wyłącznym celem i esencją ich bytu.

I tylko kiedyś, tak mimochodem, między łykami czegoś pysznego, kęssem smakowitości, w bujaniu, kołysaniu się ciał, wrzuconych na słoneczną łąkę, zaczęły jej płynąć łzy. Pierwszy raz w zżyciu widział jej łzy, ich kształt, rozmywanie się kształtów, zlewanie się, tworzenie potoku łez.

Nie pytał o nic, nie wiedział zresztą nawet dlaczego.

– Już, już...teraz – powiedziała, bardziej wyszłochała po długiej chwili.
– Zrób to też, zrób to teraz.

Nie pytał o nic, dał jej czas.

– Bo kiedyś, kiedyś... zabroniono mi opłakać czyjeś odejście, „bo kiedy dusza idzie do nieba, nie wolno jej przeszkadzać, a łzy opłakujących przeszkadzają. „Jak można było wymyślić coś takiego, jak można było przekazywać z pokolenia na pokolenie? Jak można? Bo nie chciałabym, żebyś nie mógł opłakiwać tego rozstania ze mną, a ja... Ja nie chciałabym przeszkadzać ci, twojej duszy w twojej drodze do nieba. Więc opłacz teraz mnie, a ja ciebie...

– Jak można, jak można coś takiego wymyślić – powtarzał zdumiony, a jednak, na wszelki wypadek, z szacunku dla tajemnicy, mroków młodej duszy, jakichś innych mroków, opłakał.

Opłakali swoje odrębne drogi, ścieżki.

To były pierwsze łzy od czasu pokonania jej przez tamtą niszczącą siłę.

A ta kłoda w czasie ich tego wiosennego spaceru po lesie napatoczyła się, a jakby leżała tam po coś, celowo położona, jedna, obok wielu innych, ale najbliższej, najbardziej dostępna, najbardziej równa, stworzona po to, żeby na nią wejść. Tworzyła jakąś linię prostą – jak czasami szpary między płytami chodnika, listewki parkietu, schody, balustrady. A spod niej wydobywały się wątle jeszcze żdźbła trawy, listki krokusów i zawilców.

W chwili, gdy nie wiadomo nawet co to było, ale było jak chęć uniesienia się i runięcia w przepaść, dojścia do chmur, zanurzenia w nich, znalezienia między dwoma przepływającymi obłokami, pośrodku, albo pośrodku tłumu, dwóch rzek, odczucie głodu, chęć pochłonięcia stert ciast, ciastek

i ciasteczek, a niezdolności do przeżuwania, połknięcia, podniesienia ręki, żeby zacząć zaspokajać zabijający głód, weszła na tę belkę, zachwiała się, pomachała rękami, co pomogło utrzymać równowagę. Podniosła sprawniejszą lewą nogę, lewą stopę postawiła pierwszą, zakołysała się, postawiła prawą stopę. I lewą i prawą, i ruch ramion, wyprostowanie pleców, i prawa stopa, lewa stopa...

I przeszła przez całą belkę, nie runęła, zeskoczyła, zmieniła kierunek. I lewa stopa, prawa stopa, rozłożenie ramion, zeskok, wejście, prawa stopa, lewa stopa. I zeskok, wejście, prawa stopa, lewa stopa. Lewa stopa, prawa stopa.

– Jestem sama, jestem sama... I tak masz mnie widzieć, gdybym pierwsza odeszła, zaczęła odchodzić, bo tak bardzo cię kocham. I tak bardzo związany jest z tym strach, że mógłbyś płakać, nie móc żyć sam.

– Jestem sama, sama. Sama.

Koniec

Wiesława Oramus

Jacek Pankiewicz

Przed

Ja na plecach. Zaś nagie różgi wokół, głównie przede mną...
a co mnie wspiera, nie powiem! bo może i nic.
Różgi tu buszują wszędzie, wszystkie nagie, a zachowują się jak gdyby
nigdy nic,
są najbliżej, a najdalej to i po niebie drapią,
ono dziś tak niemrawe, że wcale go nie ma.
Stoi tam sobie, nie widać, bo daleko.
Może już i zastało się do cna – jest czym się przejmować!
Może i ruszy się kiedyś? a jak ruszy, to zawsze tak niby, jak mu było pisane!
a przecie w przestworzach buszują sami niepiśmienni podobno.
Tylko że jak przyjdzie wiatr!
Wiatru dziś nie ma żadnego. Długo tak może być!
kłoda pierwsza, jakby coś było, zaraz by się spode mnie wymknęła. No
i zdradziłem się z tą kłodą!
ale ona jak ja, stara, biedna, niemrawa, już martwa,
Na niej wypoczywam.
Niech tylko – jak tam czymś zatrzęsie się od środka Ziemi, z samiuteń-
kiego jej środka!
to i buchnie aż tu –
i będzie rozpruwa!
a może już niby i Przed...

28 lutego 2017

...I po

I idą, a w słońcu kołysz się stal,
dziewczęta bzykają zza płota,
bo w pierwszym szeregu podąża na bal...
ale to gdzie indziej, nie w tym czasie!
Potrzebujemy duchowości nowej, bo inaczej –

...Ależ wy tu macie magiel!

Człowiek maleje, potężnieje władza, to może i największe samozaparcie ludzkości! idziemy przez życie jak umarli.

A ty musisz być na wszystko przygotowanym. Wrażliwym na wszystko! nie poddaję się niczemu, silnym być; co znaczy ambitnym!

...ale bo i czymże jest ambicja bez – pokory?

Ślepotą.

Ale jeżeli tam wszystkich tych odziedziczonych wzorców, przyznaję, czasem i oślepiających sam na sobie nie przerobię, ot tak fizycznie – będę już dla siebie niczym.

Więc jest i nadzieja, choć

– do rana zgłuchniesz! mówią pierwsi, którzy wyszli na ulice nocą.

A za ścianą narkotyki tłuką wciąż. A na ulicy policja czeka, już uzbrojona, w czerwone przecinaki tym razem, łokieć w łokieć obok siebie stoją, robią za pastuchów mechanicznych;

prawdziwi pastuchowie albowiem dawno już ministrami pozostawiali, a dziś, jeśli żyją, dojrzewają na posadkach wiadomo jakich, nie powiem, poprawność polityczna!

– ...a dziś już i nie jesteście na Krymie! podpowiadają.

Nie jesteście i sobą. Każdy starszy wiekiem człowiek,

i nie pisarz tylko, co dziwne, dziedziczy po innych; sam jest jak pusty, lecz oblepiony stekiem przezwisk, wypożyczonych od innych, na przykład pismak, od dziennikarzy, musi to wszystko wiedzieć, co mu wtłaczają do łba ci, którzy to najlepiej, jak im się opłaca, wiedzą, nie czują;

więc już pisarz od dziennikarzy, choć dziennikarz to dopiero kiedyś był ktoś!

– ...i nie jesteście już na Krymie! krzyczą, a może i cieszą się.

Więc żyjemy po staremu, jak nam pozwolą odnośne władze.

A z władzą trzeba się odnosić daleko daleko; i zakopać głęboko, by nie czuć; a wierzchem jakieś kwiatki zawsze wyrosną –

a życie staruszka, jakiegoś pismaka tak jakby – niech już będzie jak jest, bez wszelkiej pamięci, bez odczuć, czasem może jeszcze i co nieco zdolnego trafi się, by zachwycić,

coś odczuć, czymś zniesmaczyć;

z zamiaru życia może i kiedyś szczęśliwego, gotowego nie tylko zrezygnować, ale i wyprzeć się –

na przykład tego, że kiedyś człowiek był tak głupi, wszechwładnie krzyczał na starcie, wszem wobec, rodząc się, w dowód, że się cieszy tak bardzo! czyli z radości choć nierozpoznanej, ale wcale nie z rozpacz;

dziś rano budzisz się, też bez rozpaczy, choć nikt ci łyżki gorącej stawy nie poda, gdy musiałoby to być za darmo, czyli ze szkodą dla obu stron!

dziś ludzie się szamocą, choćby już tylko z powodu niewiedzy o innych, bo i kto tamten jeszcze, Inny?!

– ach to porażający dupek, ten wszechwładny! wiesz, no?

– a ten?!

a tamten?! a inni?!

Życie starego pisarza i dla niego już nie istnieje; bo jeżeli pisarza, to bez życia; nawet jak i co zrobił, napisał kiedyś – to dla niego dawno już obce, nie twoje;

życie starego pisarza – ot, może i chciałbyś sobie, ach gdyby tam jeszcze, pomarzyć powiedzmy...

i żeby tak jajecznicą na śniadanie, długi spacer po parku, w głębokim lesie najlepiej, i zostać tam!

– ależ ty jesteś zasuszona pestka!

musisz każdego dnia bez sił wszystko zaczynać od nowa;

i tylko w nawykach wyszukiwać, może co zostało; z pracowitości dawnej, skłonności do zdziwień – –

wszystko już dawno wiesz, co warto i nie warto!

a że tam twoja – oszukana wrażliwość?

z tym idzie najłatwiej dla was!

bo i czymże moglibyście zadziwić jeszcze?

udawać jak trzeba!

i tylko tak istnieć pozostało?!

Są nieme pytania trzy, nawet mnóstwo! ale te samoryglujące się, powtarzalne!

– a ten,

– a ten,

– a tamten?

a każdy z nich to jedynie wyćwiczony sługa! ale jak wszechwładny!

Od ilu to już lat

na wyższy poziom nikt się nie wspina.

Jedźmy, nikt nie woła.

12 lipca 2017

Jacek Pankiewicz

Jan Krzysztof Piasecki

Kazimierskie

Czekaliśmy na światłach w Soce. Po pasach kroczyli przechodnie – para starych chłopów zwanych obecnie rolnikami, kilkoro zamyślonych obywateli – zapewne dzieci chłopów – nieśpiesznie zmierzających do pracy w Soce, kobieta pchająca wózek z bliźniakami, spóźniona uczennica śpiesząca do szkoły za rogiem ulicy. Za następnym skrzyżowaniem otworzyły się przed nami dwa rzędy niewysokich kamieniczek – przetrwały wojnę, tak jak i stojące między nimi stare parterowe domy drewniane. Z naszej wsi, przedzierając się przez błoto dróg lokalnych i potem szosą powiatową dotarliśmy do Soki w pół godziny, a od miejscowej metropolii dzieliło nas jeszcze trzy kwadransy jazdy.

Władek nie wyruszał autem dalej niż do Soki; o zawiezenie do Białegostoku do córki poprosił mnie. Był to mój ulubiony sąsiad; chętnie się zgodziłem i właśnie byliśmy w drodze.

Alicja zachorowała w ubiegłym roku.

– Zobacz w internecie, co to za choroba – poprosił Władzio.

Wyszukałem w sieci opisy różnych odmian białaczki, a on wygrzebał z kieszeni karteczkę z nazwą.

– Niedobrze – powiedziałem. – Ale medycyna zrobiła postępy...

Teraz, po trzech chemiach, Alicja miała remisję – włosy jej odrosły, czuła się dobrze. W niedzielę mąż zawozi ją na Śląsk do kliniki na przeszczep szpiku.

Zaparkowałem. Wyjęliśmy z bagażnika torby pełne żywności z gospodarstwa i tak obładowani dotarliśmy na pierwsze piętro pobliskiego bloku. Usiedliśmy w większym pokoju. Przycupnąłem na sofie koło niskiego stołu; na drugim końcu siedziała Alicja, Władek na krześle. Pokój tchnął pustką i chłodem. Pod ścianą na stoliku stał wielki płaski telewizor, a nad nim w ścianie tkwił duży gwóźdź; widocznie wcześniej wisiał tam obraz.

Ojciec zamieniał z córką jedno czy dwa zdania, po czym zapadało kłopotliwe milczenie. Wyszedł na balkon zapalić papierosa; zagadnąłem Alicję o tutejsze rozległe podmiejskie osiedle bloków i o sposób uprawy storczyków. Opowiedziała o swoich kolorowych pociechach, zaraz wrócił

Władek i rozmowa potoczyła się rażniej. Po chwili przyszedł mąż Alicji i usiadł na drugim krześle. Brzuch miał jak kobieta w ciąży. Od piwa i tłustego jedzenia, pomyślałem. Ich chłopak był w szkole. Po południu wróci i będą w komplecie wyczekiwać niedzieli, kiedy to mąż powiezie żonę w nieznaną...

Władek i mężczyzna w ciąży jeszcze kilka razy wychodzili na balkon palić papierosy, a ja ciągnąłem blokowo-storczykową rozmowę.

– Ładnie pani włosy odrosły – ośmieliłem się zauważyć.

– Tak – potwierdziła. – Jestem zdrowa w tej chwili. Ale nie wiadomo, kiedy białaczka powróci. Może za pięć lat, a może za miesiąc...

Poszli we troje do kuchni, ja pozostałem na swojej pozycji na sofie.

– Masz tu na podróż – słyszałem przyciszone głosy. – A to na wydatki, na opiekę... – Mam, mam pieniądze, zabiłem świnie, sprzedałem trzy cielaki... – dochodziły do mnie strzępy rozmów. Rozmowa w kuchni ożywiła się. Potem wyszli do holu. Wstałem z sofy i podszedłem do wieszaka po kurtkę.

Władzio obejmował córkę i płakał. Łzy leciały mu ciurkiem, pociągał nosem. Tulił ją i całował po twarzy.

Doświadczył los tego twardego człowieka. Półtora roku temu w parku w Białymstoku zabito mu syna. Był celnikiem, a to zawód ryzykowny. Teraz choroba córki...

Wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy na drugi koniec osiedla. Mieszkała tu druga córka Władzia. Wokół było jeszcze bardziej pusto i smutno, tabliczki na domach nieczytelne, długo szukaliśmy właściwego bloku. Osiedle było nowym miejscem do życia dla bardzo wielu mieszkańców podlaskich wsi, którzy przenieśli się do wojewódzkiej metropolii. Betonowa wieś z asfaltowymi miedzami i zagonami trawników, na których pasą się kosiarki i psy – pomyślałem.

Wnieśliśmy na górę następne torby z mięsem i wiktuałami z władkowego gospodarstwa. Zasiadliśmy w niedużym pokoju obok łóżeczka rocznego dziecka. Tutaj nie odczuwało się pustki, raczej ciasnotę. Pod ścianą na stoliku stał telewizor, równie wielki jak w poprzednim mieszkaniu. Nadawano turecki serial współczesny, dźwięk był wyłączony.

Druga córka Władzia była zdrowa. To dziecko urodziła późno, przed czterdziestką; poprzednie już dorastały. Energiczna, rzeczowa, starsza córka formalnie władała gospodarstwem Władzia. Ojciec musiał się ziemi pozbyć, by dostać emeryturę. Czemu przepisał na nią, a nie na któregoś z synów?

Koło telewizora stały storczyki. Ale nie musiałem ratować rozmowy. Kobieta była rozmowna. Po zdawkowych uwagach zagłębiła się z ojcem w dyskusję o przyszłości gospodarstwa.

– Kuderko naprawdę chce wydzierżawić Kazimierskie?

– Udaje – odparł Władek. – Chce kupić.

– To spytaj go ostatecznie o dzierżawę. A jak nie, to niech idzie. Ziemi nie sprzedajemy!

– Pewnie, że nie.

– Ale ty Władziu nie możesz tak ciężko pracować – wtrąciłem się. – Przecież masz chore serce, a hektarów ze czterdzieści.

– Trzydzieści siedem z olszyną – sprecyzowała córka.

– Jeszcze tylko dwa lata – powiedział Władzio – dwa lata dopłat z pięciu, co się zobowiązałem. Jakbym podpisał dzierżawę, to zwrócić bym musiał za poprzednie trzy lata. Potem już na pewno wydzierżawi się komukolwiek na piśmie, oficjalnie.

– A Kazimierskie to który kawałek? – spytałem.

– Ten koło Morgana. Sześć hektarów tam jest – powiedział Władzio.

Dalej rozprawiali o ziemi. Gapilem się w telewizor. Akcja wyraźnie nabierała rumieńców. Piękna młoda kobieta rozmawiała w pokoju z blondynem, gdy brunet, główny bohater serialu, wtargnął z korytarza i walnął blondyna czołem w nos. Tamten upadł, wstał, coś tłumaczył i dostał jeszcze raz. Akcja przeniosła się na salę porodową. Umierała tam młoda matka, której nowonarodzone dziecko trzymała na rękach położna. Ktoś zawiadomił bruneta, który pobiegł korytarzami, wpadł na salę i bezgłośnie krzyczał i szlochał nad zmarłą.

– Nie sprzedamy! – powtórzyła z mocą córka Władzia.

– Zapalę – powiedział Władek i wyszedł na balkon.

– Jest kilku dawców dla Alicji – powiedziała starsza córka.

– Po co kilku?

– Jak jeden zachoruje czy coś mu się stanie, to biorą krew od następnego.

– Krew, a nie szpik?

– Dawniej pobierali szpik, teraz biorą od dawcy krew i jakoś ją przetwarzają.

Wracaliśmy. Władek musiał zdążyć na popołudniowe „uprawianie się”, jak w tych stronach nazywano obrządzanie zwierząt. Twarz jego była znów

bez wyrazu, jedynie lekko zamglone lecz bystre oczy zaświadczały o inteligencji i uczuciach trzymanych na wodzy.

– Jak tam twoja Urszula? – zapytałem.

– Uspokoiła się. A mówią, że ożeniłeś się z Rosą?

– Naprawdę? Gdzie to słyszałeś?

– Pod sklepem Gruszy.

– Nie widziałem Rosy od listopada, od ponad trzech miesięcy – odparłem. – Ona się nagle obraża i znika; wpada w depresję, nie odpowiada na telefony. Wozilem ją parę razy autem do banku koło sklepu Gruszy i stąd te plotki od miejscowych pijaków. A tego dnia, co ją ostatni raz widziałem, przyszła do mnie i mieliśmy jechać na targ. Do tego dnia było dobrze między nami. Przyszła godzinę za wcześnie, o szóstej, bo nie mogła spać. W depresji źle się sypia, człowiek jest taki napięty, rozproszony... Usiadła na krześle w kuchni, wierci się i pogania mnie. Mówię, że umówiliśmy się na siódmą. I żeby zdjęła kurtkę. Ona, że nie. Nawet czapki i rękawiczek nie ściągnęła. Ja sobie robię śniadanie, potem poszedłem się ogolić. Było dwadzieścia minut przed siódmą. Z łazienki słyszę trzask drzwi. Wybiegłem za nią. „Rosa, Rosa! Dokąd idziesz!” – krzyczę. A ona odwraca się i mówi: „Co ty sobie ze mnie jakąś kurwę na posyłki robisz?”. Poszła szybko do drogi i tyle ją do dzisiaj widziałem. A na Wigilię nie odebrała telefonu.

– Trudna jest – przyznał Władek. – Ale kochałeś ją.

– Kochałem. Lecz Bóg nakazał nam kochać również siebie. A co ja bym w takiej sytuacji zrobił związany ślubem?

– Przyjdzie jeszcze do ciebie – zawyrokował.

– Wiem, zawsze przychodzi, siada na progu, nie ma temu końca...

Pomyślałem, że Rosa i Władek są podobni. Oboje pełni uczuć, które tak fatalnie w nich zalegają. Oboje chudzi, bystrzy, pełni stłumionych marzeń i niespełnionych aspiracji. Może to oni byłiby najlepszą, właściwą parą? Zresztą przed laty, po śmierci żony, Władek oświadczył się Rosie, ale dała mu kosza.

– Kobieta jest niepewna – powiedział Władek.

– A co jest pewne?

– Ziemia!

– Na przykład Kazimierskie?

– Na przykład.

– Kiedy ten kawałek kupiłeś?

– Dawno. Chodzili z urzędu gminy i proponowali, żeby kupić te zaniedbane grunty po pegeerach. Niewielu chciało brać. Brakowało maszyn,

trudno było uprawić każdy dodatkowy hektar. Ja wtedy dokupiłem. A teraz się biją o każdy kawałek.

– Wprowadzono ustawę, że tylko rolnikowi można ziemię sprzedąć – powiedziałem. – Ale ustawę złagodzą albo ludzie znajdą sposoby, żeby ją omijać. Ziemię kupią Warszawiaczy tacy jak ja, tylko bogatsi. Założą stadniny koni, pola golfowe, wczasowiska. Ludzi będzie mało. Potem przyjdą Chińczycy i jak okiem sięgnąć będą pola uprawne i dom przy domu. A w basenie pod sosnami w Sz. nareszcie będzie się miał kto kąpać – zakończyłem.

Dojechaliśmy do Soki. Władek poprosił, żeby stanąć na parkingu za światłami.

Weszliśmy do smażalni kurczaków. Był to drewniany pawilonik przy głównej ulicy. Za oknem mknęły tiry ku granicy z Białorusią, ale wewnątrz było przytulnie i dość cicho. Dwa stoliki dla gości, witryna z piwem i napojami, za ladą dziewczyna, zapach smażonego drobiu. Władek zamówił wiaderko skrzydełek na wynos.

– Dobre miejsce – powiedziałem. – Przydałoby się takie w Sz.

– Kiedyś Waśka mechanik piwiarnię otworzył: goście zamawiali przeważnie jedno piwo, długo siedzieli przy stolikach i pili przyniesiony ze sobą alkohol. Powrócił Waśka do samochodów.

– Sz. jest zbyt małe. Chociaż ja koło szkoły bym coś takiego otworzył, na dwa stoliki, bez piwa. Gdybym miał z kim i byłbym o dwadzieścia lat młodszy.

– Pewnie, mógłbyś – zgodził się Władek.

Zajechaliśmy pod dom.

– Mijają nasze czasy – powiedziałem.

– Mijają – przyznał Władek. – Wstąpisz na skrzydełka?

Koniec

Jan Krzysztof Piasecki

Rafał Lasota

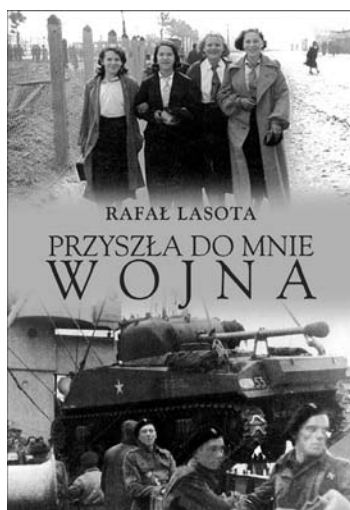
Przyszła do mnie wojna

(fragment)

Dwunastu apostołów

Mocz spływający po spodniach zamarzał na mrozie. Pasiasty materiał sztywniał i natychmiast przylegał do wyziębionego ciała. Lodowaty dotyk jak obmierzała ośmiornica piał się po siniejącym tułowi. Rozlewał się na piersiach. Zaciskał na szyi. Lodowe igły biegły coraz wyżej do chwili, kiedy dotknęły czubka ogolonej głowy. Mężczyzna kołysał się przez kilka sekund wśród śniegu i wiatru. Modlił się, aby stać się liściem zerwanym z drzewa. Wtedy wystarczyłby jeden podmuch, by unieść go w powietrze i rzucić daleko za stalowe ogrodzenie. Z przodu, z tyłu, wszędzie dokoła kołyszą się setki podobnych postaci. Tkwią nieruchome bez słowa. Zdają się być niezainteresowane życiem. Śnieg zakleja uszy, zwisa soplami na włosach. Stoją nieporuszeni, a jednak ciągle w ruchu. Rozkołysana latarnia oświetla plac apelowy obozu koncentracyjnego Stutthof. Światło niczym niesforne dziecko bawi się dwiema setkami cieni. Cienie rosną i maleją, nagle hyc... i na chwilę znikają w ciemności. Czterdziestogodzinne posągi wolno zastygają. Czasami któraś rzeźba wywraca się z łokotem. Rozrzuca ramiona i zastyga. Pięknie wypracowane oczy spowija biel. Jest cicho. Nikt się nie porusza. Wigilia. „Może kolędę, może kolędę, zanim zaśniesz, mój miły...” – nuci niewidzialna kobieta i zagląda w zamrażnięte twarze. „Jacy uparci tak stoją” – śpiewa pani w czarnej sukni i biega między ludźmi z numerami na rękach. Kolejny łokot. Tym razem rzeźba pada na twarz. Słyszać jak śnieg wymieszany z błotem łapczywie wpelza do ust. Rzeźba nie ma sił odwrócić się na plecy. Po chwili ona również zastyga. Pozostałe rzeźby stoją dalej. Są profesjonalne, na nie zawsze można liczyć. Żadna nawet nie drgnęła. Może niczego nie widzieli? Miarowy rytm butów wprowadza ożywienie. Letarg mija. Kolejne mrugnięcie powiek. Kilku esesmanów otwiera bramę. Na plac apelowy wtacza się ciężarówka. Strażnicy odwijają brezent. Wyciągają z pojazdu wielką zieloną choinkę. Opierają drzewko o ścianę budynku. Rzeźby ożywają, są zaciekawione. Czarna pani też wydaje się zainteresowana. Siada wygodnie na stężonym posągu ciekawa rozgrywającego się teatrum. Jakiś Niemiec niesie elektryczny kabel

z kilkoma żarówkami. Układa światełka na zielonych gałązkach. „Lulajże, Jezuniu, moja perełko...”. Oficer w długich skórzanych butach z uśmiechem patrzy na przedstawienie. Jest 24 grudnia 1944 roku. Zaraz zapłonie choinka, czas na prezenty. Słysząc miarowy krok niemieckiego plutonu. Oddział wchodzi na dziedziniec. Idą uroczyście upojeni chwilą. Każda z germańskich dwójek trzyma w ręku upominek zawinięty w szmaciany pokrowiec. Podchodzą do drzewka, zrywają opakowania. Układają pod choinką dwanaście rzeźb. Obrazy wykute dłonią mistrza Rafaela, a może Michała Anioła? Każda rzeźba w innej pozie. Jedne z dłońmi uniesionymi w niebo, jak gdyby w ostatnim geście składały jeszcze ofiarę, inne zawstydzone zasłaniają własną nagość. Artysta tak pięknie zaznaczył każdy detal: stopy, rozchylone usta, gładkie, alabastrowe dłonie... Leżą nieruchomo. Obejmują się. Przytulają. Czarna pani zrywa się z siedziska. Podbiega do śpiących i bezgłośnie szepce. „Radujmy się. Oto Pan nasz dwunastu apostołów zesłał na swoją wieczerzę”.*



* 22 grudnia 1944 roku z kompanii wychodzącej do pracy z obozu Stutthof uciekło dwunastu więźniów. Tego samego dnia niemieccy oprawcy ustawili na placu apelowym dwie kompanie więźniów. Skazańcy stali na śniegu i mrozie 48 godzin. Nikt z więźniów przez dwie doby nie miał prawa ruszyć się z miejsca. Ludzi umierających z wycieńczenia układano obok stojących szeregów. Wieczorem 24 grudnia 1944 r. Niemcy przywieźli do Stutthofu choinkę wyciętą z pobliskiego lasu. Zapalili lampki, a pod drzewkiem ułożyli zmasakrowane ciała wszystkich 12 zbiegłych więźniów.

Joanna Sendłak

Fano i filozofowie

(fragment¹)

Arystyp stał przy burcie, podobny do morskiego ptaka, elegancki płaszcz trzepotał na wietrze, wydawał się wyższy niż w Atenach, ostrzejszy i bardziej pewny siebie. Odwrócił się do Fano i szeroko uśmiechnął.

– Zaraz wypływamy, wieczorem dobijemy do Kyrkory. Sternik mówi, że dzień zapowiada się spokojnie. Mam nadzieję, że zna się na rzeczy. Prosiłaś Posejdona o pomyślne wiatry?

– Prosiłam o bezpieczną podróż – szepnęła Fano i odwróciła się, bo na pokład zaczęli wsiadać nowi podróżni. Wśród nich był kupiec handlujący bawełną, za którym szło kilku niewolników objuczonych ciężkimi kuframi, a też elegancki mężczyzna z nastoletnim synem i dziesięcioma niewolnikami. Tłum gęstniał i Fano musiała stanąć na rufie, gdzie wyznaczono miejsce dla służby. Arystyp przywitał się z kupcem i zamienił kilka zdań z elegantem.

– Nie wiedziałem, że taki jest tłok na statku do Syrakuz – powiedział i wyduł wargi.

– Dla ludzi interesów zajmowanie się importem i eksportem to podstawa dochodów. Dwór Dionizjosa jest niezwykle chłonny, kolejny raz wiozę skrzynie z siedmiołkciowymi chitonami z kosztownych amorgońskich tkanin, a wracam z materiałami utkanymi z sycylijskiego lnu. A pan czym się zajmuje? – spytał uprzejmie kupiec i wytarł spocone czoło wierzchem dłoni. Potoczył umęczonym wzrokiem po bezchmurnym niebie i westchnął znacząco.

– Jestem filozofem – powiedział Arystyp i wyprostował się.

Statek zadygotał i poruszył się, marynarze odwiązali cumy i wypchnęli kadłub na wodę. Wciągnięto białe żagle, które wypełnił wiatr i zaczęły płynąć.

– Ja nigdy nie miałem czasu na naukę, to strata energii – mruknął kupiec. – Zresztą niech pan powie, jaka jest różnica między człowiekiem wykształconym i niewykształconym, skoro każdy musi zarabiać na życie?

1 Joanna Sendłak, *Fano i filozofowie*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa, 2015.

Arystyp zmrużył oczy i uśmiechnął się łagodnie.

– Drogi panie, różnica jest zasadnicza, dokładnie taka sama, jak między koniem ujeżdżonym a nieujeżdżonym.

Po przeciwnej stronie burty ktoś zaśmiał się głośno.

– Oczywiście, ma pan rację! – wtrącił elegancki mężczyzna i mrugnął porozumiewawczo do Arystypa. – Ja podobnie jak pan dużo czasu poświęcam na naukę. Przeczytałem wszystkie dzieła sofistów i najnowsze dzieła dramatopisarzy. Regularnie chodzę do biblioteki i studiuję co najmniej pięć zwojów dziennie!

– Czy to nie przesada? – spytał Arystyp – obawiam się o pana. Niestety ludzie, którzy obficie jedzą nie są zdrowsi od ludzi jedzących tylko tyle, ile im potrzeba, tak samo nie są mądrzy ci, którzy dużo czytają, ale tacy, którzy czytają rzeczy użyteczne.

– Racja, racja – zachichotał kupiec i usiadł na jednym z kufrów wypchanych amorgońskimi tkaninami. Elegancki mężczyzna zrobił pogardliwą minę, a Arystyp odrzucił głowę do tyłu i ciągnął dalej.

– Uważam, że lepiej być żebrakiem niż nieukiem, bo pierwszemu brakuje tylko pieniędzy, a drugiemu człowieczeństwa!

– Coś podobnego! – parsknął kupiec i przywołał niewolnika, który wyjął wachlarz i zaczął chłodzić jego mokrą od potu twarz.

– Zresztą sami panowie mogą kiedyś sprawdzić czym różni się człowiek głupi od mądrego – rzucił Arystyp w przestrzeń, ale mężczyźni milczeli.

– Czym? – spytał po chwili syn eleganta i natychmiast zamilkł, spiorunowany zimnym wzrokiem ojca.

– Wystarczy obydwu rozebrać do naga i wysłać do kraju, w którym nikt ich nie zna, a się dowiedzie!

Chłopak zachichotał i natychmiast urwał. Spojrzał ponad głowę ojca i wskazał ciemną chmurę. Wiatr nasilił się. Statek zakołysał się i zatrzeszczał.

– Proszę zachować spokój – zawołał sternik tak głośno, że dźwięk dotarł do wszystkich. – Zbliży się burzowa chmura, proszę mocno trzymać się lin!

Twarc Arystypa stężała. Usiadł na kufrze i chwycił opasające burtę liny.

– Co się pan tak denerwuje, drogi panie – zagadnął kupiec – my, zwyyczajni ludzie, nie boimy się, a wy, filozofowie, tchórzycie?

– To dlatego, że nie jest równa wartość życia, o które walczymy – mruknął Arystyp i zamknął oczy. Tego, co się działo ze statkiem przez następną godzinę nie chciał pamiętać. Dopiero w porcie przyglądał brode

i dumnym krokiem wyszedł na ląd. Za nim dreptał okrągłobrzuchy kupiec i elegant, wszyscy milczący i niechętni do rozmowy. Fano biegła za nimi, błada i zmęczona morską chorobą, która wyrzuciła jej wnętrzności do góry nogami. Weszli do pierwszej gospody, jaką zobaczyli w porcie i spytali o wolne pokoje.

– Niewolnicy mogą spać w oborach po drugiej stronie podwórza, tylko proszę nie zaglądać do drewnutni, jest zajęta – powiedziała właścicielka i wskazała drewniane schody na piętro. Kupiec i elegant zniknęli, a Arystyp usiadł przy stole. Po całym dniu podróży czuł dotkliwy głód. Zjadł ze smakiem udko kuropatwy i talerz gotowanych warzyw, popił kilkoma szklankami rozcieńczonego wina i zaproponował Fano porcję placzków. Dziewczyna odmówiła. Przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch mężczyzn, którzy zakładali się o to, który z nich głębiej zanurkuje w portowym basenie.

– Czy zostanie pan świadkiem naszego zakładu? – zwrócili się do Arystypa.

– Nie wstydzicie się chępić umiejętnością, którą posiada każdy delfin? – spytał z pogardą i skinął na Fano. Sprężystym krokiem wbiegł na piętro. Dziewczyna szła za nim.

– Nie musisz iść do stajni, śpij w przedpokoju – powiedział Arystyp, upadł na łóżko i zachrapał. Fano rozłożyła na podłodze himation i zamknęła oczy. Na dziedzińcu ktoś grał na flecie, brzmienie instrumentu było piskliwe, ale dziwnie znajome. Usnęła, zanim wybrzmiał ostatni dźwięk.

Rano wyruszyli w dalszą drogę.

Joanna Sendłak

Zbigniew Zbikowski

Prawobrzeżny

Nigdy nie był po lewej stronie.

- By dziadek raz pojechał – namawiałem.
- A po co?
- Choćby PeKiN zobaczyć.
- Przecież widzę.
- Na Marszałkowską...
- Targowa gorsza?
- Teatr!
- Na Pradze jest i też nie chodzę.
- Trakt Królewski, Stare Miasto, Zamek...
- Widziałem od ZOO.
- To chociaż wnuki w domu odwiedzić – błagałem.
- Przyjeżdżają.
- A muzeum wojska?
- Sam robię za muzeum.

Umarł, a Wisły nie przejechał. Dopiero sztywnego przewieźliśmy go dwa razy. Tam Poniatowskim, z powrotem Gdańskim. Na Bródno. Żeby nie gadali, że warszawiak, a ani razu w Warszawie nie był.

Zbigniew Zbikowski

Willa Morena

(fragment) *

Garbata warszawa podjechała pod budynek Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Dorocinie w tumanie kurzu. Na poboczu szerokiej piaszczystej ulicy stało tam już kilka wozów konnych i jeden traktor, własność spółdzielni produkcyjnej – jak wynikało z koślawego napisu na osłonie silnika. Kierowca warszawy nie rozglądał się za wolnym miejscem. Stanął na środku jezdni, na wprost wejścia do budynku.

Irmina zamierzała wysiąść, lecz Giulio przytrzymał ją łagodnie za rękę. Puścił dopiero wtedy, gdy Antoni, wysiadłszy pierwszy, otworzył drzwi od jej strony, a kierowca od drugiej. Młodzi wyszli z samochodu jednocześnie. Na ten widok kilkudziesięcioosobowy tłumek zebrany przed budynkiem zaczął bić brawo. Rozległy się wivaty w kilku językach.

Kierowca zawrócił i pognął z powrotem do Moreny. Młoda para ruszyła ku wejściu. Do wyznaczonej godziny ślubu pozostało dziesięć minut. Irmina z Giuliem zatrzymali się. Natychmiast podeszła do nich Anka w towarzystwie kilku osób. Za nimi podążyli pozostali. Otoczyli ich półkołem.

– Pięknie wyglądacie – oceniła Anka tonem przewodniczącej, po czym przeszła do rzeczy. – To są towarzysze z redakcji – rzekła, wskazując dwóch młodzieńców, z których jeden trzymał notatnik, a drugi aparat fotograficzny. – Będą mieli do was parę pytań.

– Ja będę miał pytania, kolega robi tylko zdjęcia – wszedł jej w słowo wyższy z wysłanników redakcji. – Możemy teraz zaczynać, czy raczej po ślubie?

– Myślę, że raczej... może lepiej po... – bąknęła oszołomiona sytuacją Irmina, wzrokiem szukając wsparcia u Giulia.

Narzeczony, zajęty odpowiadaniem na wesołe zaczepki trzech włoskich kolegów, nie słuchał jej dość uważnie.

– Irma! – zawołał jeden z nich. – *Oggi tu sei la più bella!*

Irmina uśmiechnęła się promiennie.

– Co on powiedział? – zainteresował się reporter, przykładając zaraz ołówek do notesu, gotów notować każde usłyszane słowo.

* Fragment 5. tomu wielotomowej powieści przygotowywanej w wydawnictwie Edipress, która pojawi się w sprzedaży w 2018 r.

– Że Irma jest dziś najpiękniejsza – powiedział zza pleców siostry Antoni, rozumiejący coraz więcej włoskich słówek. – To chyba oczywiste. A pan młody... najprzystojniejszy – dodał i klepnął Giulia po ramieniu. – Czy nie?

– Co? – zdziwił się przyszły szwagier. – Antonio, co mówi?

– Mówię, że *tu sei il più bello* – przetłumaczył głośno Antek, wywołując entuzjazm wśród Włochów.

Anka zniknęła na moment, by przeprowadzić bliżej młodej pary jeszcze jedną osobę.

– Jurij? – zdziwiła się Irmina. – I ty tutaj? Cieszę się...

– *Uch, kakaja krasawica* – stwierdził Rosjanin, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Uściskał jej dłoń, po czym ucałował potrojn timer. Przywitał się też z Giulim. Irmina dostrzegła, że ściskając go, coś mu szepcze do ucha. Nie zdążyła jednak dopytać, co też mu szepnął, bo ciągle zjawiał się przy niej ktoś nowy z gratulacjami.

Pojawienie się Jurija zaktywizowało fotoreportera. Chwycił swój aparat i zaczął pstrykać zdjęcia, delikatnie acz zdecydowanie ustawiając ważne jego zdaniem osoby przodem do obiektywu.

– Wspaniały materiał – mruknął pod nosem. – Będzie bomba.

Nowy obłok kurzu na drodze zapowiedział zbliżanie się warszawy z rodzicami Irmy i Gianną na pokładzie. Kierowca przyhamował na piaszczystej nawierzchni, po czym wyskoczył ze swego miejsca, ale państwo Ludwigowie już wysiadali, nie czekając na otwarcie drzwi, pozostało mu więc towarzyszenie przy opuszczaniu pojazdu Giannie. Jej pojawienie się wywołało nowe okrzyki radości. Ona przeszła dumnie przed gapiami, jakby sama była gwiazdą tego południa, i przyłączyła się do brata Irminy.

– *Andiamo*, Antonio? – spytała.

– Z tobą, wszędzie – zadeklarował Antek i podał jej ramię. – Choćby do samego papieża w Rzymie – mruknął pod nosem, kierując głos w stronę siostry. – Zobacz, milicja nie próżnuje – dodał tak, żeby tylko ona go słyszała.

Irmina rozejrzała się.

W poniedziałkowe południe przybysze z Warszawy, którzy dotarli do Dorocina pociągiem, wzbudzili tak wielkie zainteresowanie mieszkańców miejsciny, że gapiów pojawiło się pod urzędem dwa razy więcej niż uczestników uroczystości. Co odważniejsi kręcili się między gośćmi, pozostali stali w oddaleniu, po drugiej stronie drogi. Tak liczne zgromadzenie pobudziło czujność władzy, która wysłała na obserwację aż dwóch

funkcjonariuszy, żeby zapanować nad niejednoznaczną sytuacją – widać milicja nie wiedziała, czy węszyć prowokację, czy wręcz przeciwnie. Irmina zobaczyła ich – stali spokojnie w pewnym oddaleniu od siebie, kilkadziesiąt metrów od wejścia.

– No co? – szepnęła do brata, wzruszając ramieniem. – Robią swoje, takie mają zadanie.

Kierowca warszawy podszedł do Antoniego i pożegnał się, tłumacząc pozostałym, że musi wracać do pracy. Antek zaprosił go na popołudnie do Moreny.

W tym momencie przed budynek wyszła pani Helenka. Szybko przebiegając nogami, podeszła do młodej pary i powiedziała głosem zdradzającym zniecierpliwienie:

– Długo mam czekać? Już po dwunastej. Inni petenci czekają.

– Już, już, idziemy, czekaliśmy na rodziców – usprawiedliwiła się Irmina i ruszyła z Giuliem za urzędniczką.

Ta zaś, jakby dopiero teraz zorientowała się w sytuacji, odwróciła się i oznajmiła:

– Ale wchodzą tylko państwo młodzi i świadkowie. Więcej osób się nie zmieści.

– A rodzice? – zapytała Irma zawiedziona.

– No, ewentualnie – zgodziła się pani Helenka i podniosła palec. – Ale nikt więcej.

– Zaraz, towarzyszek! – zaprotestowała Anka, na co urzędniczka spojrzała na nią spode łba. – Tu są jeszcze dziennikarze, też by chcieli wejść.

W panią Helenkę jakby piorun strzelił. Ujęła się pod boki.

– A dlaczego ja o tym nic nie wiem? – krzyknęła. – To chyba powinno się najpierw powiadomić przewodniczącego w tej sytuacji, jak chcą coś zapytać czy coś.

Dziennikarz z notesem wysunął się z tłumy.

– Jak będzie potrzeba, zapytam – oznajmił. – Najpierw muszę sam ślub opisać. Mogę wiedzieć, jak pani godność?

– Moja godność? – Zadziorna urzędniczka spłoszyła się. Wyprostowała się i wygładziła fałdy sukni. – Kubuś Helena, starszy referent. Możemy iść? Państwo młodzi pozwolą.

Pomaszerowała pierwsza, a za nią cztery pary: Irmina z Giuliem, Gianna z Antonim, Maria z Władysławem i dziennikarz z fotoreporterem.

W jej skromnym biurze wszyscy się nie pomieścili, toteż drzwi na korytarz zostawiono otwarte. Zaraz też zaczęły zaglądać przez nie przypadkowe

i nieprzypadkowe osoby z sąsiednich biur, ciekawe, jak wygląda zagraniczny narzeczony panny Ludwiżanki, co to bierze ślub w urzędzie, mimo że zapowiedzi w kościele żadnych nie było.

Pani Helenka wzięła najpierw do ręki dokumenty młodych i zaczęła spisywać z nich potrzebne dane, choć już cztery dni wcześniej, gdy je sprawdzała, jak miała przykazane, zanotowała je na kartce. Teraz jednak wypisywała akt ślubu i musiała posłużyć się oryginałami.

Nie skończyła jeszcze spisywania paszportu Giulia, gdy w korytarzu rozległ się hałas.

Ktoś ostrym głosem zarządził rozejście się, po czym do pokoiku biurowego wcisnął się nieznany osobnik.

– Obywatel Włoch to który to? – zapytał obcesowo.

– A o co się rozchodzi? – odezwała się urzędniczka.

– Niestety, obywatelko, musicie przerwać to, co robicie. Jestem z Urzędu Bezpieczeństwa i mam polecenie odprowadzić obywatela Włocha na przesłuchanie.

Pani Helenka struchlała. Reszta zaniemówiła. Pierwszy odezwał się Antoni. On jeden nie przejawiał strachu.

– Biernat was przysłał, co? – zapytał ze złośliwym uśmieszkiem.

Funkcjonariusz spojrział na niego ze złością.

– Nie wasza sprawa, obywatelu, nie wtrącajcie się – rzucił ostro. – Obywatel Włoch musi natychmiastowo pójść ze mną.

Irmina zasłoniła odruchowo Giulia obronnym gestem. On sam stał spokojnie. Gianna patrzyła na to, co się dzieje, szeroko otwartymi oczyma, niczego nie rozumiejąc. Giulio tłumaczył jej coś cicho po włosku. Maria wtuliła się w męża.

– Opanujcie się. Chcecie go aresztować na oczach prasy? – zapytał Antoni.

– Jakiej prasy? Kto tu jest z prasy? – zawołał tajniak. Gdy dziennikarze ujawnili się, powiedział do nich, unosząc palec: – Zabraniam o tym pisać, zrozumiano? I żadnych zdjęć. Wyjdźcie stąd i już.

Wysłannicy gazety przytaknęli bez słowa i się oddalili.

– Idź za nimi i powiedz Ance, wiesz, której, co się dzieje – rzekła Irma szeptem do brata. – Niech coś zaraz wymyśli.

Antoni natychmiast wymknął się cichcem z pokoju.

– Może najpierw dokończymy w spokoju ten akt – zaproponował Władysław, zamykając za nim drzwi. – A potem pan robi, co do pana należy. Trzy minuty.

– Proszę mnie nie pouczać! – warknął ubek. – Wiem, co mam robić. Żeby jeszcze nie musiał obywatel kiedyś dziękować, że nie doszło do najgorszego. Proszę o dokumenty tych obywateli – zwrócił się do urzędniczki.

Ta podała mu dowód osobisty Irminy i paszport Giulia. Funkcjonariusz popatrzył na zdjęcie w dokumencie opatrzonym godłem Republiki Włoskiej i rzekł:

– Czyli to obywatel, tak? – warknął, ale Giulio nie odpowiedział. – Obywatel włoski? – powtórzył ubek. Irmina milczała także. – Odpowiadać mi tu! – wrzasnął. – Mam obowiązek odwiedzić obywatela do Urzędu Bezpieczeństwa pod zarzutem uprawiania szpiegostwa na szkodę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

– No, to już jakaś kompletna bzdura – rzekł cicho Władysław do żony.

– Radzę liczyć się ze słowami – syknął ubek, który dosłyszał jego słowa.

– My o tym decydujemy, nie obywatel. Czy obywatel Włoch pójdzie sam, czy też użyjemy siły? – zapytał.

Giulio zrobił krok w jego kierunku, lecz Irmina rzuciła się narzeczonemu na szyję, gotowa użyć swojej własnej siły, by go zatrzymać. Z trudem powstrzymywała łzy. Giulio zawahał się. W tym momencie do pokoju wpadł Antoni, a za nim Anka z Jurijem.

– Wyjść, nie utrudniać! – krzyknął do nich ubek, ale oni ani myśleli go posłuchać.

– *Izwinicie, w ciom dzieła?* – zapytał łagodnie Jurij.

Funkcjonariusz, słysząc język rosyjski, zastygł w miejscu i stracił rezon.

– Wy... kto? – spytał niepewnie.

– *Ja, prosta... wasz drug... wot szto* – odparł spokojnie Jurij, patrząc mu prosto w oczy bez cienia lęku, a jego pewność siebie tylko wzmogła niepewność ubeka. – *Można s wami pagawarić minutoczku?*

Gestem zaproponował ubekowi wyjście na rozmowę na korytarz. Ten uniósł palec, żeby pogrozić zgromadzonym, co miało oznaczać, żeby nie podejmowali żadnych działań do jego powrotu, energicznie położył dokumenty młodych na barierce oddzielającej biurko od petentów i pewnym krokiem wyszedł z Jurijem za drzwi.

– Przyjechali czarną skodą – burknął Antoni ledwo słyszalnie. – A tamten, wiecie kto, ten nasz ubek, siedzi w samochodzie i czeka.

– Tadeusz – domyśliła się Irmina.

– Sam bał się tu przyjść, sukinsyn. Nic na Giulia nie mają, jemu chodzi tylko o to, żeby nie doszło do ślubu.

– Nie jestem pewna, czy nie mają – odparła siostra półgłosem.

– Że niby ten mandat z pociągu? Zapłaci się i już. Za to do pierdła nie wsadzą.

– Ba, żeby tylko o to chodziło...

– A co jeszcze?

– Eh, szkoda teraz o tym gadać. – Spojrzała najpierw na panią Halinkę, a następnie na lekko pobladłą z emocji Ankę stojącą przy drzwiach. – Dziękuję, Aniu. Nie wiesz, o czym oni mogą rozmawiać?

Anka wzruszyła ramionami. Ludwigowie zaczynali powoli rozumieć, że Jurij nie jest zwykłym delegatem na warszawski festiwal młodzieży, może nawet nie jest moskiewskim studentem. Kim był naprawdę? Irmina doszła do wniosku, że lepiej o to nie pytać.

Stali jeszcze chwilę w milczeniu. Irma czuła, że przeżywa chwilę prawdzi. Zerknęła niepewnie na Giulia, próbując wyczytać z jego oczu, co teraz sobie myśli. Mógłby przecież w złości rzucić wszystko w diabły, przerwać niekomfortową sytuację, dać sobie spokój z Irmą, z Polską, uciec, wyjechać i więcej się nie kontaktować. Mógłby się wściec, jako obcokrajowiec namyślać ubekowi i wszystkim wokół, ściągając przy tym na nich jeszcze większe kłopoty. Mógłby wreszcie zrzucić odpowiedzialność na Irmę, która i tak czuła się już winna, że go w tę aferę wpłatała. On jednak stał spokojnie, jakby próbował przeczekać pod drzewem gwałtowny deszcz, który za moment minie i sprawy potoczą się ustalonym torem. Ujął dłoń Irminy i ścisnął ją lekko.

– *Bene, tutto bene* – rzekł dla uspokojenia jej nerwów.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i przytuliła się. Wszystko dobrze? To jednak musi być miłość, uznała. Nie zostawi jej samej.

Pani Helenka siedziała za biurkiem i nerwowo obracała ołówek w dłoniach, rzucając jednocześnie urywane spojrzenia to na Irmę, to na Giulia.

– Ale się... narobiło – powiedziała wreszcie, chrząkając w połowie zdania. – Kto by pomyślał. I to u nas, w Dorocinie. Coś takiego. I towarzyszy przewodniczący nic o tym nie wie. Oj, się narobiło.

– To tylko nieporozumienie, pani Helenko – rzekła Irmina. – Zaraz się wyjaśni.

– Oby, panno Ludwig – odparła urzędniczka sucho. – Oby.

Na te słowa otworzyły się drzwi i stanął w nich dziwnie uśmiechnięty Jurij. Za nim pokazali się obaj dziennikarze. Ubeka z nimi nie było.

– *I wsio* – powiedział Rosjanin. Teraz on stał się najważniejszą osobą w pokoju. Oczy wszystkich skierowały się na niego. – *Nu szto?* – zapytał, udając zdziwienie. – *On uszoł, my tożе uchodzim, a wy astajocie* – rzekł,

po czym odwrócił się do Anki, wskazał jej otwarte drzwi i wyszedł z nią na zewnątrz.

– Znaczy że co? – rzuciła w przestrzeń przed sobą pytanie pani Helenka, nie wiedząc, co robić.

– Znaczy że kontynuujemy – zarządził Antoni. – Proszę pisać dalej. Nie widzę przeszkód. Ktoś zabrania?

– W takim razie proszę dokumenty świadków – powiedziała do niego oficjalnym tonem, kręcąc z niedowierzaniem głową, i przerzucając spojrzenie na Giannę, z trudem chwytającą tylko niektóre polskie słowa.

– *Documenti... si... prego* – rzekła do siebie i sięgnęła do małej torebki po paszport.

Urzędniczka zaczęła spisywać dane w zupełnej ciszy. Obaj dziennikarze wycofali się na ten moment, nie chcąc przeszkadzać. Pani Helenka skończyła pisać, zwróciła dokumenty i przebiegła wzrokiem swoje dzieło, by sprawdzić, czy nie ma gdzieś pomyłki. Następnie podała akt do podpisania.

– Najpierw państwo młodzi – poinformowała.

Pokazała palcem, gdzie Giulio i Irmina powinni złożyć autografy i podała im pióro umoczone w kałamarzu. Kiedy zaskrzypiała stalówka, najpierw w rękę Giulia, potem w drżącej dłoni Irminy, pani Helenka sięgnęła po bibułę. Przyłożyła do mokrych podpisów, a oderwawszy, rzekła:

– To teraz trzeba na panią mówić „pani Pavone”, panno Irmino... znaczy, pani...

– Jak pani zechce, pani Helenko – odrzekła Irma z uśmiechem. – Można i tak, i tak.

Czuła, jak powoli opuszcza ją napięcie.

– I już? – zdziwił się Giulio. – To wszystko? My... mamy... ślub?

– Może pan pocałować żonę – zażartowała pani Helenka. – Ale moment, jeszcze świadkowie muszą podpisać.

Giulio, nie czekając na nic, chwycił Irminę i mocno ją ścisnął, po czym gorąco ucałował. Ludwigowie przyglądali się tej scenie z sentymentalnym uśmiechem. Podeszli dwa kroki, żeby pogratulować córce i zięciowi, i przypomnieć, że to dopiero wstęp do prawdziwego ślubu.

W tym czasie Antoni zdążył złożyć swój podpis i podał pióro Giannie. Ledwo jednak dziewczyna pochyliła się nad dokumentem, drzwi po raz kolejny się otworzyły, tym razem najgwałtowniej, jak to było możliwe, i do pokoiku wpadł następny nieznanym mężczyzną. Od razu widać było, że nietutejszy. Nawet nie Polak. Jego nabłyszczane włosy opadały na tył

i bok głowy miękką falą. Miał na sobie lekki garnitur i rozpiętą pod szyją koszulę z wykładanym kołnierzem. Na palcu wyciągniętej ręki błysnął złoty sygnet. Jeden rzut oka spod ciemnych brwi wystarczył mu dla oceny sytuacji.

– Gianna, *no!* – krzyknął, nie zważając na nic i na nikogo. – *No! No!*

Przypadł do dziewczyny, wyrwał jej pióro, rzucił je na podłogę i z wściekłością w oczach przyskoczył do stojącego obok niej Antoniego. Nim ten zdążył otworzyć usta, grzmotnął go pięścią w szczękę, z miejsca powalając go na podłogę.

– Giovanni, *no!* – krzyknęła teraz przeraźliwie Gianna i zaczęła okładać przybysza pięściami po plecach, wyzywając go od imbecyli i idiotów.

On odwrócił się i miotając z oczu pioruny, chwycił ją za nadgarstki, wtedy ona uspokoiła się nieco. Giulio pomógł Antoniemu podnieść się, ale nie puszczał jego ręki, żeby świeżo upieczonemu szwagrowi nie przyszło do głowy oddać napastnikowi.

– Co to za pajac znowu? – zapytał osłupiały Antek, nastawiając sobie szczękę wolną ręką. – Od was?

Gianna nie przestawała krzyczeć po włosku z szybkością karabinu maszynowego. To przeproszała wszystkich za „tego idiotę”, to jemu wbijała do głowy, jakim jest kretynek. W końcu Giovanni zrozumiał, że Gianna nie wychodzi za męża, a mężczyzna, którego powalił jednym ciosem, nie jest jej narzeczonym. Pani Helenka zaś, powstrzymywana przez Irminę i jej ojca, zrezygnowała z wzywania milicji, co odruchowo chciała uczynić, widząc awanturę. Zerwała się nawet w tym celu z krzesła i ruszyła ku drzwiom, ale uproszona, by tego nie czynić, zawróciła.

Gdy pierwsza fala furii minęła, Gianna, ciągle zdenerwowana, zapytała, jak Giovanni tu się znalazł i skąd mu przyszło do głowy, że ona wychodzi za męża.

– Dom wariatów, czysty dom wariatów! – zawołała pani Helenka, zajmąwszy znowu miejsce za biurkiem. – Czegoś takiego w Dorocinie jeszcze nie było. Zagraniczny niby, a chuligan... lepszy od naszych. I zniszczył mi pióro.

Wstała raz jeszcze, by poszukać wzrokiem swego sponiewieranego narzędnika pracy.

– Odkupię pani – zaoferował się Władysław, który obserwował z Marią całe zajście, nie tracąc czujności.

Schylił się po pióro, podniósł je i podał urzędnicze. Ta obejrzała je uważnie.

– E, obsadka cała, tylko stalówkę złamał – oceniła. – Wymieni się. Ale wyjdźcie mi stąd wreszcie, bo ja mam jeszcze dziś kontrakcje do załatwienia, rolnicy już czekają na korytarzu. Dam tylko wypis o ślubie, bo pewnie dla księdza będzie wam potrzebny.

Giovanni nie słuchał, bo nic nie rozumiał. Nie odpowiadał na pytania Gianny, tylko patrzył na nią z ukosa. Zerkał też co chwila na Antoniego. Wreszcie wyciągnął do niego rękę na przeproszenie, ale młody Ludwig nie był skory do szybkiego wybaczenia. Udał, że jest zajęty rozmową z urzędniczką i nie dostrzega jego gestu.

– To później, pani Helenko, się załatwi, spokojnie. Ktoś od nas wpadnie, może Irma sama, albo z Giuliem – powiedział. – Dziś raczej nie będzie potrzebne. – Irma przytaknęła, a Antoni mówił dalej, wciąż rozcierając szczękę: – W takim razie wychodzimy.

– Nie, ja wolę od razu – oznajmiła pani Helenka i powróciła na swoje miejsce za biurkiem. – Zresztą, już prawie wypisany, trochę miałam przygotowany.

– A *ringi*? – zapytał zdziwiony Giulio. – Kiedy *ringi*?

Antoni wyjął z kieszeni małe pudełeczko z dwiema złotymi obrączkami.

– Macie – powiedział. – Władza ludowa nie dba o takie historyczne przeżytki – szepnął w ich kierunku. – Tu nie kościół. Włóżcie je sobie... gdzie chcecie.

Zbigniew Zbikowski

Przekłady Anny Bańkowskiej

Alan Seeger

Rendez-vous

Ze Śmiercią mam dziś rendez-vous
Na jakiejś spornej barykadzie,
Gdy Wiosnę słychać w szumie drzew
I kwiat jabłoni pachnie w sadzie –
Ze Śmiercią mam dziś rendez-vous,
Gdy Wiosna dni błękitem krasi.

Może Śmierć ujmie moją dłoń,
Wprowadzi cicho w mroczny ląd,
Zamknie mi oczy, oddech zgasi –
A może ją wyminę znów.
Ze Śmiercią mam dziś rendez-vous
Na wzgórzu zrytym gradem kul,
Gdy Wiosna już okrąży świat,
Na łące kwitnie pierwszy kwiat.

Bóg wie, że lepiej się zakopać
W pachnącym puchu wśród jedwabi,
Miłość w czarownym chłonać śnie
I puls przy pulsie, twarz przy twarzy
O czułych przebudzeniach marzyć...
Lecz mam ze Śmiercią rendez-vous
Wśród miasta płonącego łun,
Gdy Wiosna już z południa mknie...
I nie rzucałem na wiatr słów:
Stawię się na to rendez-vous.

Rupert Brooke

Menelaus i Helena

I

Poprzez Troi ruiny Menelaus wzburzony
Już pałacu Priama z mieczem w garści dopada;
Czas pomścić honor króla; na suce zdradzieckiej
Po latach się odegrać. Przez dym, krwawe jatki,
Szczęk broni, w ciszę odległych wtargnął korytarzy,
Gdzie w mroku drzwi tajemnej bieleją komnatki.
I machnął mieczem rażno. I wdarł się za próg
Gniazdeczka rozkosznego niczym gniewny bóg.

Tam Helena siedziała – sama, cicha, blada;
Nie pamiętał Menelaj, jak jest urodziwa
I jak łagodnym łukiem jej szyja opada...
I poczuł się zmęczony. I odrzucił miecz.
Stopy pani całował, z pochyloną głową
Witał ją jak cny rycerz swą prawą królową.

II

Tyle słowo poety. Jakże ma opisać
Trudy drogi do domu, długich lat pożycia?
Jak prawowite dzieci pani białolica
Rok po roku nosiła, aż się sekutnicą
Stała, uwiędłą z cnoty. Jak Menelaj dzielny
W gadatliwość popadał, o stu Trojach marzył,
Chrapiąc popołudniami. Heleny głos srebrny
Ostrzej brzmiał, bo król głuchnął. I byli już starzy.

Często duma Menelaj, po lichu na Troję
Szedł, czemu biedny Parys w jego życie wkroczył.
Ona płacze, bezradna, ma czerwone oczy,
A gdy kto mruknie: „Parys”, drżą starcze kolana.
Więc Menelaus zrzędził, płakała Helena,
Parys zaś nad Skamandrem spał spokojnie dalej.

Przełożyła Anna Bańkowska

Przekład Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Jan Anastáz Opasek OSB

Holenderski pejzaż

Stół krajobrazu
i świeczki drzew,
woda krzyżuje ziemię,
unoszą się ręce młynów,
a palce katedr
i wiejskie kościółki wzywają
do modlitwy dzień,
do którego przemawia morze

spokojne krowy
biało i czarno pstrzą się
na zielonym malunku,
deszcz żywi ziemię:
van Gogh uśmiecha się
swym wiecznym dziełem.

Jan Anastáz Opasek OSB (ur. 1913 Wiedeń – zm. 1999 Rohr) – ksiądz katolicki, arcyopat klasztoru benedyktynów na Brzewnowie w Pradze, za czasów komunizmu więzień polityczny zwany „opattem-chuliganem”, na emigracji w klasztorze benedyktynów w Rohr (Bawaria), duchowny, pisarz, działacz opozycji.

Przekłady Danuty Cirlić-Straszyńskiej

Nowe wiersze Lidii Dimkovskiej

Beze mnie

Jak automatyczne drzwi pociągu
zamknęło się moje życie.
na peronie zostali nieznajomi ludzie,
każdy z nich wiedział, komu macha.
W wagonach – walizki, wrzawa,
pasażerowie z nogami na siedzeniach,
jedno miejsce zarezerwowane, przy oknie,
ale zerkają na nie wszyscy z korytarza.
Z dała nadbiegała staruszka w czerni,
coraz to upadając w trawę,
na pociąg nie zdążyła.
Pociągnęłam za czerwoną rączkę.
obok mnie wyrósł konduktor.
popchnęłam drzwi i skoczyłam.
pociąg pisnął, przy oknach zawisły cienie.
Staruszki w czerni nigdzie nie było.
moje życie miało beze mnie.

List z więzienia

W więzieniu dozwolone są listy czterostronicowe
raz na cztery miesiące.
50 słów dziennie,
1500 miesięcznie. Dużo? Mało?
Nie bądź głupi, nie pisz o zażaleniach do sądu,
o posunięciach politycznych,

Lidija Dimkovska (ur. 1971), macedońska poetka, powieściopisarka i tłumaczka z języka rumuńskiego i słoweńskiego. Mieszka w Lublanie (Słowenia). Autorka sześciu tomów wierszy i dwóch powieści. W języku polskim ukazała się jej powieść *Ukryta kamera* (2010), a w konkursie Europejski Poeta Wolności (Gdańsk, 2015) tom wierszy „ph neutralna wobec życia i śmierci”.

o kalkulacjach finansowych,
 o rewelacjach wyznaniowych,
 aluzjach seksualnych,
 o tajnych szyfrach,
 nie wspominaj o broni i narkotykach,
 o pogrózkach, planach,
 ucieczkach i napadach.
 Dopóki tu jesteś,
 pisuj tylko listy miłosne.
 50 słów dziennie,
 1500 miesięcznie,
 1501 przez cztery miesiące
 po cztery strony –
 napisz im że kochasz wszystkich, to wystarczy.
 Kiedy stąd wyjdiesz
 to już nie nasza sprawa co będziesz mówił
 innym.

Powrót

Człowiek który wraca do rodzinnego miasta
 odwiedza muzea i galerie,
 przystaje przy ulicznych grajkach,
 zapala świece we wszystkich kościołach,
 kupuje książki krajowych pisarzy
 i płyty krajowych muzyków
 nowości ostatniego półroczu,
 osładza czas czekoladką z fabryki przed bankructwem,
 skręca na targ na którym dawno już nie był,
 z przyjaciółmi spotyka się na godzinę
 przed krajowym filmem albo spektaklem
 który ich nie interesuje.

biegiem przemierza rodzinne miasto
 w kilka dni, popijając wodą z butelki którą ma w torbie,
 kupuje ozdóbki magnetyczne i wisioriki do kluczy
 w stylu ludowym,

przysiada na wszystkich pozostałych ławkach
 z własnej przeszłości,
 skręca we wszystkie uliczki które się nie zmieniły,
 fotografuje nowe budynki jak narośle na nosie,
 mrucząc do siebie, niezrozumiale dla innych.
 człowiek który wraca do rodzinnego miasta
 pojmując że rodzinnego miasta już nie ma,
 że jest ono tylko w paszporcie,
Place of Birth, miejsce urodzenia, bez powrotu.

Interpunkcja życia

*Z tych którzy mnie nie pamiętają
 może powstać miasto*
 Josif Brodski „Posłowie”

Dom.
 Ojczyzna.
 Język.
 Rodowód.
 Pamięć osobista i zbiorowa.
 Archetypy.
 Atawizm.
 Bezwładność.

Ach, literówka.

Dom?
 „Ojczyzna”.
 Język!
 Rodowód;
 Pamięć osobista i zbiorowa...
 Archetypy –
 Atawizm.
 Beżładność.
 Reklamacja.

Z ludzi którzy mnie już nie pamiętają, Josifie,
 powstało nie jedno ale trzy miasta,
 lecz ich mieszkańcy pomarli albo wyjechali.
 Teraz spotykamy się przy okienkach dla migrantów
 do królestwa ziemskiego czy też niebieskiego.
 Cudzoziemiec dla cudzoziemca jest swojakiem,
 wszyscy razem wypełniają formularze
 podając sobie ten sam długopis.
 Tylko interpunkcję życia
 zasłaniając dłonią
 każdy sobie
 stawia sam.



G'oko Zdraveski

*w górze niebo
 w dole ciało*

dwa

wiem którą wybrać drogę
 wiem też co widzę
 kiedy zamykam oczy.
 i wiem jak czas zatrzymać.

wiem czym jest ranek
 a czym noc.

wiem jak wrócić stamtąd.

można powiedzieć,
 wiem wszystko

a żyję
 na opak.

dedikar ikaral

jak wytłumaczyć siebie
 sobie
 i innym
 jak wytłumaczyć wszystkie swoje
 wewnętrzne uwikłania
 dialektykę własnej istoty
 jak odnaleźć harmonię
 między tym co czarne a tym co białe
 między początkiem a końcem
 koła
 między pierwszym a ostatnim
 domem
 jak połączyć księżyc ze słońcem
 jak miasto zamienić w monastyr
 a swoje ciało w świątynię
 jak wyjść pomiędzy ludzi
 jak zostać z samym sobą
 spokojnym
 jak wytrzymać na wietrze
 cudzych słów
 cudzych spojrzeń
 na świat
 jak nie rzucić kamieniem
 jak przemilczeć

G'oko Zdraveski (ur. 1985 w Skopju), poeta macedoński, który na łamach „Podglądu” debiutował w numerze 2/2016 oryginalnym wierszem, w pewnym sensie autobiograficznym, pt. *nota o autorze*. Po ukończeniu studiów przez osiem lat pracował na Wydziale Filozoficznym uniwersytetu w Niszu (Serbia) jako lektor języka macedońskiego. Pisze poezję, krótkie prozy i eseje. Jest redaktorem pisma elektronicznego „Raper” i czynnie uczestniczy w życiu kulturalnym Skopja. Dotychczas wydał pięć tomików. Z ostatniego (2017) *dedikar ikaral* pochodzą prezentowane tu wiersze. Jego utwory ukazały się w kilku antologiach, a także na platformie Versopolis w Gdańsku, która publikuje i promuje wiersze młodych poetów europejskich poza granicami ich ojczystych krajów.

Tytuł *dedikar ikaral* zaczerpnął G'oko ze sztuki *Lot w miejscu* znanego również w Polsce dramaturga macedońskiego Gorana Stefanovskiego, według którego koncepcji Dedikar Ikaral był „jednym jedynym” człowiekiem. Urodził się ze skrzydłem u lewego ramienia i kulą u prawej nogi, a z tęsknoty za ciepłem i słońcem poleciał na południe, gdzie spadł na ziemię w Macedonii. Jak patrzy na tę postać G'oko Zdraveski, pokazują zamieszczone tu wiersze, a przede wszystkim poemat tytułowy.

najłatwiej
 machnąć ręką
 uśmiechnąć się
 jakbyś rozumiał wszystko
 siebie
 i świat
 w sobie
 i poza sobą
 wszystkie swoje lęki
 i zjawy senne
 wszystkie przepaście
 i wszystkie
 szczyty swoich gór

jak uspokoić morze
 rozpędzić chmury
 stać się pustym
 zupełnie pustym
 przejrzystym
 by przejrzeć siebie

* * *

nigdy dalej od siebie
 nigdy ciemniej. martwiej
 nigdy. nigdy okien
 tak zamazanych, nosa zatkanego.
 wody błotnistej, nigdy tyle
 zapachu ziemi. tyle zimna.
 tyle mgły w głowie. tyle drzemki.
 tak mało błękitu w piersiach.
 tyle zgnilizny. nigdy tak wiele
 ciała.

fragment

na nowo wcielony
 samobójca. gdy zamknę oczy,
 widzę ostatnią śmierć.
 wystrzeliłem pocisk

w niebo. przebiłem je.
upuściłem z niego wodę.
i w tej wodzie żyję
zatopiony, podwojony, czekam
żeby się urodzić.

*góra i człowiek
są jednym i tym samym:
ziemią, która chciałaby stać się niebem.*

białe na czarnym

Lidii Dimkovskiej

lotniska to całe miasta,
mają wszystko co trzeba. pieszych,
rowerzystów i kierowców.

twoją książkę przeczytałem wracając.
w jeden dzień. w ciągu trzech lotów.
znów zajrzę do niej po wylądowaniu.

wracałem z miasta gdzie wysławialiśmy
i opiewali wolność, ale nie mogłem
uniknąć kontroli paszportu
tylko dlatego że po przylocie
urzędnik zapomniał przystawić mi pieczęć.

w świecie granic
bez pieczęci jesteś nikim i niczym.

niektórzy są przejrzysti w świetle dnia,
do innych jest potrzebna lampa uv
ażeby ich przejrzeć.

czy stawia ktoś pieczęć
przed pierwszą granicą,
to chcę wiedzieć. czy istnieją gdzieś
dane o tym, skąd idziemy
i dokąd zdążamy wracając do domu,
to chcę wiedzieć. i jak wyglądają

tamtejsi urzędnicy? czy noszą
białe wyprasowane koszule? czy mają
w oczach podejrzliwość z powodu barwy
paszportu i pisma którego nie znają?
i czy uwierzą mi na słowo
jeżeli powiem że nie wierzę w światy
strażników i pieczęci, że wszędzie
tylko przejeżdżam i dokądkolwiek jadę,
zawsze zmierzam do domu?

*ostatni jestem, dlatego idę na końcu.
za mną pierwszy idzie.*

Przełożyła i notami opatrzyła Danuta Cirlić-Straszyńska

Przekłady Anny Dutki-Mańkowskiej

François Debluë

Orages

1

Pivoines chargées de larmes
– leur lourde tête courbée sous le vent

C'est que l'été est là
qui greffe aux branches ses tempêtes
bouscule les pendeloques
et crève les derniers bourgeons.

2

L'orage s'est éloigné
mais l'oiseau apeuré
(il appelle – tu l'entends)
blesse ses ailes
à la pierre sans issue
d'une obscure cheminée.

Burze

1

Piwonie przygięte od łez
– ich ciężka głowa skłania się na wietrze

Bo oto nadeszło lato
które na gałęziach szczepi burze
huśta wisiorkami liści
i rozcina ostatnie pąki.

2

Burza przeszła
 lecz wystraszony ptak
 (nawołuje – czy go słyszysz)
 rani skrzydła
 o kamienny mur
 w ciemnym kominie.

* * *

Dans la nuit légère
 voilà que surviennent
 froissées de bleu de lune et de vent
 les montagnes fragiles
 qu'un papillon vigilant
 soulève.

* * *

W leciutkiej nocy
 zbliżają się oto
 pofałdowane błękitem księżycy i wiatrem
 kruche góry
 które motyl czujnie
 podtrzymuje

Mémoire d'été

Déjà les feuilles s'anémient
 à l'extrémité des branches
 à la couronne des arbres

Déjà le froid revient
 au cri aigre des mouettes
 porteuses de givre bleu

Déjà la laine épaisse
a couvert les corps bruns
des femmes de septembre

Déjà les bateaux se sont endormis
Déjà les enfants de taisent
Déjà les longues nuits sont là

Et je n'ai toujours pas
inauguré ma vie.

Pamięć lata

Już liście bledną
na końcu gałęzi
w koronie drzew

Już powraca zimno
wraz ze skwirem mew
co niosą błękitny szron

Już gruba wełna
okryła opalone ciała
wrześniowych kobiet

Już statki usnęły
Już dzieci zamilkły
Już nadeszły długie noce

A ja wciąż jeszcze
nie zacząłem żyć.

* * *

A l'arbre noir
l'été a dérobé
jusqu'à ses feuilles

Jours sans pitié
Voleuse saison

Qui voudra maintenant
gravir
l'échelle abandonnée
entre des branches sans amour?

* * *

Czarnemu drzewu
lato skradło
nawet liście

Dni bezlitosne
Złodziejska pora roku

Któż teraz zechce
wspiąć się
po drabinie porzuconej
wśród gałęzi odartych z miłości?

François Debluë (ur. 1950) – szwajcarski poeta i prozaik, mieszka w Rivaz (w kantonie Vaud), wykładał w liceum i na Uniwersytecie w Lozannie. Jego twórczość poetycka obejmuje: *Travail du temps* (1985), *Judith et Holopherne* (1989), *Poèmes de la nuit venue* (1992), *Figures de la patience* (1998), *Les saisons d'Arlevin* (1999), *Demeures de l'ombre* (2000), *Naissance de la lumière* (2001), *L'arbre de lumière* (2002), *Le front aux vitres* (2008), *Par ailleurs* (2012), *Un vœu de silence* (2013), *Pour une part d'enfance* (2017), *Mater dolorosa* (2017).

François Debluë jest także autorem powieści *Fragments d'un homme ordinaire* (2012), opowiadań *Troubles fêtes* (1989) i *Courts traités du dévouement* (2004), kronik *Pour l'instant* (2002), prowadzonych przez trzydzieści lat zapisków *Lyrisme*

et dissonance (2015) poświęconych poezji, muzyce i malarstwu, a także rozważań *Conversation avec Rembrandt* (2006) stanowiących swoiste spotkanie z ulubionym malarzem z okazji czterechsetnej rocznicy jego urodzin.

Autor ten jest laureatem nagród im. Yvesa Chammaha (1986), im. Michela Dentana (1990) i dwukrotnie nagrody im. Schillera (w 1999 r. za tom poezji i prozy *Figures de la patience* wydany w 1998 oraz za całość twórczości w 2004 r.).

Jego wiersze ukazały się w przekładzie na język angielski, niemiecki, polski, chiński, armeński, rosyjski, hiszpański, chorwacki i arabski.

Wiersze pochodzą z tomu *Travail du temps* (I wyd. 1985, niniejsza wersja z tomu *Travail du Temps suivi de Judith et Holopherne et de Poèmes de la Nuit Venue*, Préface d'Alain Levêque, Lausanne, Editions Empreintes 1997), przekład za zgodą autora.

José-Flore Tappy

* * *

Perdue la place en terre battue
où couraient dans l'affolement
les poules

Perdu le gobelet de fer blanc
où tintaient
des cailloux

Perdus
le miel vanillé des œillets
et la mûre savoureuse

* * *

Przepadł placyk z ubitą ziemią
gdzie biegały wystraszone
kury

Przepadł cynowany kubek
w którym grzechotały

kamyki

Przepadły
miód z goździków pachnący wanilią
i pyszna jeżyna

* * *

Mais la lune vers la terre
parfois se tourne
de quel rivage
vient-elle
hublot de quel navire
de quel paquebot
à la dérive

On voudrait l'approcher
tendre vers elle un doigt
oser seulement
pousser sa vitre opaque

* * *

Ale księżyc ku ziemi
czasem się zwraca
z jakiego brzegu
przybywa
jakiego okrętu jest bulajem
jakiego statku
bez steru

Chciałoby się zbliżyć
wyciągnąć ku niemu palec
odważyć się tylko
pchnąć tę matową szybę

* * *

D'un jour à l'autre plus vide
ce lieu
plus inutile

rendu aux mousses
et au sorbier
aux griffes de l'air
contre la vitre

à son tour
le vent s'écarte
pour libérer la place

* * *

Z dnia na dzień pustoszeje
to miejsce
coraz bardziej zbędne

oddane mchom
i jarzębinie
szponom powietrza
atakującym szybę

potem
wiatr się usuwa
aby zwolnić miejsce

* * *

Tout en bas
tu le flattes de la main
le rassures

le vertige

qui se couche
à tes pieds

* * *

Schylony
głaszczech go
uspokajasz

ten zawrót głowy

co waruje
u twych stóp

* * *

J'écris les mains brûlées
assise sur un sac

j'écris nulle part
à distance de tout
et de moi-même
sans mesure
ni toit

j'écris contre l'oubli
des mots charbon
des mots de suie

on n'entend plus respirer l'herbe

* * *

Piszę poparzonymi dłońmi
Przysiadłszy na jakimś worku

piszę donikąd
z dala od wszystkiego
i od samej siebie
nie znającej miary
i bezdomnej

piszę przeciwko zapomnieniu
słowa z węgla
słowa z sadzy

już nie słysząc oddechu trawy

José-Flore Tappy (ur. 1954) jest poetką, tłumaczką z języków hiszpańskiego i niemieckiego, pracuje w Centre de recherches sur les lettres romandes w Lozannie. Opublikowała sześć tomów poezji: *Errer mortelle* (1983), *Pierre à feu* (1987), *Terre battue* (1995), *Lunaires* (2001), *Hangars* (2006) oraz *Tombeau* (2013).

Otrzymała nagrodę im. Ramuza w r. 1983 w dziedzinie poezji oraz nagrodę im. Schillera za tom *Hangars* (2006). Jej wiersze ukazały się w przekładzie na język angielski, polski, niemiecki i albański.

José-Flore Tappy opracowała do druku korespondencję Philippe’a Jaccotet z G. Roud (2002) i z G. Ungarettim (2008). Kierowała przygotowaniem dzieł Philippe’a Jaccotet dla Bibliothèque de la Pléiade (Gallimard, 2014).

Wiersze pochodzą z tomów *Terre Battue suivi de Lunaires*, Préface de Claire Jaquier, Moudon, Editions Empreintes, 2005; *Hangars*, Moudon, Editions Empreintes 2006. Przekład za zgodą autorki.

Przekłady i noty o autorach Anna Dutka-Mańkowska

Konrad Sutarski

O polskojęzycznej antologii poezji europejskiej na Węgrzech

Pod koniec ubiegłego roku wydana została w Sulechowie i Zielonej Górze antologia współczesnej poezji europejskiej *Zieleni się drzewo pokoju*, noszącej podtytuł *w intencji powszechnej zgody*, jako wspólna publikacja Sulechowskiego Domu Kultury im. Fryderyka Chopina i Oficyny Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Redakcji tomu dokonali: miejscowa redaktor Aleksandra Sołtysiak oraz – współdziałając z Budapesztu dzięki możliwościom, jakie stwarza poczta elektroniczna – ja.

Na zawartość tomu złożyły się teksty 60 poetów z 23 krajów europejskich. Każdy z autorów reprezentowany jest jednym utworem poetyckim – w języku oryginału oraz w przekładzie na język polski i angielski. Są to utwory wyłącznie znanych poetów żyjących. W trzech tylko – smutnych – przypadkach uczyniliśmy wyjątek od tak przyjętej zasady, kiedy to autorzy włączonych już do tomu znaczących wierszy zmarli w czasie prac nad zbiorem. Są to: Węgrzy Ferenc Juhász i Sándor Csoóri oraz Anglik Geoffrey Hill.

We wstępie redakcyjnym napisaliśmy między innymi:

Pióro poety wylawia z otaczającego go biegu zdarzeń momenty pozornie nieistotne w złożonej rzeczywistości i odkrywa ich szczególne znaczenie, nie tylko w chwilach przełomowych. Myśli odzwierciedlone słowami poezji, a będące wyrazem pozostających w ciągłym ruchu uczuć, głoszą częstokroć to, o czym inni ludzie milczą. Niejednokrotnie są wyraźnym protestem wobec czynów świata, co ma swoje źródło w szczególnej wrażliwości poety, wyrażonej w formie artystycznej. To rodzaj żywiołowej mowy, transu i modlitwy, jakkolwiek pod kontrolą intelektu, z wyraźnym aspektem poznawczym, z intuicyjną mocą jednoczesnego zawierania w sobie wizji zjawisk świata zewnętrznego i własnego wnętrza.

Tak jest i w niniejszej antologii, poświęconej idei ogólnoludzkiego porozumienia. Poeci nie milczą, natomiast empatycznie mierzą się z faktami – obrazami rzeczywistości i błędząc jak stendhalowskie zwierciadło po miesiącach zawieruch XX i XXI wieku, gdzie toczą się wojny i słychać lament ofiar, zawierając w wierszach odwieczną prawdę o człowieku, stają się sumieniem świata.

Jak dotychczas ukazało się w Polsce jeszcze niewiele recenzji tej książki, przekazując zatem jej ocenę, opublikowaną w bieżącym roku, w węgierskiej prasie kulturalnej („Magyar Napló”, Budapeszt, IX 2017), pióra znanego i w Polsce poety Gábora Zsille. Nosi ona tytuł *A világ lelkiismerete*, co w przekładzie na język polski oznacza „Sumienie świata”. Recenzję tę podaję w przekładzie moim.

Gábor Zsille – Sumienie świata

Pewien nieżyjący już węgierski liryk wyraził się kiedyś, że najbardziej ceni tych poetów, którzy „o literaturze myślą w kontekście europejskim”. Sformułował on nader dokładnie tę duchową potrzebę, którą i ja od dziesiątków lat uważam za istotną. Literatury narodowe żyją swoim własnym życiem, jednak łatwo mogłyby stawać się zmurszałe, bezpłodne, jeśli nie stykałyby się z umysłowymi prądami innych narodów, jeśli w miejsce otwierania się na cudze wartości i zapoznawania się z nimi, zajmowałyby się wyłącznie samymi sobą. Najpewniejszym zaś sposobem dokonywania importu zewnętrznych jakości, odświeżania i zapładniania własnej liryki jest przekład literacki.

Biorąc pod uwagę niniejsze względy, ze szczególną radością bierzemy do ręki, wielojęzyczną europejską antologię poetycką, która w redakcji Aleksandry Sołtysiak i Konrada Sutarskiego prezentuje dzieła współczesnych liryków, a ujrzała światło dzienne w ubiegłym roku dzięki dwom polskim miastom, Sulechowowi i Zielonej Górze oraz finansowemu wsparciu także osób prywatnych. Umieszczony na okładce polski i angielski tytuł brzmi po węgiersku *A béke fája kizöldül* (Zieleni się drzewo pokoju), a podtytuł głosi: *Európai költészet a világ harmóniájáért* (Poezja europejska w intencji powszechnej zgody).

Nie są to na pewno skromne założenia. Jednak w żadnym przypadku nie podejrzewamy jakiegoś naiwnego idealizmu, paczkowanego w truizmy rodzaju „oby każda armata w kwiat się zmieniła”. Nie ma też pacyfistycznych odezów, gorączkowych mów programowych, politycznych demonstracji. Chodzi o wiele szlachetniejsze (i ważniejsze) sprawy: sześćdziesięciu obywateli Rzeczypospolitej Literackiej zwraca się do nas w bratnim chórze na 280 stronach. Sześćdziesięciu poetów reprezentuje dwadzieścia trzy kraje – całej tej listy ze względów objętościowych nie wyszczególniam. Podobnie pomijam listę tłumaczy, która

jest jeszcze dłuższa. Wszak antologia składa się z wierszy w oryginałach narodowych oraz w przekładach na język polski i angielski.

Każdy wybór tekstów można dyskutować pod względem jego słuszności, przecież chcąc nie chcąc jest on subiektywny. Podobnie można byłoby zakwestionować antologię wierszy na przykład tylko węgierskich, takich jak *Wiersze roku* (to moje doświadczenie osobiste) – dlaczego znajduje się w nich akurat stu tych poetów, a nie stu innych? Tego rodzaju pytanie tym bardziej można odnieść do tomu, który czerpie nazwiska z całej liryki europejskiej, a więc nie spośród kilkuset, a z morza wielu tysięcy poetów. Co prawda zestaw ograniczony do liczby sześćdziesięciu poetów został w tym przypadku nakierowany na pojęcia naczelne takie jak: harmonia, pojednanie, ugoda, otwartość, zrozumienie. Ważną rolę w urzeczywistnianiu właśnie tych pojęć pełnią poeci, a ogólnie biorąc artyści – któż inny bowiem mógłby tego dokonywać, jeśli wielka polityka wciąż na nowo okazuje się niegodna spełniania funkcji, która należy właściwie do jej kompetencji. Dlatego redaktorzy, Sołtysiak i Sutarski, we wstępie do książki przytaczają słowa Immanuela Kanta, według którego „polityka powinna klękać przed moralnością”. W związku z tym odczuwamy słuszność tytułu wstępu: „Poezja sumieniem świata”. Wszystko to ważne jest dlatego, że i obecne wydarzenia polityczne, gospodarcze, społeczne nie przysparzają optymizmu.

W trakcie doboru materiałów do tomu każde z dwójki redaktorów posługiwało się głównie swoimi sieciami kontaktowymi. Nie podważając sprawy fachowości Aleksandry Sołtysiak, możemy przyjąć jako pewnik, że pierwszym skrzypkiem w tym duecie był Konrad Sutarski w oparciu o sześć dziesiątków lat spędzonych na literackiej niwie. Naturalnie dwie osoby nie mogą czuć się jednakowo swojsko w obrębie poezji wszystkich krajów europejskich, dlatego redaktorzy przyjęli także zewnętrzną pomoc specjalistów – na przykład ze strony węgierskiej wybór wspomagany był przez Jánosa Lackfię, Erzsébet Csicsery-Rónay, Györgya Gömöriego i László Lövetei Lázára. W rezultacie zestaw poetyckich nazwisk w antologii jest rzeczywiście wysokiej rangi, biorąc pod uwagę tak cenione na arenie międzynarodowej postacie, jak powiedzmy Belg Guy Goffette czy Rumun Mircea Dinescu, jakkolwiek niektórzy z autorów, jak Rosjanin Leonid Wołodarskij bądź Anglik Clive Wilmer, znaleźli się w antologicznym zbiorze być może również dzięki ich powiązaniom węgierskim. Polską lirykę reprezentuje

siedmioro twórców, spośród nich do ścisłej czołówki należą Urszula Kozioł i Krzysztof Karasek, podobnie jak przedstawiciel „pokolenia 68”, Bohdan Zadura, wieloma nićmi spleta się z węgierską kulturą. Węgierska liryka w tomie to pięcioro poetów: obok Sándora Csoóriego i Ferenc Juhásza jest w nim trójka poetów żyjących, Katalin Mezey, Sándor Kányádi i György Gömöri. Obecność tego ostatniego podyktowana została zapewne jego znaczeniem także dla literatury polskiej.

*

Uzupełniając wiadomości podane w węgierskiej recenzji warto wspomnieć przynajmniej jeszcze parę nazwisk znajdujących się w antologii poetów, chociażby Lionela Raya z Francji, Antonia Colinasa z Hiszpanii, Lidię Dimkowską z Macedonii, Jana Wagnera z Niemiec, Borisa Grebienzczikowa z Rosji, Ivana Strpkę ze Słowacji, Oksanę Łozową z Ukrainy, Cesare’a Vivianiego z Włoch. Z Polaków – oprócz wymienionych przez węgierskiego recenzenta – znajdują się także: mieszkający w Wielkiej Brytanii emigracyjny poeta Adam Czerniawski, Krystyna Rodowska, żyjący na Litwie Romuald Mieczkowski oraz ja (wierszem, którego dłuższa wersja *Drzewa mądrości* zamieszczona została w numerze 2/2015 „Podglądu”).

Kiedy w 2015 roku otrzymałem z Zielonej Góry zaproszenie do wzięcia udziału w przygotowaniu antologii i mając już za sobą kilka innych zredagowanych wyborów poetyckich, orientowałem się, że współpraca na odległość będzie bardziej uciążliwa aniżeli w przypadku bezpośredniego kontaktu osobistego, jednak współpraca z Aleksandrą Sołtysiak układała się w wymiennie. Po uzgodnieniu ogólnych zasad opracowania książki, podzieliśmy pracę między siebie w ten sposób, iż ona zajmowała się jednymi krajami, ja drugimi. Potrafiliśmy uzupełniać się świetnie.

Jeśli chodzi o samo meritum przyjętego zadania, nie przypuszczałem, że będzie to praca nad ewenementem niemającym w Polsce poprzedników, że antologia *Zieleni się drzewo pokoju* stanie się pierwszym polskojęzycznym wyborem współczesnej europejskiej poezji. Zestaw ten – pod względem liczby wierszy – jest ilościowo skromny, jakkolwiek dobrze prezentuje się od strony edytorskiej, a wygląda o tyle okazale, iż każdy wiersz zamieszczony został w trzech wersjach: w języku oryginału oraz po polsku i po angielsku, co wyraźnie powiększyło objętość tomu. Myślę, że warto byłoby pokusić się o sporządzenie nowego, bogatszego wyboru (może nawet

w takiej kuźni literackich przekładów, jak „Literatura na Świecie”), ewentualnie nawet bez zawartej w podtytule sugestii, aby odbyło się to „w intencji powszechnej zgody”, bo przecież takiej zgody i tak pragnie każdy zdrowo myślący człowiek.

Aby przedstawiana poezja nie pozostała jedynie zewnętrznym opisem, dołączam cztery wiersze: dwa w moim przekładzie, jeden w tłumaczeniu Krystyny Rodowskiej, stanowiącej nasze świetne wsparcie w zakresie poezji francuskiej i hiszpańskiej (podobnie jak na przykład współpraca w zakresie poezji czeskiej i słowackiej ze strony bielszczańskiego poety Franciszka Nastulczyka). Czwarty wiersz stanowi wynik translatorskiej interpretacji Pauliny Korzeniewskiej.

Lionel Ray (ur. 1935, Francja)

* * *

Miastem pełnym echa jest moja pamięć
ulicznymi skrzyżowaniami słupami rzeźbami
o rozbitych głowach o rękach od mchu szerniałych
w oknach wystawowych chleby w rzędach
jak śpiący żołnierze
bądź łóżka bądź buty bądź stroje
czekają.

Miasto to dawno wystygła gwiazda bezwiednie
z kamieni powstała róża nieruchoma
róża podróżna. To moja pamięć.
Idę mechanizmem zegarowym ulic otwieram
okna pierwotnej przeszłości
Wiatr wieje w tym moim mieście
rozsiewając liście drzewa śmieci
drżące zapachy co widmami są
naszych wewnętrznych odruchów ciemniejące pyły
naszych czasów liczby litery dźwięki
głosy żyjących tutaj i moje które
spotykają się z nimi zerkają na siebie i
pozdrowiają się nieraz.

Tłum. Konrad Sutarski

Antonio Colinas (ur. 1946, Hiszpania)

Z głową bogini w dłoniach

Z ciemnej gliny ulepiono ci twarz,
w której zastygł bieg czasu.
Być człowiekiem czy bogiem, co za różnica;
to tylko garść zwilgotniałej ziemi,
której pradawne słońce nadało twardość,
piękno śmiertelne i dojrzałe światło.
Ale wszystko, czym była owa głowa,
jakże krucha, patrząca poprzez wieki,
przez niezliczone śmierci, głowa co w moich dłoniach
dziś spoczywa, staje się ulotną wiecznością.
W jej śniadym obliczu noc zapada,
na wargach błyszczy gęste światło zmierzchu
I znowu o dzień jest krótsze nasze życie.
Niepojętą tajemnicą jest widzieć,
jak jej ciało karmi się wiekami,
podczas gdy nasze przestaje być młode.
Tajemnica dwóch kawałków gliny: z tej samej
wyszły studni, ten sam żar je trawił.
Ale tylko jednemu z nich przyznała Sztuka
rangę boskiej istoty,
i tylko ten jeden nie będzie śmiertelny.

Tłum. Krystyna Rodowska

Geoffrey Hill (1932-2017, Wielka Brytania)

Tristia: 1891-1938

Pożegnanie Osipa Mandelsztama

Przyjacielu trudny, wołałbym, by to oni,
nie ty. Umarli kurczowo trzymają się minionych lat,

A ja znów przychodzę zbyt późno. Zbyt późno
Na salwy, kurzawy i nachalny płacz.

Obrazy górują nad pustkowieciem.
Spójrz... na równinie już tylko ruiny...
Mężczyźni z rozżaleniem spoglądają na swoje dłonie;
Inni szukają jedzenia na przydrożnym polu.

Tragedia nie oszczędziła nikogo.
Nas już nie dotknie, ale wciąż tam jest –
Doskonała, nienasycona – ciężkie, letnie niebo
Biesiaduje nad tym wszystkim, dosięga własnego kresu.

Tłum. Paulina Korzeniewska

Ferenc Juhász (1925-2016, Węgry)

Wspomnienie obrazu z krwawiącą twarzą

(Emlékezés egy vérző arcú képre)

patrząc na obraz László Mednyánszkyego „Ranny”

Żółcie, żółcie, żółcie, żółcie, żółcie:
czyste i zaszargane, gnijące i pełne skowytu, śmiertelne tchnienia,
fermentujące
mięszmem smażonych dyń, podobne do głów papuzich, udające zakrzepły
ludzki tłuszcz,
kradzione z plastrów zawilców, obco-żółcie, jak złote zęby w gwiaździsście
rozdziawionych gębach praczek, jak białka oczu żołnierzy o torsach
podziurawionych seriami
z pistoletu, jak gotowane gęsie łapy, jak skóra na brzuchach żab zaklinanych
w studniach,
jak rozsmazane gliny, jak rozprute chwile, żółte jak barwa
wybuchu, jak gardła kaczeńców i żółcie, żółcie, żółcie, oleisto błyszczące,
głębokie do środka głębiny, gdyż za pierwszą żółcią nowe żółcie wzbierają i

oleją się ku powierzchni, a tyle żółci warstwi się na sobie wzajemnie, opadłe
 listowie farb, że to już krew: i w tej żółtej, krwistej galarecie żołnierz
 siedzi, jedno ramię lekko podciągając, ramię obwiązane płachtą,
 jak zimą krzak róży, jest tu osadzony szloch Endre Adyego. Stary chłop,
 lecz tu
 pieśń już nie szumi, nie huczy, nie rozprzestrzenia się, tu jest tylko posoka,
 wydzielina żółci,
 poniewierka, samotność, nędza, cisza dzika, nie do wytrzymania, tu nikt
 nie śpiewa,
 lecz nikt też nie jęczy, jest tylko oskarżenie. Oskarża mój dziad; na głowie
 ma czako
 żołnierskie, kwieciste, z guzami. Wąs spłóśniały ścieka mu na rdzę
 kaczanów,
 nań mroźny strzęp oddechu. (Kometa podążyła tam, by odpocząć!)
 Na zewnątrz to nie zbawiona, lecz w sercu odkupiona już ludzkość.

Tłum. *Konrad Sutarski*

Przypisy

László Mednyánszky (1852-1919) – świetny malarz węgierski.

Endre Ady (1877-1919) – jeden z największych węgierskich poetów i myślicieli.

Alicja Patey-Grabowska

Motyl

Dwie linijki w ciup
subtelnie
pyłek z kwiatów

Już zapomniał
że
nie takich aromatów
kosztował
gdy był
prozaiczną
kosmatą
gąsienicą

Kleszcz

Zdolność mimikry
zespoleń z ciałem
przystosowanie
do okoliczności
(bo kleszcz ma także barwę Anioła)

Życiorys

Młody – aby Kimś
Gdy Kimś – aby Coś
Gdy Coś –
Starość dojrzewa

Kanibalizm

w świetle nauki

Zjadł myśli Iksa
Zjadł myśli Igreka
w jego RNA IKS IGREK
sam zanikł
do Zera

Małgorzata Karolina Piekarska

Matki

Scenariusz filmu fabularnego

(fragment)

ZAMOŚĆ. ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY. WNĘTRZE. SIERPIEŃ 1939

Biedny zakład fotograficzny. Mało rekwizytów. ZOFIA (35) JAN (40) TCHÓRZOWIE pozują do zdjęcia. Wraz z nimi córki STEFANIA (9) i WALERKA (11) oraz synowie TADZIO (3) i BOLESŁAW (5). Zofia siedzi i trzyma na kolanach najmłodszego z synów. Starszy syn stoi pomiędzy małżonkami. Córki stoją po bokach. FOTOGRAF (50) ustawia kadr. Poprawia rodzinę. Palcem pokazuje na obiektyw aparatu.

FOTOGRAF

Tu patrzemy! Uśmiech!

WARSZAWA. ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

JANINA ADAMSKA (35) wraz z synem EDZIEM (4). Do zdjęcia w luksusowym atelier pozuje tylko chłopiec. W ręku trzyma pluszowego misia. Janina poprawia mu włosy i ubranko.

JANINA

Edziu, uśmiechnij się.

WARSZAWA. PODWÓRKO PRZED DOMEM JANINY I BRONISŁAWA. PLENER. WRZESIEŃ 1939.

Janina biegnie wśród huku bomb w kierunku klatki schodowej. Za rękę trzyma Edzia, który w drugim ręku ściska swojego pluszowego misia. Huk. Janina pada. Z głowy cieknie jej krew. Edzio stoi na środku, płacze.

EDZIO

(zanosząc się od płaczu)

Maaaama!

Podchodzi do niego KOBIETA. Nie widzimy jej twarzy, nie wiemy, ile ma lat. Pochyla się nad Janiną. Potem nad malcem. Cały czas nie widzimy jej twarzy.

KOBIETA

(do malca)

Nie żyje. Chodź ze mną.

Wokół spadają bomby. Kobieta bierze wyjącego chłopca za rękę i ciągnie ze sobą. Ten idzie, ale ociągając się i płacząc. Ogląda się w kierunku leżącej na ziemi Janiny. W pobliżu znów spada kolejna bomba.

WARSZAWA. KOSTNICA. WNĘTRZE.

BRONISŁAW ADAMSKI (40) ogląda uważnie leżące w środku ciała. Kręci przecząco głową.

WARSZAWA. SZPITAL. WNĘTRZE.

Janina z obandażowaną głową leży na szpitalnym łóżku. Przy niej Bronisław. Trzyma ją za rękę.

BRONISŁAW

Nigdzie nie znalazłem ciała Edzia.

JANINA

(z ulgą)

To znaczy, że żyje!

BRONISŁAW

Będziemy go szukać.

WARSZAWA. DOM DZIECKA. WNĘTRZE. SEKWENCJA SCEN.

Janina z Bronisławem rozglądają się po sali. Pokazują zdjęcie Edzia pielęgniарce. Ta kręci przecząco głową. Sytuacja powtarza się w kilku podobnych miejscach. Zmieniają się tylko pielęgniarki.

CHOMĘCISKA MAŁE. CHATA ZOFII. IZBA SYPIALNA. WNĘTRZE. STYCZEŃ 1941.

Wnętrze drewnianej chłopskiej chaty. Łóżko, skrzynia, stara szafa. Na ścianie obraz z Jezusem. Obok fotografia zrobiona w zamojskim zakładzie. Obok łóżka stoi nocny stolik. Na nim gliniany kubek z wodą. Na łóżku

leży Zofia (35) i rodzi dziecko. Pomagają jej AKUSZERKA (50) i sąsiadka ANNA (36). Zofia rodzi w milczeniu. Widać tylko pot na czole.

AKUSZERKA
(*Ścisząc głos*)

Jeszcze trochę.

Sąsiadka przeciera twarz Zofii mokrą szmatką.

ANNA

Zosiu, dasz radę. Janek zaraz wróci. Będzie miał niespodziankę.

CHOMĘCISKA MAŁE. CHATA ZOFII. IZBA KUCHENNA. WNĘTRZE.

Czworo ciemnowłosych, pyzatyh dzieci. Tadzio i Bolek siedzą na podłodze pod stołem i bawią się figurkami wystruganymi z drzewa. Stefania obiera ziemniaki. Walerka podkłada drewno pod kuchnię węglową. Patrzy przez oszronione okno na padający śnieg. Co chwilę kładąc palec na ustach, ucisza dokazujących chłopców. Nagle za drzwiami sypialni rodziców rozlega się płacz dziecka. Stefania z wrażenia kaleczy się nożem w rękę. Obie dziewczynki dobiegają do drzwi i przykładają uszy, nasłuchując. Po chwili obie starają się zajrzeć do wnętrza izby przez dziurkę od klucza. Przepychają się. Wygrywa Walerka. Kładzie palec na ustach nakazując ciszę. Spogląda przez dziurkę od klucza. Widzi ręce akuszerki podnoszące do góry płaczące dziecko. Szeptem mówi do reszty:

WALERKA

Jest! Chyba chłopak.

W tym momencie zza okna dobiega szczekanie psa i rżenie konia. Znak, że ktoś nadjechał wozem. Walerka odskakuje od drzwi i podbiega do okna, krzycząc radośnie:

WALERKA

Tato!

Przez okno widać podwórko ze studnią, a także budynek gospodarczy, który jest i oborą, i stodołą. Budynek jest spory. O wiele większy niż chałupa, w której mieszka rodzina. Widać, że jeszcze nie tak dawno powodziło im się całkiem nieźle, ale teraz jest trochę gorzej. Zbita szybka w oborze nie jest wstawiona tylko okno zostało załatane deską. Po podwórku biegają kury.

Walerka wygląda przez okno i nagle nieruchomieje. Wyraz jej twarzy zmienia się. Spostrzega, że ojciec nie siedzi na koźle, ale spadł z niego i leży oparty o przyprószony śniegiem węgiel. Ma otwarte oczy. Na piersiach widoczna ogromna plama krwi. Najwyraźniej koń sam przywiózł trupa.

STARY ZAMOŚĆ. CMENTARZ. PLENER.

Pogrzeb męża Zofii. Pochmurny dzień. Wzmaga się wiatr. Ksiądz pośpiesznie odmawia modlitwę starając sobie poradzić z wiatrem zatykającym usta.

KSIĄDZ

Wieczny odpoczynek racz mu dać panie... A światłość wiekuista niechaj mu świeci.

Zapłakana Zofia stoi nad grobem trzymając w ręku becik ze szczelnie opatulonym dzieckiem i próbuje powtarzać za księdzem słowa modlitwy. Obok pozostała czwórka dzieci. Najmłodszy Tadeusz milczy. Starsze jakby bezmyślnie powtarzają za księdzem słowa. Walerka i Stefcia bezgłośnie płaczą. Ksiądz kończy modlitwę. Błogosławi wszystkich. Kropi kropidłem.

KSIĄDZ

Niech was błogosławi Bóg wszechmogący: Ojciec i Syn, i Duch Święty.

Ksiądz podchodzi do Zofii i wręcza jej święty obrazek. Zofia całuje księdza w rękę. Po niej do księdza podchodzą pozostałe dzieci i również całują go w rękę. Ksiądz też im wręcza obrazki. Odchodzi. Do Zofii przyciskającej do piersi becik z dzieckiem podchodzą sąsiadki: BARBARA (35) i HELENA (37).

BARBARA

Jakby drewna trza było narąbać, to Kazeł przyjdzie.

Druga kobieta podaje Zofii zawiniątko.

HELENA

To po moim najmłodszym. Nada się.

Kobieta pochyła się nad becikiem. Uśmiecha się na widok twarzy dziecka.

HELENA

Jakie ma imię?

ZOFIA

(szepciem)

Po ojcu.

Zofia i dzieci zostają sami przy grobie. Zaczyna padać śnieg. Na krzyżu nagrobnym tabliczka, na niej napisane niewprawnym charakterem pisma: „Jan Tchórz. Żył lat 37. Zm. 10 stycznia 1941”.

WARSZAWA. MIESZKANIE JANINY I BRONISŁAWA. WNĘTRZE.

Janina i Bronisław mieszkają na ostatnim piętrze eleganckiego bloku w wysokim mansardowym mieszkaniu. To dość zamożny dom. Eleganckie meble, na ścianach obrazy i portrety obojga małżonków. W salonie dywan, w przestronnej kuchni rzeźbiony kredens. (Bronisław jest inżynierem-elektrykiem). W jego gabinecie na biurku plik rozrzuconych listów z nadrukiem „Polski Czerwony Krzyż”. Oraz kupka takich samych zdjęć przedstawiających Edzia. Janina czyta jeden list na głos:

JANINA

„Polski Czerwony Krzyż oddział w Krakowie zawiadamia, że nie znane są losy Edwarda Adamskiego, zaginionego w Warszawie we wrześniu 1939 roku”.

(do Bronisława)

Trzeba jeszcze raz do nich napisać i wysłać zdjęcie.

Bronisław kiwa głową. Stuka w maszynę do pisania. Widzimy początek listu, który brzmi: „Zwracam się z uprzejmym pytaniem, czy chłopiec z załączonej fotografii...”.

CHOMĘCISKA MAŁE. CHATA ZOFII. WNĘTRZE. GRUDZIEŃ 1942.

Starsze dzieci siedzą przy kuchennym stole i robią ze słomy ozdoby choinkowe. Dwuletni Janek siedzi pod stołem i bawi się drewnianym konikiem na kółkach. Zofia gotuje mleko. Po chwili nalewa dzieciom mleka i podaje kubki.

ZOFIA

Do łóżek.

Zofia otwiera drzwi do sieni, w której leży pies. Stawia przed nim niewielką miskę z resztką mleka.

ZOFIA

Na!

Pies łapczywie pije. Po chwili Zofia zabiera pustą miskę, otwiera drzwi na dwór i wypycha psa.

ZOFIA

Idź! Pilnuj domu!

Zofia zamyka drzwi.

CHOMEŃCISKA MAŁE. CHATA ZOFII. WNĘTRZE. PÓŹNIEJ.

Czwórka dzieci już śpi. Tylko najstarsza córka Walerka krząta się jeszcze po kuchni. Wyciera kubeczki. Przetawia na okno koszyczek z choinkowymi ozdobami ze słomy. Do chaty wchodzi Zofia. Na rękach ma szczapy porąbanego drewna. W węglarce węgiel. Zofia przez chwilę tupie w sieni, by otrzepać buty ze śniegu.

WALERKA

Czy mama słyszała?

ZOFIA

Co?

WALERKA

Coś jakby strzał. Chyba Niemcy idą.

Obie patrzą na siebie. Po chwili słuchać drugi strzał.

ZOFIA

Zacięłam kurę. Jak idą, to nie wiem, czy dam radę jeszcze sprawić.

Nagle za oknem zaczyna szczekać pies, potem słysząc strzał, krótki psi skowyt i gwałtowne, brutalne łomotanie do drzwi. Słysząc głos mówiący po niemiecku.

OFICER NIEMIECKI

Aufschlagen! Schneller!

TŁUMACZ

Otwieracz. Szybko.

Zofia żegna się krzyżem i podchodzi do drzwi. Jest przestraszona. Do chaty szybkim krokiem wkraczają Niemcy: oficer, tłumacz i dwóch żołnierzy. Rozglądają się po chacie. Zaglądają do garnków.

OFICER NIEMIECKI

Heraus da! Sie haben nur halb Uhr!

Zofia jest przerażona. Nic nie rozumie. Trzęsą jej się ręce. Próbuje jeszcze raz się przeżegnać. Jeden z Niemców popycha ją w głąb chaty, krzycząc:

ŻOŁNIERZ PIERWSZY

Schneller! Schneller!

TŁUMACZ

Zbieracz sze. Macze pół godziny.

Zofia patrzy przerażona. Tłumacz pokazuje palcem na zegarek.

TŁUMACZ

Pół godziny. Budźycz dżeczy.

Jeden z Niemców z hukiem otwiera drzwi do sypialni.

ŻOŁNIERZ DRUGI

(krzyczy)

Aufstehen!

Dzieci budzą się. Są przerażone. Najmłodszy Janek zaczyna płakać. Zofia wbiega do pokoju. Podchodzi do łóżeczka. Bierze Janka na ręce i tuli starając się go uspokoić.

ZOFIA

(drżącym głosem)

Cichutko. Musimy wstawać.

JANEK

(zaspanym głosem)

Mama ja ne! Mama ja ne! Lulu!

ŻOŁNIERZ DRUGI

(krzyczy)

Halt's Maul!

Żołnierz podstawia Jankowi pięść pod nos. Zofia zakrywa dziecko własnym ciałem. Mały jeszcze bardziej zanosi się płaczem. Oficer Niemiecki łapie żołnierza za rękę.

OFICER NIEMIECKI

Nein. Sie haben halb uhr!

(*znieczierpliwiony do dziecka*)

Sei still!

Oficer podchodzi do kuchni i palcem pokazuje kubeczek.

OFICER NIEMIECKI

Top. Für kleine.

TŁUMACZ

Bierz naczynie. Dla małego.

Zofia składa pościel. Zdejmuje ze ściany zdjęcie rodzinne z wetkniętymi za ramkę świętymi obrazkami, otrzymanymi od księdza na pogrzebie męża. W tym czasie Oficer wyjmując z kieszeni papierośnicę. Częstuje tłumacza. Spostrzegłszy to, jeden z żołnierzy podchodzi do okna w kuchni i bierze do ręki stojący na parapecie koszyk ze słomianymi ozdobami choinkowymi. Wyjmuje jedną z nich i wkłada na chwilę do pieca. Ozdoba się zapala. Żołnierz przypala nią papierosy oficerowi i tłumaczowi. Wrzuca resztkę pod kuchnię.

Małgorzata Karolina Piekarska



POEZJA cd.

Krzysztof Saturnin Schreyer
Taniec.147

Jerzy Śleszyński
Pleśń, Społeczna lepidopterologia,
Wakacje. 148

Kazimierz Świągocki
Pieśń do Słońca nad Morzem
Martwym, Opowieść jesienna. 150

Grzegorz Walczak
Big-bang, czyli Nowe wiersze.153

PROZA

Janusz Andrzejczak
Wykluczeni. 156

Tamara Bóldak-Janowska
i **Antoni Janowski**

Krótki dialog położniczy
Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka.161

Andrzej Chąciński
Młodzieńcze lata. 166

Piotr Müldner-Nieckowski
Przygoda Elli z psychiatrą
światową.172

Wiesława Oramus
Sama.174

Jacek Pankiewicz
Przed, ...I po.178

Jan Krzysztof Piasecki
Kazimierskie.181

Rafał Lasota

Przyszła do mnie wojna. 186

Joanna Sendłak

Fano i filozofowie. 188

Zbigniew Zbikowski

Prawobrzeżny.191

Zbigniew Zbikowski

Willa Morena. 192

PRZEKŁADY

Anna Bańkowska

Alan Seeger, Rupert Brooke. 201

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jan Anastáz Opasek OSB. 203

Danuta Cirlić-Straszyńska

Lidia Dimkovska, G'oko Zdraveski. 204

Anna Dutka-Mańkowska

François Debluë, José-Flore Tappy.212

Konrad Sutarski

O polskojęzycznej antologii poezji
europejskiej na Węgrzech. 221

SATYRY

Alicja Patey-Grabowska

Motyl, Kleszcz, Życiorys, Kanibalizm
w świetle nauki. 229

SCENARIUSZE

Małgorzata Karolina Piekarska

Matki. 230



Zapraszamy na Biesiady Literackie SPP w warszawskim Domu Literatury

Od góry z lewej – prowadzący spotkania z pisarzami, wydawcami, artystami, publicystami
 Wacław Holewiński, Małgorzata Karolina Piekarska, Piotr Müldner-Nieckowski
 Marek Ławrynowicz i autor stałych felietonów Biesiady – Piotr Wojciechowski